

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/489

1988



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

W. MAZIARSKI: **PO ŁAPACH**

J. MIRSKI: **POLACY W KAZACHSTANIE**

REDAKCJA: **OBSERWATORIUM**

W. CHARŁAMP: **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

CZ. MIŁOSZ: **JAKBY NA OPAK**

SPIS RZECZY

Wojciech Maziarski:	<i>Po łapach</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	9
Waldemar Kuczyński:	<i>Kłopoty z socjalizmem</i>	20
Józef Mirski:	<i>Polacy w Kazachstanie</i>	30
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Redakcja:	<i>Obserwatorium</i>	38
P. Zławacki:	<i>Fakty, domysły, oczekiwania</i>	43
Zbigniew Byrski:	<i>Amerykańskie rozważania przedwyborcze</i>	55
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (16)</i>	60
„HUMOR” KRAJOWY		
—	<i>Wywiad z płk. red. Wiesławem Górnikiem</i>	65
K R A J		
Witold Charłamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	71
Jan Klincz:	<i>Co kwartał 5.000 stron</i>	83
SPRAWY I TROSKI		
D.T.:	<i>Dwa listy z Iraku</i>	91
Leszek Szaruga:	<i>Wstydlivy temat</i>	96
Wiktor Grotowicz:	<i>Falszywi Niemcy z Polski</i>	102
—	<i>Skonfiskowane oświadczenie</i>	104
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	105
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	111
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	115
A.M.P.:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	118
KRONIKA KULTURALNA		
Czesław Miłosz:	<i>Jakby na opak</i>	121
K S I A Ż K I		
Leszek Szaruga:	<i>Nowy gniewny</i>	132
Janina Katz Hewetson:	<i>Nuda powagi i nuda zabawy</i>	136
Krzysztof Rutkowski:	<i>Tomasz Burek — kartograf dziwnych podróży</i>	141
M. Broński:	<i>Przedstawiania ciąg dalszy</i>	144
Bohdan Paczowski:	<i>„Cały naród buduje stolicę”</i>	147
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	150
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	152
B.H.:	<i>Kronika kanadyjska</i>	155
◆		
J. Mirski, St. Skrzypek, Cz. Zychowicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1988

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Prof. Bronisław Baczko, Genewa	F. 500,00
Jerzy Duracz, Kungsangen (Szwecja) — w 13-tą rocznicę śmierci Anny Duracz — Krs 200,00	F. 190,00
M. B. Felsz, Brossard, PQ (Kanada) — \$ c. 20,80	F. 83,00
Kazimierz i Zofia Logay, Sarasota, FL (USA) — zamiast kwiatów na grób Przyjaciela, Władysława Manka, zmarłego w Sarasocie 4 kwietnia 1988 roku — \$ 22,00	F. 123,00
Zbigniew Okołowicz, Millbrook, NY (USA) — \$ 30,00	F. 168,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 29-ty — \$ US 100,00	F. 560,00
Irena i Jerzy Szwede, Palto Alto, CA (USA) — dla uczczenia pamięci Henryka Weynerowskiego, zmarłego w kwietniu 1988 roku w San Francisco — \$ 25,00	F. 140,00
W siódmą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna — dla uczczenia Jego pamięci — żona i syn z rodziną (Manchester — Londyn) — £ 30,00	F. 300,00
W siódmą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna — zamiast kwiatów na Jego grób — Jan Strelcyn, Paryż	F. 100,00
Zapis testamentowy śp. Marii Teresy Halstead, zmarłej w 1986 r. w Santa Barbara, CA (USA), przekazany przez biuro adwokackie John W. Ellis w Santa Barbara, CA na ręce Etude Généalogique Coutot-Roehring w Paryżu — \$ 9.020,00	F. 50.512,00
Beata i Robert Żywny, Londyn — £ 10,00	F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Stanisław M. Antoni, Chicago, IL (USA) — na uwolnienie Kornela Morawieckiego — \$ 100,00	F. 560,00
Association pour la Défense des Droits Démocratiques du Peuple Polonais w Lozannie — sumę zebraną podczas manifestacji 10 maja 1988 roku — na pomoc strajkującym w Polsce ..	F. 1.489,20
B.B., NYC — na opozycję polityczną — \$ 35,00	F. 196,00
Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym w Kraju z przemocą komunistyczną — DM 10,00	F. 33,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Independent Poland Society — Niepodległa Polska, Grupa Dallas, TX (USA) — sumę zebraną przed polskim kościołem 8 maja 1988 r. dla strajkujących robotników Stoczni gdańskiej (nadesłał Zygmunt Zawojski) — \$ 200,00	F. 1.120,00
Edward i Valentina Salamońscy, Filadelfia, PA (USA) — \$ 20,00	F. 112,00
Edward L. Salamoński, Filadelfia, PA (USA) — \$ 50,00	F. 280,00
Sumę zebraną na apel Lecha Wałęsy wśród robotników polskiego pochodzenia, zatrudnionych w zakładach PEELCO Manufacturing Ltd. w Oakville, na wypłatę robotnikom w Polsce utraconych poborów w związku ze strajkiem (nadesłał Jan Grobelny) — \$ c. 185,00	F. 815,00
Sumy zebrane przy okazji wyświetlania polskich filmów: w Stow. Polskich Kombatantów, Koło nr 13, Winnipeg, MB (Kanada) — \$ c. 159,00, i w parafii św. Andrzeja Boboli w Winnipegu — \$ c. 85,00 — na Kulturę Niezależną w Polsce (nadesłał K. Patalas) — razem: \$ c. 244,00	F. 1.074,00
Barbara Tubylewicz-Olsens, Oslo — zamiast kwiatów na grób Br. Łubińskiego — na Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej	F. 100,00
Jerzy Żukowski, Brooklyn, NY (USA) — na opozycję polityczną w Kraju — \$ 50,00	F. 280,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Po łapach

Dziwne czasy nastały. Boi się władza, boją się przywódcy opozycji. Tylko młodzi się nie boją. I to właśnie przeraża wszystkich dookoła. Strach jest zaraźliwy, to prawda. Ale jeszcze bardziej zaraźliwy jest brak strachu. Policyjna pałka jest skuteczna dopóki budzi respekt. Dopóki pałowani gwizdzą, rzucają kamieniami, chwytają za kije. Kiedy zaczynają się śmiać i wrzeszczać ramionami, pałka zawisa bezradnie. Szczęśliwi mogą być despoty, których lud nienawidzi. Lecz biada im, gdy lud zaczyna ich ignorować.

Młodzi ludzie nie opowiadają dziś kawałów o Jaruzelskim, nie rysują urbanków z odstającymi uszami. Policjanci ze studenckich i uczniowskich karykatur to nie krwawe zbiry katujące Matkę Polkę, lecz zwykłe matyły z wytrzeszczonymi oczami i obwisłą szczęką. Godne politowania, bezsilne matyły. Kolegia, wyroki, grzywny? „Uzbierałem już ponad 200 tysięcy” — nie bez dumy mówi jeden z moich znajomych. Drugi patrzy nań z wyraźnym podziwem. Ma dopiero pięćdziesiąt parę. Nie zapłaci. Komornik? — Matka wyrzuciła klienta za drzwi, bo to jej mieszkanie i nie ma tam nic mojego. Owszem może odsiedzieć. Nie przyznaje się do tego, ale najwyraźniej myśl o odsiadce sprawia mu sporą satysfakcję. Człowiek od razu inaczej się czuje, nabiera do siebie szacunku. Siedział. Jest Kimś.

M. F. Rakowski: „(...) pasywność społeczeństwa może pewnego dnia się skończyć. Rzecz w tym, że ta część społeczeństwa (a dotyczy to zarówno pięćdziesięciolatków jak również trzydziestolatków), która 13 grudnia zetknęła się ze Scotami i patrolami

wojskowymi na ulicach miast, jeszcze dziś nie zapomniała ówczesnych przeżyć. W tej części społeczeństwa działają jeszcze skutki powstałego wówczas szoku i respekt dla siły. Dla średniego i starszego pokolenia Polaków 13 grudnia był bolesnym zderzeniem z twardymi wymogami rzeczywistości. Nie można jednak nie zadać pytania, czy w najbliższych latach ci, którzy w grudniu 1981 roku liczyli sobie dwanaście, czternaście lat i dla których Scoty były zabawą, czymś co podniecało, przejmą od pierwszych ów respekt? Nie ma żadnej pewności, że tak się stanie”.

Jest pewność, że tak się nie stanie i ONI o tym wiedzą. Wiedzieli o tym od dawna — znacznie wcześniej, nim przywódcy i publicyści opozycji zdążyli dostrzec to zjawisko. „Czego ONI się boją?” — ze zdziwieniem zapytał w 1987 roku jeden z moich znajomych, dziennikarz w średnim wieku, obserwując niezrozumiałe wygibasy władzy przerażonej skutkami podwyżek, które sama wprowadziła. Przecież nic szczególnego się nie działo — komunikacja funkcjonowała, ludzie jak zwykle stali w kolejkach, nikomu nawet się nie śniło o strajku generalnym. Narzekania, protesty? Pewnie, że były, ale przecież ich intensywność nie przekraczała normalnego, średniego poziomu, do którego wszyscy — i władza, i opozycja, i „milcząca większość” — zdążyli się przyzwyczaić. Słowem, normalka. A jednak ONI się bali. Czuli już, co się święci. Wiedzieli, że nadchodzi nowe pokolenie.

W tym samym czasie kierownictwo związkowe zajęte było toceniem bezsensownych i żenujących sporów kompetencyjnych, zaś publicyści obu obiegów wylewali morze atramentu na opisywanie „kryzysu wartości” w kręgach młodzieży. Że piją, że uciekają w prywatność, emigrują, stawiają na forszę, otumaniają się muzyką rockową. Istna apokalipsa. I nikomu jakoś nie przyszło do głowy, że wszystko to ma proste wytłumaczenie: ci młodzi ludzie nie boją się i „olewając czerwonego”, wolą zająć się swoimi sprawami. Duchowo, a po części i materialnie, wyprowadzili się z tego systemu. Krążyła opinia — dziś już jakby rzadziej powtarzana — że nie interesują się polityką. To zależy. Jeśli przez „politykę” rozumieć przepychanki z władzą, z komunistami, to istotnie — mieli ją w nosie. Dlaczegoż mieliby się tym podniecać? Władza, partia, komuniści to nie są tematy do rozmów. Kogo to obchodzi? Kogo interesują wynurzenia Urbana i uchwały politbiura? Miast tracić czas na głupoty, lepiej zakrzętać się wokół własnych spraw i znaleźć satysfakcję w tym, co kogo interesuje. A ponieważ temperamenty, zainteresowania i upodobania są różne, różne są też modele życia. Jedni wybrali prywatność i rodzinę, inni działalność gospodarczą (czy to ich wina, że w tym systemie i przy tym prawodawstwie jest to nader często działalność przestępcza?), jeszcze inni stworzyli subkultury wszelkiej

maści. I nie ma w tym nic dziwnego ani zdrożnego — na całym świecie dzieje się tak samo. Może wręcz obecna młodzież jest najzdrowszą częścią tego społeczeństwa? Jest po prostu zróżnicowana. Jest normalna. Nie boi się, nie ma urazów i dlatego nie popada w polityczno-antykommunistyczną monomanię. Świat widziany jej oczami jest barwny i różnorodny, nie ogranicza się do wymiaru politycznego.

Co nie oznacza, że wymiar ten jest w myśleniu młodych ludzi nieobecny. Kto, jak nie młodzież, tworzył po 1981 roku większość, o ile nie wszystkie partie i organizacje polityczne? Kto drukował? Kto organizował różne Federacje Młodzieży Walczącej, Międzyszkolne Komitety Oporu i dziesiątki innych, mniej lub bardziej trwałych instytucji? A WIP? A samorządy studenckie i uczniowskie? A NZS? Listę tę można by ciągnąć długo.

Jeśli przyjrzeć się dokładniej formom młodzieżowej działalności politycznej i społecznej, dostrzec można rzecz znamioną: nawet w poczynaniach uznawanych przez władzę za antysystemowe (i słusznie) młodzi ludzie niewiele uwagi poświęcają samemu systemowi i jego funkcjonariuszom. Olbrzymią karierę zrobiło rzucone przez Młynarskiego hasło „Róbmy swoje!” (stało się ono nawet mottem jednego z pism studenckich). Więc robią swoje i niezbyt się przejmują, co powie władza. Nie chodzi przecież o to, by „przykopać czerwonemu”. „Jeśli protestujemy przeciwko ministerialnym zarządzeniom — powiedział swego czasu przewodniczący samorządu studenckiego jednej z warszawskich uczelni — to robimy tak nie dlatego, że to są ICH zarządzenia, a dlatego, że to są głupie zarządzenia”.

Robią swoje. Organizują się. Wydają prasę, w której piszą o własnych, środowiskowych problemach. Jawnie sprzedają na korytarzach Uniwersytetu Warszawskiego bibułę. Noszą znaczki organizacyjne. Prowadzą regularny nabór członków — na UW do NZS-u należy już (jawnie) ok. 2 tysięcy studentów. I nawet jeśli ich działania same w sobie są potężnym kopniakiem wymierzonym „czerwonemu”, to nawet to olewają. Czyż kopanie ignorowanego przeciwnika może być rzeczą podniecającą?

Jest w tym też trochę szpanu, chęci dorównania idolom. Być jak Kuroń, Morawiecki (w zależności od sympatii politycznych) — oto marzenie wielu młodszych i bardziej rozgorączkowanych działaczy. Można im to chyba wybaczyć. Potrzebują autorytetów, z którymi mogliby się identyfikować, a wybór, jakiego dokonali, nie jest przecież zły. Przydałoby się jeszcze paru Kurońów i Morawieckich.

Brak strachu może być jednak groźny. Wiedzą o tym przywódcy opozycji, którzy spoglądają na ożywienie w środowiskach młodzieżowych z nieskrywanym uznaniem i sympatią, ale i z pew-

na dozą lęku. Co będzie, jeśli ta mieszkanka eksploduje? Co będzie, jeśli władza nie pójdzie wreszcie po rozum do głowy i nadal będzie tamować energię społeczną we wszystkich dziedzinach życia? Co będzie, jeśli pewnego dnia wyemancypowana młodzież stwierdzi, że samo ignorowanie „czerwonego” nie załatwia sprawy? Że jest on na tyle irytujący i uciążliwy, że należałoby się go pozbyć raz a dobrze, wraz z całym systemem?

O ile kierownicze i opiniotwórcze kręgi opozycji są taką wizją z lekka zaniepokojone, o tyle władza musi być po prostu przerażona.

Jeszcze raz M. F. Rakowski: „Nie jest przypadkiem, że coraz częściej spotyka się w młodym pokoleniu głosy, że 'Solidarność to już historia', że jej działacze to zadowoleni 'starcy', i że 'my będziemy mądrze walczyć z komuną'.

Warto zastanowić się, czy przypadkiem nie błąka się jeszcze gdzieś pogląd, że jeśli pewnego dnia dojdzie do wybuchu, to przywołamy na pomoc rację stanu i przypomnimy, że przecież ktoś może się wtrącić w nasze wewnętrzne sprawy. A jeśli ten ktoś biorąc pod uwagę swoje interesy wcale nie zechce się wtrącić? Nie można nie postawić pytania, czy wszyscy towarzysze w partii oraz w administracji państwowej i gospodarczej wyciągają właściwe wnioski z nowej konstelacji politycznej, jaka powstaje w ramach wspólnoty socjalistycznej”.

Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że to kłopot nie nasz, a pana MFR i jego towarzyszy. Sęk jednak w tym, że przerażeni despoti, którym grunt usuwa się spod nóg, skłonni są do popadania w szaleństwo. Gdy poczucie zagrożenia osiąga punkt krytyczny, a pałki nie skutkują — pojawiają się karabiny. I padają zabici, po obu stronach. I cóż, że jest to najczęściej ostatnie posunięcie autokratycznego rządu? Niewielka to pociecha dla zabitych. A mogą ich być tysiące.

Nie łudźmy się, że scenariusz ten jest w Polsce nieprawdopodobny. Już dziś można dostrzec pierwsze sygnały świadczące o tym, że ONI naprawdę zaczynają popadać w obłąd. Pałowanie, jakie urządzono warszawskim studentom 8 marca przed kościołem Św. Anny, czy ostatnio w Nowej Hucie przekraczało swą brutalnością wszystko, do czego mieliśmy okazję przyzwyczaić się po zakończeniu stanu wojennego. Nie było to rutynowe „przywrócenie ładu i spokoju” ani „rozpędzanie zbiegowiska”. Tym razem bito tak, żeby pobić. Żeby zastraszyć, sterroryzować, nauczyć rozum. Późnym wieczorem tego samego dnia zadzwonił do mnie znajomy — człowiek, który niejedno już widział i w niejednej „zadymie” brał udział. „Patrzyłem na to z boku — powiedział zdenerwowanym głosem. — Słuchaj, czy nikogo nie zabili?”.

Nie, tym razem jeszcze nikogo nie zabili. Tym razem jeszcze skończyło się na sińcach i okaleczeniach. Ale co będzie jutro?

Bo przecież marcowe lanie nie przyniosło oczekiwanego rezultatu — pobici nie zaczęli się bać, nie nabrali respektu dla siły. Z pewnością natomiast musieli stwierdzić jedno: ten „czerwony”, którego ignorowali i olewali, zaczyna być naprawdę uciążliwy. Stąd już tylko jeden krok do konstatacji: najwyższa pora, żeby go pogonić „za Ural”.

Co będzie jutro? Jak daleko posunie się ICH szaleństwo? Ilu będziemy mieć polskich Ryskulbekowów, ilu jeszcze pochowamy Przemków i Antonowiczów?

Osobom, które zechciałyby zarzucić mi nadmierny pesymizm, proponuję dokładnie wczytać się w słowa cytowanego już pana MFR:

„Innym sposobem ograniczania wpływów opozycji jest dawanie jej 'po łapach', tak jak obecnie to czynimy (konfiskaty sprzętu, kolegia etc.), wówczas gdy jej aktywiści stają się zbyt agresywni. Sięganie po środki administracyjne jest w pełni uzasadnione, aczkolwiek trzeba pamiętać, że skutki tych działań są ograniczone”.

I w innym miejscu:

„(...) premier powinien był stanąć przed kamerami TV i oświadczyć, że jeśli nawet będą strajki i demonstracje, rząd przeprowadzi zapowiadaną podwyżkę, ponieważ nie jest to sprawa widzimisię lecz twarda konieczność — w interesie narodu i państwa. Jestem przekonany, że co najmniej połowa społeczeństwa poparłaby taki twardy język, ponieważ dziś ludziom imponuje stanowczość rządzących. Jest to fragment lekcji, jakiej zdarzenia pierwszych lat 80-tych udzieliły naszymu narodowi. Dziś na skutek tego, że wiele spraw 'nie wychodzi' oraz utrzymujących się dokuczliwości rodzi się tęsknota za stanowczą polityką (...).”

I jeszcze:

„(...) zespół przywódczy wytracił sporo dynamiki, jaką posiadał w 1981 roku i w latach stanu wojennego. Nie jesteśmy już tak agresywni wobec rzeczywistości jak kilka lat temu”.

I wreszcie, na koniec:

„Słowem, trzeba tworzyć warunki dla wyrastania postaci charyzmatycznych”.

Czy są jeszcze jakieś wątpliwości? Wszystko wydaje się jasne. Osobowości charyzmatyczne, agresywne wobec rzeczywistości, mówiące twardym językiem i prowadzące stanowczą politykę — oto recepta na szczęście narodu zgłaszana przez zetpeteowskiego gołębia i liberała oraz — jak należy mniemać — pierwszego kandydata na stanowisko charyzmatycznego wodza. Oto prawdziwa linia dialogu i porozumienia.

A młodzież? Co z młodzieżą, która się nie boi i która nie lubi „twardego języka”? No cóż, na razie „po łapach” ją, choć

„skutki tych działań są ograniczone”. We właściwym czasie z pewnością znajdują się sposoby znacznie skuteczniejsze.

A więc jednak, panie MFR, ilu jeszcze Antonowiczów i Przemków? Jakie racje stanu i twarde wymogi rzeczywistości mają zwichnąć życiorysy tym młodym, światłym i aktywnym obywatelom, z których każdy cywilizowany naród mógłby być dumny?



Brak strachu jest zaraźliwy. Jadę autobusem. W fotelu przede mną młody chłopak czyta *Tygodnik Mazowski*. Mężczyzna w średnim wieku (pod pięćdziesiątkę) patrzy nań z widocznym wahaniem. Wreszcie przełamuje się: „Czy mógłby mi pan odstąpić tę gazetkę? Od lat już tego nie widziałem, nie wiedziałem nawet, że jeszcze wychodzą”. Chłopak oddaje mu *Tygodnik Mazowski*, z torby wyciąga drugi egzemplarz i czyta dalej. Mężczyzna szybko chowa pismo do kieszeni, rozgląda się na boki, czy ktoś nie widział. Spozstrzega, że mu się przyglądam. Nieruchomieje, najwyraźniej jest przestraszony. Uśmiecham się i żeby go uspokoić wyjmuję z kieszeni jakiś stary, wymiętoszony egzemplarz *Woli* czy czegoś tam. Udaję, że czytam. Facet uspokaja się, a po chwili sam wyjmuję swoją gazetę i z wypiekami na twarzy zaczyna ją przeglądać. Zaraził się. Przełamał strach.

Autobus mijają budynki KC. W kilku oknach zapalone światła. Ciekawe, nad czym pracują?

Wojciech MAZIARSKI

P.S. Cytaty zostały zaczerpnięte z poufnego opracowania Mieczysława F. Rakowskiego zatytułowanego „Uwagi dotyczące niektórych aspektów politycznej i gospodarczej sytuacji PRL w drugiej połowie lat osiemdziesiątych”. Dokument datowany jest 8 czerwca - 10 października 1987 roku. W warszawskich środowiskach niezależnych krążyć zaczął w marcu 1988 roku.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 18 lutego 1988

„Noc jest jeszcze bogatsza w kolory, niż dzień”. Twierdzenie Van Gogha zdaje się na pozór kłócić z tym, co o jego życiu i malarstwie pisze holenderska para biografów Hammacher. Uwielibiał świt i zmierzch, według biografów „pierwsze i ostatnie światło dnia były dla niego źródłem ekstazy”. Często wstawał o czwartej nad ranem, by powitać brzask; albo łąził godzinami w oczekiwaniu na zapadanie zmroku. Zdarzało mu się przesiedzieć całą noc czy to nad stawem, czy w polu, czy na cmentarzu, aż do śpiewu pierwszych ptaków porannych. Więc do „ekstazy” doprowadzał go raczej moment przesilenia nocy z dniem, potem dnia z nocą, niż nocny czas bogatszy od dziennego w kolory. A przecież myślę, że miał prawo do swego twierdzenia. Noc potęgowała w nim szpatmatyczne poczucie kolorów zastąpionych, uspakajanych w intensywnym rozedrganiu pod powiejką. Kościół w Auvers, namalowany miesiąc przed próbą samobójczą i śmiercią: niebo jest „nocne”, mury są „nocne”, gdyby nie wzmianka w liście Van Gogha do brata o „nasłonecznionym różowym piasku” na ścieżce, trudno byłoby podejrzewać obecność naturalnego źródła światła.

Van Gogha należy oglądać w dużych dawkach a nie na wyrywki, mnie się to do świeżej wystawy rzymskiej nigdy nie udało. Teraz wiem, że był największym malarzem epoki nowoczesnej. Jego wielkość wymyka się kryteriom „technicznym”, „formalnym”. Podziwiam artystów, dla których sztuka jest nieustannym wysiłkiem przebicia się na inny brzeg. Osadzeni mocno w rzeczywistości i w naturze, wyrrywają się z uporem ku czemuś przeczuwanemu lecz nieznanemu. W oczach Van Gogha wszystko

zawiera ulotny cień tajemnicy: twarz ludzka, pejzaż, korzenie i wykroty drzew, słoneczniki, krzesło. Albert Aurier, autor *jedyne*go o nim artykułu za życia, pisał o „zuchwałości patrzenia słońcu w twarz”. Cały artykuł był pochwałą, nie pozbawioną akcentów przestrachu, rozmaitych „zuchwałości” Van Gogha. Auriera uderzał w jego malarstwie „nadmiar”: nadmiar siły, nadmiar nerwowości, nadmiar gwałtowności wyrazu. Van Gogh był dla niego „pijany gigantem”, „mózgiem w stanie wrzenia”, „geniuszem szalonym i strasznym”, „wizjonerem na pograniczu patologii”, wchłaniającym dookoła świat „w napięciu anormalnym i może bolesnym”. Opisany w ten sposób malarz pokwitował artykuł listem do autora, w którym upomniał się o Gauguina, a swoją rolę w przyszłości określił jako „bardzo drugorzędna”.

W ciągu rocznego pobytu w domu dla nerwowo chorych w Saint-Remy patrzył zuchwale słońcu w twarz. Czy w rozżarzonej pejzażu *Pole ze żniwiarzem* widać również refleks „kolorów nocy”? Był przekonany, że „ból okaże się silniejszy od szaleństwa”. Ból? Tak, ból, nieodstępne uczucie splotu osłepienia słonecznego z nocnym blaskiem. Malowany w słońcu *Portret starego wieśniaka* miał w sobie dla niego samego „coś wiecznego, coś czego symbolem była niegdyś aureola”. Wieczorna scena chłopskich *Zjadaczy kartofli* przy stole pod lampą naftową zwiastująca z sufitu każe myśleć o płótnach Rembrandta: wieczne są także te twarze, jakby oświetlone od wewnątrz. Ale szczytem jest jego przedśmiertny autoportret: patrzy na nas surowym spojrzeniem malarz i kiedyś wędrowny kaznodzieja, zawzięty, stężyły w bólu, spragniony wiecznego odpoczynania po latach zawieszenia między jasną ciemnością i ciemną jasnością.

20 lutego

Któs w Kraju, zainteresowany wyborem moich esejów, poprosił mnie o *Wiek rewolucji* drukowany w roku 1952 i nie włączony do żadnej z moich książek. Znalazłem ten szkic w starych papierach i po tylu latach przeczytałem go na nowo. Wart jest odkurzenia w paru słowach.

Osnowę *Wiek rewolucji* stanowią wydane właśnie wtedy w Londynie książki D. W. Brogana, Alexa Weissberga, E. H. Carra, Bertranda Russella i E. M. Forstera. Zatrzymam się na pierwszej i dwóch ostatnich. *The Price of Revolution* Brogana otwiera dwuwiersz Samuela Johnsona: „Ze wszystkich nieszczęść doświadczanych przez ludzi / jak mało takich które królowie lub prawa mogą wywołać lub uleczyć”. Komentarz Brogana: „Był w błędzie; zdolność rządów do wywoływania zła jest olbrzymia i rośnie z dnia na dzień, ale miał częściowo słuszość gdy wątpił

o dobroczynnym działaniu rządów; w każdym razie jego sceptycyzm jest zdrową odtrutką przeciw złudzeniom, na których zerowała tradycja rewolucyjna we Francji i na całym świecie”. A dwuwiersz Johnsona odczytany dziś? Z „wieku rewolucji” wyłoniła się w „kraju zwycięskiej rewolucji”, w obręczy „utopii u władzy”, sekta *prawozaszczitników*. Nie obrońców „zdradzonej rewolucji”, nie orędowników „czystych i pohańbionych ideałów”, lecz skromnych obrońców praw, codziennie gwałconych i deptanych praw elementarnych.

Optymistyczny racjonalista Russell przypomina ludzi Eliota, którzy „wciąż usiłują uciec z ciemności zewnętrznych i wewnętrznych, rojąc o systemach tak doskonałych, że nikt nie będzie musiał być dobry”. W przekonaniu Russella „współczesny człowiek jest panem i władcą swego losu i jeśli cierpi to dlatego że jest głupi i nikczemny, a nie dlatego że taki los zgotowała mu natura”. Trzeźwiej na „pana i władcę swego losu” patrzy powieściopisarz Forster. Tam gdzie w grę wchodzi najgłębsze sprawy ludzkie, człowiek jest skazany na samotność; wszędzie indziej można po nim oczekiwać co najwyżej konwencjonalnej przyzwoitości w konwencjonalnych sytuacjach życiowych, a nie szlachetności w imię takich abstrakcji jak społeczeństwo, proletariatus, naród, państwo. Podoba mi się u Forstera passus: „Światu trzeba miłości! — zrywamy się co pewien czas z gromkim okrzykiem, po czym siadamy z powrotem na miejscu i świat toczy się dalej po dawnemu. Rzecz w tym, że możemy kochać tylko to co znamy, a nie jesteśmy w stanie znać zbyt wiele. Co zaś do dobroci, człowiekowi nie udało się i nie uda nigdy zorganizować dobroci, każda jego próba w tym kierunku jest aktem zarozumiałości”.

Forster zatytułował swoją książkę *Two Cheers for Democracy*, czyli „dwa razy (a nie zwyczajowe trzy) zdrowie demokracji”. Niechaj będzie, skoro wszystko inne jest gorsze, ale ostrożnie nawet te dwa razy, bez euforycznych pokrzykiwań, nie wychylając kielicha do dna, żeby broń Boże toast nie uderzył do głowy.

(Dołączyłbym do *Wiek rewolucji* refleksje Herzena, przypomniane ostatnio przez Isaiaha Berlina. W swoistym nekrologu ruchów rewolucyjnych roku 1848 Herzen zauważył, że narodziła się nowa forma składania ludzkich ofiar na ołtarzu narodu, kościoła, partii, klasy, postępu, sił historii. Czymże jest ów Moloch postępu, celu wytkniętego w odległej przyszłości, ku któremu zdążać mają masy ludzkie z okrzykiem *morituri te salutant*? Nieskończenie daleki cel przestaje być celem, zamienia się w pułapkę. Berlin uzupełnia Herzena: w poszukiwaniu doskonałości tkwi niezawodna „recepta rozlewu krwi”, choćby poszukiwaczami byli najszczerzy idealisci o najczystszych sercach. Nawet tak rygorystyczny moralista jak Kant musiał przyznać, że „z krzywego i się

katego drzewa człowieczeństwa nikt nie wyciosał nigdy prostej i równej rzeczy”).

23 lutego

W Neapolu głośny film Abuładze *Pokuta* przeszedł niezauważony i nie okazał się widocznie „kasowy”, bo szybko wylądował w klubowej kinotece jezuitów. Oglądałem go tam wczoraj z tzw. „mieszanymi uczuciami”. Pomijam fakturę, stylistycznie zbyt eklektyczną, skażoną nadmiernym na mój gust symbolizmem, epatującą widza (surrealistycznie wyposzczonego) „nowoczesnością środków”. Mogę mimo to zrozumieć, że był dla publiczności sowieckiej przeżyciem i wywoływał podobno na widowni gwałtowne, dramatyczne reakcje. Co zrobić z ciężącym nad sowiecką rzeczywistością trupem Stalina? W każdym razie nie dopuścić do jego pogrzebania i przywalenia ciężką płytą grobową. Taka jest słuszna odpowiedź Abuładze, który bohaterką *Pokuty* uczynił odwróconą Antygonę, a ciągle odkopywanie zwłok tyrana głównym przesłaniem filmu. Wątpliwości powstają, gdy się odkopywanemu trupowi zagląda w żywą przeszłość. Jeśli jest nadal żywa, jeśli nie przestała przenikać do teraźniejszości, trzeba go jak wstającego nocą z trumny wampira Drakulę przybić zaostrozonym kołem do ziemi. Jeśli umarła nieodwracalnie, wystarczy odprawiany profilaktycznie obrzęd sądu nad trupem, aż do ostatecznego i bezapelacyjnego wyroku skazującego. Istnieje w tej dziedzinie precedens historyczny, który przypominałem po usunięciu zabalsamowanej mumii Stalina z mauzoleum na *Krasnoj Płoszczydzi*: w swojej *Historii Rzymu w Średniowieczu* Gregorovius opowiada jak następca papieża Formozjusza wytoczył mu pośmiertny proces, rozkazawszy wnieść na salę obrad synodu i posadzić w fotelu jego mumię; po zasądzeniu oskarżonego na drugą śmierć, jego zwłoki wrzucono do Tybru. Gorbaczow nie chce lub obawia się podobnej procedury; przy wszystkich coraz śmielszych krytykach i napiętnowaniach „błędów i wypaczeń kultu jednostki” nie zanoszą się w Moskwie na zjazd partii w duchu „synodu z trupem”.

A Abuładze? Wrzucił naprawdę w *Pokucie* osądzonego trupa do rzeki? Po powrocie z pokazu filmowego u jezuitów przejrzałem *Dwudziestą listów do przyjaciela* Swietłany Allilujewoj z moją przedmową. Książka córki Stalina o „pośepnej i tragicznej wielkości ojca” prowadzi do konkluzji: „Przy całej swojej wszechwładzy mój ojciec był bezsilny, bezradny wobec straszliwego systemu, który wyrósł dokoła niego jak gigantyczne woszczyzny — nie mógł go ani złamać, ani bodaj kontrolować”. Ten obraz więźnia systemu odwołuje się do „determinizmu historycznego”:

„Gdyby nie było mojego ojca, pojawiłyby się na arenie dziejowej inny Stalin”. W przedmowie do *Dwudziestu listów* pisałem: „Stalin nie był więźniem systemu, był jego arcywięźniem, po Orwellowsku równiejszym od innych równych więźniów, jedynym człowiekiem wolnym wśród niewolników. Mógł z tej wolności satrapy korzystać wyłącznie do granic nietykalności swego własnego dzieła. Nie miał potrzeby z niej korzystać inaczej niż w służbie swego własnego dzieła, gdyż pomiędzy nim i systemem który stworzył powstała i panowała absolutna tożsamość”. Kluczowa jest tu właśnie *tożsamość*. Swietłana wołała jej nie widzieć, albo po prostu nie potrafiła jej zobaczyć, wychowana w szkole „determinizmu historycznego”. Abuładze przeskakuje w odwrotną skrajność: w *Pokucie* Stalin spadł pewnego dnia z nieba niby zły czarownik na względnie pogodne i spokojne miasto, jakby „system” został zrodzony przez jego osobisty, diaboliczny hokus-pokus. Szmat jeszcze drogi w Związku Sowieckim do definitywnego, nieodwołalnego pogrzebania wiernego i celującego ucznia Iljicza.

Maisons-Laffitte, 7 marca

Nauczycielka Koczyna, trzydziestoparoletnia mieszkanka Leningradu, żona inżyniera i matka kilkumiesięcznego niemowlęcia, prowadziła *Dziennik czasu blokady* od czerwca 1941 do kwietnia 1942. Te oszczędne, rzeczowe zapiski ocalały i są czymś w rodzaju „raportu z oblężonego miasta”. Raportu przejmującego, prawdomównego, zbliżonego do *Dziennika roku dżumy* Daniela Defoe. „Zmarłych nie wywozi się już na cmentarz, tylko układa w sągi koło bram wejściowych. Taki sąg wyrasta co dzień przed każdą niemal kamienicą. Od czasu do czasu ulicami jeżdżą furgony i zbierają te stosy”. Zapis jakby dosłownie wyjęty z książki wielkiego pisarza angielskiego! Użyte przez Koczynę motto ironiczno-filozoficzne z Georga Christopha Lichtenberga pasowałoby dokładnie do *Dziennika roku dżumy*: „Straszne rzeczy przytrafiają się nam, mieszkańcom Ziemi”.

Jeszcze jedna książka przychodziła mi na myśl podczas lektury *Dziennika czasu blokady*: w *Murze*, powieści o getcie warszawskim, John Hersey posłużył się chwytem literackim — ogłosił mianowicie „odkopane” w gruzach getta „archiwum Lewinsona”, kronikarską historię oblężonej „dzielnicy wyłączonej”. Kiedy przed wielu laty recenzowałem *Mur*, zestawiłem go również z *Dziennikiem roku dżumy*, pisząc: „Defoe kończy swój dziennik jedyną w całej książce skromną uwagą *osobistą* na temat „wytrwałości natury ludzkiej”; rozbrzmiewa ona na tle jego *bezosobowej* relacji jak potężny akord, urasta niemal do rozmiarów fina-

łu z moralitetu średniowiecznego; podobne brzmienie mają ostatnie zapiski z kroniki Lewinsona”.

Liczbę ofiar blokady Leningradu — zmarłych z głodu i chorób — szacuje się na około dwa miliony. Julia Łajuk, polska tłumaczka *Dziennika czasu blokady*, zaopatrzyła swój przekład w garść informacji. Wystarczą dwie, podane jedna po drugiej. „Ludzie wycinali ze swoich zmarłych kotlety, żeby je wymienić na targu na chleb; zdarzały się wypadki świadomego ludożerstwa, ale w tym celu kradziono małe dzieci”. „Nieliczne ocalałe po rewolucji cerkwie były przepełnione przez okrągłą dobę; nikt nie utrudniał praktyk kultowych”. Niebываły skrót doli człowieczej w sytuacji granicznej.

Koczyna nie wspomina o „wytrwałości natury ludzkiej”, w jej dzienniku morał „obłożonego miasta” wyrażony jest inaczej: „Istnieje — widać — jakaś granica fizycznej wytrzymałości, po przekroczeniu której człowiek staje się nieczuły na wszystko prócz własnych cierpień. Heroizmu, ofiarności, czynienia dobra można oczekiwać jedynie od człowieka sytego lub głodującego od niedawna. My zaś poznaliśmy głód, który nas upokorzył, zmiażdżył i uczynił z nas bydłeta. Wy, którzy przyjdziecie po nas i przeczytacie może te słowa, bądźcie dla nas wyrozumiali!”.

Jeśli to jest człowiek zatytułował Primo Levi swój oświęcimski pamiętnik. Na przekór „humanistycznym” złudzeniom, także to jest człowiek. W moim *Innym Świecie* mowa o trudności sądenia człowieka według tego jak zachowuje się w nieludzkich warunkach. Sądzić trudno, lecz trzeba przynajmniej wiedzieć, nie wolno ani na chwilę zapominać. Zaiste, „straszne rzeczy przytrafiają się nam, mieszkańcom Ziemi”.

11 marca

W Polsce wyszedł nareszcie *Eichmann w Jerozolimie* Hanny Arendt, autorka *Źródeł totalitaryzmu* została pośmiertnie ułaskawiona przez nadwiślańską cenzurę. Książka znakomita, w pewnym sensie odkrywcza, poprzez proces Eichmanna rzucająca na Holocaust dużo nowego światła. Jej odkrywczosc tkwi w podtytule: *Raport o banalności zła*. Oto Demon Naszych Czasów (tak nazwałem mój szkic o *Eichmannie w Jerozolimie* w roku 1963), w założeniu procesu *hostis generis humani*, w rzeczywistości przeraźliwie banalny biurokrata *Endlösung*, zagłady Żydów, uosobienie „zastraszającej normalności ludzkiej” Wieku Zorganizowanych Ideologii, zdeklasowany bursz drobnomieszczański, który przed sądem jerozolimskim powoływał się na Kanta, uważał „skruczę za rzecz dobrą dla małych dzieci”, a u stóp szubie-

nicy pożegnał obecnych słowami: „Wkrótce spotkamy się znowu, taki jest los ludzi”. O jakim spotkaniu mówić, skoro nie wierzył w życie pozagrobowe? Zdaniem Hanny Arendt była to ostatnia banalna sztanca oratorska banalnego złooczyńcy, który zapomniał że przemawia na własnym pogrzebie. A może zapowiadał swój powrót w innych?

Rewelacyjność książki zaćmiona jest przez jeden błąd, typowy dla badaczy totalitaryzmu o dość ograniczonych doświadczeniach bezpośrednich. Hanna Arendt sądzi, że rozmiary *Endlösung* nie dotknęłyby tak monstrualnego apogeum, gdyby „Żydzi byli nieorganizowani i pozbawieni kierownictwa”: chaos mógł być jedyną dostępną bezbronnym formą walki przeciw zagładzie opartej na wzorowym porządku. Można ułożyć bogatą listę przyczyn, dla których teoria biernego oporu i nieposłuszeństwa bądź grzeszy intelektualną abstrakcją wykoncypowaną za biurkiem, bądź znajduje słabe zastosowanie w podobnych okolicznościach. Wymienię bardzo istotną i ważną, tak jak ją sformułowałem w moim szkicu ćwierć wieku temu. Odnosi się ona do historyczno-politycznego modelu „zamkniętego miasta” i dostarcza odpowiedzi na pytanie, dlaczego organizacje żydowskie z narzędzia w rękach obłożonych ofiar stały się narzędziem w rękach oblegających oprawców. W wielu krajach Europy — nie we wszystkich — żydowskie „miasta zamknięte” były obłożone podwójnie: fizycznie przez hitlerowców, psychicznie przez otaczające je narody podbite. Zbrodnia była dziełem hitleryzmu, toksyny sprzyjające zbrodni zatruwały powietrze europejskie na długo przed hitlerowskim „rozwiązaniem ostatecznym”. Architekci zagłady doznali, podczas jej organizowania i dokonywania, kilku porażek. W Danii, gdzie król zagroził że w razie wprowadzenia żółtych opasek dla Żydów sam założy sobie pierwszą. We Włoszech i w Bułgarii, gdzie antysemityzm nie trafiał na zbyt podatny grunt. Porównania mechaniczne są z różnych względów ryzykowne, ale jakieś przecież gorzkie refleksje nasuwa *Umschlagplatz* Rymkiewicza.

18 marca

Dzięki znajomemu wydawcy francuskiemu mogłem przeczytać maszynopis angielskiego przekładu wspomnień Iriny Ratuszyńskiej *Grey Is the Colour of Hope*. Ukażą się w Anglii i w Stanach pod koniec bieżącego roku, po francusku na początku przyszłego. W przygotowaniu jest też prawdopodobnie wydanie rosyjskie.

Młoda poetka rosyjska pochodzenia polskiego, na którą zwróciłem natychmiast uwagę po przeczytaniu w *Russkiej Myśli* kilku jej wierszy przemyczonych z więzienia, została aresztowana jesienią

1982 roku, skazana na siedem lat łagru plus pięć lat zesłania i zwolniona przedterminowo jesienią 1986. Wkrótce po zwolnieniu zezwolono jej wyjechać z mężem na Zachód. Woroszyłski zaprezentował jej wiersze po polsku najpierw w *Kulturze* przed dwoma laty, a ostatnio w tomiku *Mój ty kraju znieawidzony* wydany przez *Aneks*.

„Mała zona” obozu kobiecego w Mordowii, karcer, więzienia. Grupa więźniarek: dwie Litwinki, dwie Ukrainki, trzy Rosjanki (wśród nich Irina). Pewną nieuchronną jednostajność wspomnień Ratuszyńskiej ożywia świetny zmysł obserwacji i pamięć poetycka oparta na umiłowaniu szczegółu. Pisane są swobodnie, z niesłabnącym oddechem wolności wewnętrznej, jakby druty i kraty nie były już w stanie spełniać swej dawnej roli. Zapewne, „szary jest kolor nadziei” w „moim kraju znieawidzonym”, ale zmartwychwstała jednak nadzieja. W książce Ratuszyńskiej uderzyło mnie niezwykle przeciwstawienie: wyczuwa się słabość, chwiejność, niekiedy lęk nadzorców więziennych; po przeciwnej stronie nadzorowane więźniarki z sekty *prawozaszczitnikow*, wyzbyte strachu, świadome swej godności ludzkiej, nieustępliwe. „Realistyczni” prześmiewcy „drobnych grupek narwańców i szaleńców” (w Polsce wyszydzający niegdyś „postrzelonych korowców”) mają się nad czym zadumać. Tak samo ci wszyscy, dla których ulepiony został raz na zawsze wzorcowy „człowiek sowiecki”.

Dwadzieścia lat temu inna poetka rosyjska, duchowa siostra Ratuszyńskiej, wyszła z garstką przyjaciół na Czerwony Plac w Moskwie, aby zaprotestować przeciw inwazji Czechosłowacji. W *południe* Natalii Gorbaniewskiej, świadectwo tej demonstracji, mogło rzeczywiście pozostawić wrażenie odwagi czarnej, beznadziejnej. Dzisiaj nadzieja ma kolor szary nie za sprawą zadekretowanej odgórnie *pieriestrojki*, lecz dlatego że rosną i podnoszą śmiało głowy ludzie pokroju Gorbaniewskiej i Ratuszyńskiej.

23 marca

Gość z Warszawy długo wykręcał się od rozmowy „zasadniczej”, opowiadał plotki o wspólnych znajomych, powtarzał najświeższe dowcipy, wypytywał o nowiny „miejskowe” czyli emigracyjne. W końcu zdecydował się sam, bez poszturchiwania z mojej strony, jego twarz spoważniała i oblekła się mieszaniną zmęczenia i smutku. Zaraz po wizycie spisałem w skrócie jego monolog.

— Liberalizacja posunięta już i wciąż jeszcze posuwana tak daleko, że oko bieleje. Pisz się otwarcie i wydaje w pierwszym

obiegu rzeczy, o których kiedyś nie wolno było pisać słówka (co, nawiasem mówiąc, osłabia znacznie atrakcyjność drugiego obiegu). Zmienił się język telewizji. Kokietuje się emigrantów. Wymachuje się „białymi plamami”, które lada dzień mają być wypełnione barwami prawdy historycznej. A z drugiej strony? Uczucie że wszystko, dosłownie wszystko, rozlaży się i rozsypuje w rękach. To jest okropne. Nie ma żadnej łączności między dwoma kanałami, liberalizacyjnym i dekompozycyjnym. Kryzys, degrengolada, rozpad, mniejsza o definicje, ważny jest niepowstrzymany zjazd w dół. Jakby nie można już było na równi pochyłej uskoczyć w bok z wyslizganego toru i stanąć na twardej ziemi. W tej sytuacji liberalizacyjne koncesje stają się czymś *zamiast*, wyłącznie zamiast, bez minimalnego choćby wpływu na coraz nędzniejsze życie polskie. Ludzie, zaskakiwani codziennie kolejnym „otwarcie”, zaczynają reagować uśmiechem ironicznego rozbawienia: co też takiego „oni” jutro ujawnią, na co znowu pozwolą, żeby festynem *glasnosti* zakłajstrować mnożące się i rozszerzające dziury w peerelowskiej budowli. Kiedy nie widzisz skutków mówienia, nawet głos połowicznej prawdy rozbrzmiewa jałowym gładzeniem i martwym szelestem papieru. Wszystko staje się połowiczne, półśrodki awansują do roli filozofii narodowej. Rządzący chcą za wszelką cenę rządzić dalej sami, lecz trochę lepiej, i nie wiedzą jak to się robi. Rządzeni są w większości w opozycji, ale nie potrafią jej przełożyć na język politycznego działania. Mamy więc w tym jakimś polskim tańcu chochołów półrząd i półopozycję. Bo opozycja, przynajmniej na szczycie i w salonach rodzimych czy ambasady, dotknięta jest podobnym półparalizem: głosi w naszym „krajobrazie po bitwie” politykę małych półkroków, nogi wciskanej między każde półotwarte drzwi. A tymczasem zjeżdżamy dalej w dół, skóra cierpnie na myśl co będzie, gdy paliatywy odsłonią ostatecznie swoją półtwarz.

Ten monolog usłyszałem i zanotowałem w skrócie przedwczo-raj, a dziś przeczytałem sprawozdanie Brumberga z podróży do Polski w ostatnim numerze *New York Review of Books* (datowane w styczniu). Właściwie to samo, tyle że rozbudowane z reporterską skrupulatnością, upstrzone cytatami i nazwiskami. Brumberg przytacza, na przykład, oceniany przez *Życie Warszawy* fragment przemówienia posła na Sejm i socjologa Kozakiewicza: „Stoimy wobec jedynej i może ostatniej szansy wyjścia z kryzysu. Nie ma już miejsca na zastępowanie zdecydowanych działań półśrodkami, rzeczywistych reform kosmetycznymi zabiegami”. Wicepremier Sadowski powiedział dziennikarzowi *New York Review*, że proces reformy będzie trudny i powolny, potrwa piętnaście lat. Nie wymieniony z nazwiska wybitny ekonomista niezależny, usłyszawszy od Brumberga opinię Sadowskiego, zachnął się: „Katastrofa, droga do spirali inflacyjnej i rosnących niepokojów. Sa-

dowski jest zakładnikiem ludzi z nomenklatury w Komisji Planowania". To są rządzący. A opozycja? Brumberg zatytułował swój artykuł *Poland: The New Opposition*. „Nowa opozycja wewnątrz systemu” — „umiarkowana”, „lojalna”, „pozytywna”, „pragmatyczna” — wychodzi z pięciu założeń. Po pierwsze, komuniści będą tu długo rządzić, trzeba zatem myśleć o naprawieniu systemu, a nie o obaleniu go. Po drugie, Gorbaczow zasługuje by go brać na serio, bo i on bierze na serio swoją przebudowę. Po trzecie, wśród rządzących nie brak umiarkowanych i szczerych zwolenników reform, wypada zatem szukać porozumienia z nimi, pod warunkiem jednak że „Solidarność” nie będzie występowała jako jedyny przedstawiciel społeczeństwa. Po czwarte, zadaniem opozycji jest wydobyc kraj z kryzysu, dopomóc w tym mogą niezależne „stowarzyszenia”; jeśli nie dojdzie do ich powstawania, ciągle powoływanie się na „nacisk społeczny” będzie tylko formą „samodurstwa”. Po piąte, solidarnościowe hasło „frontu odmowy” straciło sens w obecnych warunkach. Podstawą tej pięciopunktowej wykładni „dialogu” są oczywiście „umiarkowani i szczerzy zwolennicy reform wśród rządzących”. Brumberg określa ich (po polsku) powiedzonkiem: „Panienka chce, ale boi się”. Ja określiłbym „pragmatycznych i umiarkowanych” opozycjonistów słowami: „Kawaler chce, nie boi się, pali się nawet, ale ma więcej chęci niż rozumu”. Znamienna jest w tym kontekście uwaga Brumberga o „Solidarności Walczącej”: „Członkowie SW głoszą, że ich celem jest niepodległość, i są przekonani że prędzej czy później dojdzie do nowego wybuchu społecznego, do którego należy się w pełni przygotować. *And they may yet prove right*, i może się jeszcze okazać że mają rację”. Ten akcent, jak sądzę, pokrywa się dokładnie z ostatnim zdaniem monologu mojego gościa z Warszawy.

27 marca

W XVII stuleciu szeroko rozpowszechniana była legendarna opowieść o wizycie papieża Mikołaja V w roku 1449 w krypcie bazyliki w Asyżu. Kazał otworzyć niszę, w której zamurowano zwłoki Świętego Franciszka. Święty stał w pozycji wyprostowanej, w nietkniętym przez czas habicie, ze splecionymi dłońmi i otwartymi oczami, które zdawały się utkwione w zaświatach. Odchyłszy dolny skraj jego habitu, papież odkrył zdumiony, że z rany w nodze ciekła jeszcze krew.

Historycy sztukiwołują się chętnie na tę legendę w analizach „lionńskiego” Świętego Franciszka Zurbarana. Martwy? Żywy w śmiertelnym uścisku? Sztywna, zdrętwiała postać, trupia twarz, rozchylone martwo usta, oczy wzniesione ekstazy-

nie do góry, lecz zarazem stężełe w wyrazie śmierci. Hiszpański „portrecista mnichów”, jeden z największych malarzy XVII stulecia, nie ograniczał się do tematyki klasztornej, malował także wspaniałe martwe natury, sceny ewangeliczne, bitewne i mityczne, święte niewiasty w przepysznych strojach dam dworskich: wystawa w *Grand Palais* pokazuje go całego, brak kilku tylko obrazów z jego obfitego dorobku. Ale kulminacja „mistycyzmu iberyjskiego” dochodzi najpełniej do głosu u Zurbarana „zakonnego”, szczególnie w różnych wersjach lub wariantach Świętego z Asyżu. I na nich skoncentrowałem się w *Grand Palais*.

Uniesienie mistyczne, ekstaza, czy sztuka zdolna jest dać o nich pojęcie? Bogatsze w każdym razie, niż zapisy bezpośrednie ekstazy, o czym można się przekonać czytając powieści w antologii Bubera, oniemiałe i bezsilne wobec intensywności przeżycia. Słowo poety tnie głębiej i sięga wyżej, podobnie pędzel malarza. Zurbaran, według mnie, znalazł własny klucz malarski do przedstawiania ekstazy i posługiwał się nim we wszystkich wizerunkach Świętego Franciszka. Usiłował mianowicie uchwycić wąskie pogranicze mistyczne między życiem i śmiercią, jakby powtarzając sobie w duchu wersy Świętego Jana od Krzyża: „Żyję nie żyjąc we mnie / i w ten sposób oczekuję / że umrę by nie umrzeć”. *Kłęczący Święty Franciszek w ekstazie* wydaje się doskonałym, absolutnym wcieleniem tych słów. Szkoda jedynie, że Zurbaran tak często pomagał sobie czaszką w rękach ekstazy Franciszka z Asyżu; retoryczna podpórka była wielkiemu wizjonerowi malarskiemu niepotrzebna, może nawet konwencjonalizowała zanadto mistyczną siłę obrazu.

Ale zachwyty dla malarskiego arcydzieła nie oznaczają zgody na Franciszka, jakim go widział Zurbaran. Wielu przypisuje malarzowi hiszpańskiemu zasługę zerwania z tradycyjnym wyobrażeniem Świętego z Asyżu jako „słodkiego poety średniowiecznego”, na rzecz ascetycznego mistyka bliższego rzekomo „prawdzie historycznej”. „Prawda historyczna” jest na tyle spowita legendą, że lepiej ją zostawić w spokoju, skłaniając się raczej ku Franciszkowi z własnego wyboru, zawierając własnej imaginacji. Ja wyobrażam sobie Świętego z Asyżu tak, jak go namalował Cimabue (zresztą w pół wieku zaledwie po jego śmierci, czyli w oparciu o świeże świadectwa „historyczne”). Cimabue ujrzał świętość w zabiedzonym i bardzo ludzkim chucherku, Zurbaran widział ją w ascetycznym mnichu, który w momentach ekstazy „umierał by nie umrzeć”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Kłopoty z socjalizmem

Motta: „Socjalizm młodością świata” — hasło z czasów gdy miałem dwadzieścia lat.

„Socjalizm to przeszłość” — hasło dzisiejszych dwudziestolatków z UNI¹ i pewno z Warszawy też.

„Dokładnie nie wiemy, czym jest socjalizm” — najnowsze wyznanie polskich profesorów marksistów².

Coś się dzieje z socjalizmem. Dotyczy to zarówno ruchu komunistycznego i socjalistycznego na Zachodzie, jak i owegoż socjalizmu realnego w krajach, gdzie rządzą komuniści. Na Zachodzie obserwuje się załamanie marksizmu i jako ideologii masowej, i jako mody intelektualnej wśród studentów oraz inteligencji twórczej. Maleją wpływy partii komunistycznych, a dla „marksizujących” jeszcze partii socjalistycznych coraz oczywistsza jest jałowość ich dziedzictwa ideologicznego, nie dającego odpowiedzi na problemy, których rozwiązania domagają się społeczeństwa zachodnie, uzależniając od tego swe decyzje wyborcze. Trzeba tu jednak przestrzec przed uproszczeniem polegającym na utożsamianiu załamania marksizmu z załamaniem lewicy jako formacji polityczno-intelektualnej. We Francji na przykład, gdzie ów odpływ marksistowskiej fali — kiedyś bardzo znaczącej — jest szczególnie widoczny, nie towarzyszy temu bynajmniej proporcjonalny zwrot społeczny w kierunku prawicy. Partia komunistyczna jest co prawda na skraju upadku, ale elektorat partii socjalistycznej raczej wzrasta w ostatnich latach. Lewica polityczna zakorzeniona jest w społeczeństwach zachodnich głęboko; na poziomie pewnych podstawowych wartości. Takich na przykład jak socjalne bezpieczeństwo, sprawiedliwość społeczna, rów-

ność i tak dalej. Te wartości zaś nie są bynajmniej w odwrocie. Tym natomiast, co się ewidentnie rozpada, jest jej konkretny, historyczny kształt, uformowany jeszcze w dziewiętnastym wieku. Składa się na niego po pierwsze bardzo już dziwaczny język, a ponadto wórek z pomysłami na nowe społeczeństwo i narzędziami do jego budowy. Ani jedno, ani drugie nie pasuje do dzisiejszego świata.

Rozwój, rozkład czy jeszcze coś innego?

Podobne w istocie przeobrażenia zachodzą w krajach rządzonych przez komunistów, z tym, że od przyjścia do władzy Gorbaczowa nabrały one szybkiego tempa. Aby uwypuklić logikę, a także odrębny nieco koloryt tych przemian, związany z faktem, że dotyczą formacji u władzy, spójrzmy na nie z pewnej perspektywy.

Według marksistów rozwój gospodarczy, dokonujący się zawsze w jakichś ramach społecznych, prędzej czy później z nich wyrasta. W rezultacie następuje odrzucenie starych i ustanowienie nowych ram, umożliwiających dalszy rozwój gospodarczy. Ta myśl jako obserwacja, czyli odbicie tego co się dzieje w życiu, jest w wielu wypadkach słuszna i niewinna. Przestaje być jednak taką jako podstawa ideologii ruchu, a potem władzy. W tej roli służy do wykazania, że odziedziczone instytucje, określane kapitalizmem, trzeba zniszczyć, bo przeszkadzają rozwojowi „sił wytwórczych” i zastąpić je innymi, nazywanymi socjalizmem czy komunizmem. Jest to więc w tym zastosowaniu myśl niszczy-cielska, głoszona z przekonaniem, że wie się, co powinno być zniszczone i czym należy je zastąpić. W okresie komunizmu młodego prowadziła ona do prób zlikwidowania elementarnych instytucji ekonomicznego życia społeczności, takich jak pieniądz, rynek, własność prywatna a nawet osobista. Takie samo likwidatorstwo dotknęło oczywiście instytucje polityczne, ale poprzestańmy tutaj na przykładach gospodarczych. Próby te wywoływały wielkie nieszczęścia albo wręcz zbrodnie takie jak rosyjska kolektywizacja w latach trzydziestych, chińska rewolucja kulturalna czy masakra własnego społeczeństwa przez komunistów kambodżańskich.

W miarę jednak jak komunizm w danym kraju się starzał, radykalizm ideologii słabł i prędzej czy później przychodził moment, kiedy przyznawano, że coś, uważane wcześniej za przeżytek, jest nie do zastąpienia i musi być przywrócone lub zostawione poza sferą „walki klasowej”, jeśli zdołało się zachować. Dosić szybko na przykład przyznano, że pieniądz jest wygodnym środkiem rachunkowości, płacenia za pracę i kontrolowania realizacji planów, że można zostawić fragmenty rynku dla rozdziału artykułów konsumpcyjnych, a także dać ludziom pewną swobodę w wyborze miejsca pracy.

Te pierwsze otrzeźwienia, polegające na uświadomieniu, że

1. *Union Nationale Interuniversitaire*. Prawicowa organizacja studentów francuskich.

2. Stenogram z dyskusji. *Kultura* (Warszawa) z 10 lutego 1988 roku.

ideologia konsekwentnie zastosowana prowadzi do straszliwych skutków, są bardzo ważne. Zapoczątkowały one procesy trwające do dzisiaj i obejmujące coraz więcej krajów komunistycznych, w tym także Polskę, która zresztą jest pod tym względem w czołówce. Na te procesy można patrzeć różnie w zależności od stosunku, jaki się ma do systemu. Ci co go popierają, lecz chcą zreformować, widzą w zdejmowaniu klątwy z kolejnych składników gospodarczego dziedzictwa przeszłości objaw rozwoju, postępu dokonującego się w ramach nowej ustrojowej konstrukcji. Aby ten rozwój przyspieszyć, starają się wykazywać, że instytucje ekonomiczne uważane poprzednio za typowe dla kapitalizmu i wobec tego ideologicznie skazane na zniszczenie, są naprawdę uniwersalne, zawsze potrzebne do tego by sprawnie gospodarować, którym nowy ustroj na dodatek stwarza lepsze otoczenie. Od pięćdziesiątego szóstego roku na przykład próbuje się w ten sposób przyprawić sierp i młot zyskowi, dowodząc, że jest zgodny z socjalizmem i na dodatek może służyć mu lepiej, niż służył kapitalizmowi. Do tego ciągle zresztą nie uwieńczonego pełnym sukcesem procesu rehabilitacji doszły w ostatnich latach nowe. Tym razem chodzi o „uniewinnienie” instytucji jeszcze ściślej niż zysk łączonych z kapitalizmem, takich jak rynek kapitałowy, akcje, obligacje czy giełda. Co więcej, kruszy się dogmat o tym, że własność państwowa jest najwyższą formą własności, a wraz z tym widać początek ideologicznego wybielenia własności prywatnej oraz reprivatyzacji, która niekoniecznie już musi oznaczać kurczenie się socjalizmu. Ten proces na razie odnosi większe sukcesy w myśleniu niż w praktyce gospodarczej. Jego postępy w sferze myślenia objawiają się w tym, że socjalizm w wyobrażeniach swych zwolenników ma coraz mniej cech, jakie miał początkowo, za to coraz więcej cech, które jeszcze do niedawna były nieodłączną przywarą kapitalizmu. W rezultacie sam kapitalizm staje się coraz bardziej pusty, gdy chodzi o treść właściwą tylko jemu, a więc zaczyna znikać jako obiekt odrębny. Można więc zrozumieć dezorientację profesorów marksistów zacytowaną na początku, którym „wczorajszy” wróg i „jutrzejszy” socjalistyczny finał coraz bardziej się na siebie nakładają i już nie bardzo wiadomo, co jest czym.

A jednak kapitalizm, choć wydrążany z treści, pozostaje nadal „na służbie” jako ta stara formacja skazana na ustąpienie miejsca prędzej czy później ustrojowi nowemu. Pozostaje na służbie, by podtrzymywać najważniejszą konstrukcję ideologii komunistycznej, że oto budując nowy ustroj idziemy od czegoś przeżytego ku czemuś z przyszłością. Gdy ta konstrukcja się załamuje, kiedy jasne zaczyna być, że dostępna jest tylko ścieżka powrotu, a więc i odwrotu, wówczas wyznawca komunizmu musi stanąć przed prawdziwie egzystencjalnym pytaniem: komu właściwie i po co jestem potrzebny³. No właśnie: im bogatsze w

3. Ta konstrukcja jest współczesnym wydaniem głównego — jak mówi Milan Kundera — politycznego kiczu lewicy, który nazywa on kiczem Wielkiego Marszu. „Idea Wielkiego Marszu — pisze — to kicz poli-

stare idee, w stare instytucje i w stare reguły stają się programy — jak to się mówi — dalszego rozwoju socjalizmu, tym oczywistsze jest, że ustroj w swej rodzimej, oryginalnej warstwie jest bezpłodny, w istocie niereformowalny. Że nie ma zacynu, z którego wyrosłyby specyficzne dla niego formy życia gospodarczego — i politycznego — zdolne rozwiązywać problemy, przed którymi ten ustroj jest stawiany, a jego jedyną ścieżką „rozwoju” prawdziwie oryginalnego jest rozwój obozów pracy. Wszystko inne to albo stagnacja, albo próba wzmocnienia swych sił twórczych przez imitowanie coraz to nowych instytucji należących do rzekomo przeżytej formacji. Takie picie kapitalistycznej krwi. Jest to niewątpliwie postępek, nie polega jednak na rozwoju wyjściowej, klasycznej formy ustrojowej, tak jak to było choćby w przypadku owegoż kapitalizmu, który napotykał problemy znajdował — prędzej czy później — właściwe dla siebie metody wystarczająco skuteczne, by nie musiał szukać ucieczki w naśladowaniu czy wręcz w powrocie do instytucji feudalnych. I takie reagowanie zasługiwało na miano rozwoju. Do tego co przeżywa dziś cała formacja komunistyczna o wiele lepiej, jak się wydaje, pasuje takie słowo jak rozkład, to znaczy dekonfiguracja pewnej konstrukcji, która powstała jako mieszanina ideologii i doraźnych recept na chaos powolucyjnego okresu w Rosji. Dekonfiguracja, rozmontowywanie się tej konstrukcji wskutek wielu porażek praktycznych, głównie ale nie tylko gospodarczych, którym nie udało się zapobiec przez takie czy inne modyfikacje wyjściowe systemu. Dziś jasne jest — także dla zwolenników realsocjalizmu — że cały modyfikacyjny repertuar, czyli wszelkie możliwości reform i rozwoju oryginalnego zostały przetestowane z wynikiem negatywnym, wobec czego pozostaje jedyna alternatywa: stagnacja albo postępowy marsz wstecz⁴.

Granice rozkładu

Interpretacji tego co się dzieje od pewnego czasu w Związku Sowieckim a także w Polsce i niektórych innych krajach bloku jest oczywiście więcej i zależą one — jak już wspominałem — bardzo silnie od politycznego stanowiska tego, kto je daje. O rozkładzie mówi się wśród opozycji, ale słychać tam też opinie, że to wszystko zmiany pozorne czy wręcz manipulacje dla zmylenia własnych społeczeństw albo Zachodu. W kręgach związanych z systemem opinie są także różne. Oprócz reformatorów mówią-

teczny łączący ludzi lewicy wszystkich czasów i wszystkich tendencji. Wielki Marsz to owo podążanie naprzód ku braterstwu, równości, sprawiedliwości, szczęściu i jeszcze dalej, wbrew wszelkim przeszkodom, bo czyż marsz bez przeszkód byłby Wielkim Marszem?” (*L'insoutenable légèreté de l'être*, Gallimard 1984, str. 323).

4. Przedstawiony wyżej pogląd jest bliski opinii prof. Tadeusza Łepkowskiego, który wypowiadając się w warszawskiej *Kulturze* powiedział, że „system komunistyczny jest wprawdzie niereformowalny, ale ewolucyjny”. *Kultura*: „Polska 88 — obawy i szanse”. 23 marca 1988 roku.

cyh o rozwoju są także konserwatyści alarmujący o wyprzedaniu socjalizmu. Zważywszy subiektywny charakter tych interpretacji można by je zostawić na boku jako objawy propagandowego pojedynku między różnymi skłóconymi stronami. Nie jest to jednak takie proste. Sposób widzenia zachodzących zmian ma znaczenie po pierwsze dla trafności i skuteczności poczynań reformatorskich, po drugie dla przybliżenia do siebie różnych sił opowiadających się za głębokimi przekształceniami obecnej rzeczywistości gospodarczej i politycznej. W obydwu przypadkach ważne jest, jak daleko sięgają zjawiska rozkładu. Albo — mówiąc językiem bardziej neutralnym — co powinno być usunięte, aby rzeczywistość gospodarcza i polityczna w dzisiejszych krajach komunistycznych stała się normalna? Otóż wszystko wskazuje na to, że *martwy jest cały* rodzimy — jeśli tak można powiedzieć — pień ustroju. Na ten rodzimy pień składa się najpierw zasada społecznej własności środków produkcji. W praktyce była ona dotąd równoznaczna z oddaniem gospodarki w ręce biurokracji państwowej i partyjnej, centralnej bądź lokalnej, prowadząc do braku troski o narodowy majątek, do zduszenia inicjatywy ekonomicznej społeczeństwa i do wykształcenia struktur ekonomicznych marnotrawiących środki, niszczących przyrodę i odwróconych od potrzeb konsumentów. Zwolennicy gospodarki opartej o dominację tej formy własności nie mają żadnej koncepcji, która dawałaby rozsądne nadzieje na usunięcie wymienionych wad, a także na ujawnienie się jej przewag w stosunku do „niesocjalistycznych” form własności, które to przewagi, jak dotąd, można znaleźć tylko na stronicach marksistowskich podręczników ekonomii. Drugi martwy element ustrojowego pnia to zasada planowania centralnego, która w praktyce była i jest odbiciem nadzędności państwowego dyrygowania, w oparciu nie o interes społeczny, jak głosi teoria, lecz o żądania najsilniejszej, najbardziej wpływowej w danym momencie grupy w ramach biurokracji. Planowanie centralne takie jakie znają wszystkie kraje realnego socjalizmu to także procedura niszcząca mechanizmy rynkowe, czyli to otoczenie, które jest niezbędne dla uzyskiwania wysokiej sprawności gospodarczej. Również i tutaj nie ma żadnych nowych idei — znowu poza inkorporacją „planowania” kapitalistycznego — które by pozwalały przypuścić, że ten istny bożek komunistyczny znacznie wreszcie dawać te obfite dobrodziejstwa podręcznikowe. Nie jest też prawdą, że oba wymienione filary systemu kiedyś się dobrze sprawowały. W rzeczywistości nie były to nigdy rozwiązania pozwalające na uzyskiwanie wysokiej sprawności gospodarczej. Były to od początku budowle ślepej uliczki. Istnieją poważne studia wykazujące, że gdyby nie rewolucja październikowa, która przerwała naturalny proces industrializacji Rosji, byłaby ona dziś gospodarczo lepiej rozwinięta niż jest. Także inne kraje komunistyczne, europejskie i pozaeuropejskie, nie są świadectwem szczególnej zdolności tej konstrukcji ekonomiczno-politycznej do zapewnienia zdrowego i stosownego do potencjału danego kraju rozwoju gospodarczego. Najbardziej chyba jaskrawym przykładem jest ponury marazm Korei Północnej i rosnąca

wielka potęga gospodarcza Południa. Ale wymowne byłoby też porównanie krajów byłych Austro-Węgier czy RFN i NRD⁵. Nie ma też żadnego rzeczowego uzasadnienia nadzieja, że co prawda owo uspołecznienie i planowanie nie spełniają dzisiaj oczekiwań, ale ich czas nadejdzie. Wobec tego skoro je już mamy przedwcześnie, to przechowajmy ten pierwiosnek socjalizmu do właściwych mu czasów, wpuszczając na razie tu i ówdzie trochę kapitalizmu. Takie rozumowanie spotyka się nadal bardzo często wśród związanych z systemem osób⁶. W tym i tych, które widząc jego niewydolność opowiadają się za zasadniczymi reformami. Otóż tego rodzaju nastawienia wynikające z utrzymywania się złudzeń ideologicznych będą zawsze powodowały niekonsekwencje w koncepcjach zmian i w ich realizacji, przyczyniając się do porażek kolejnych prób reform. Ich wpływ można dostrzec również w obecnym drugim etapie, który już grzęźnie w obawach, że pójdzie się za daleko i wyrządzi nieodwracalną szkodę socjalizmowi.

Wracając do pytania o zasięg zjawisk rozkładu można więc odpowiedzieć, że widoczne są one tam, gdzie wychodzą kiedyś od socjalistycznej myśli zdecydowano nie tylko ukształtować inaczej politykę socjalną i system podziału dóbr, lecz także zmienić

5. W prasie polskiej zaś pojawiają się stwierdzenia wyglądające jak deklaracje o bankructwie, takie jak choćby ta: „Gospodarka krajów socjalistycznych pozostała jakościowo daleko w tyle za gospodarką kierującą się zasadami stałego współzawodnictwa (to znaczy za gospodarką kapitalistyczną, kierującą się zasadą konkurencji — wyjaśnijmy ten wstydlivy eufemizm — W.K.). Wystarczy przypomnieć, że na kraje socjalistyczne — skupiające ponad jedną trzecią ludzkości — przypada obecnie niecałe 10 % światowego eksportu (składa się on przy tym głównie z produktów prostych mało przetworzonych, 3 % światowych innowacji technicznych o znaczeniu międzynarodowym i 1 % pomocy dla społeczeństw trzeciego świata”. (Michał Dobroczyński: „Zasadnicza reforma systemu”, *Przegląd Tygodniowy* z 6 marca 1988).

6. Świadczą o tym następujące stwierdzenia dokumentu (do użytku wewnętrznego) opracowanego w partyjnej Akademii Nauk Społecznych (dawna WSNS) i ujawnionego w niezależnym czasopiśmie *KURS* (nr 33): „Zadanie socjalistyczne odnowy należy raczej ująć w formule: odstąpić by stworzyć przesłanki dla przyszłego skutecznego i efektywnego postępu socjalizmu. Odstąpienie to, cofnięcie się, nie może być przy tym pojmowane w żadnym razie pejoratywnie, chodzi bowiem o odstąpienie formalne tylko, o odstąpienie w pewnym sensie nierzeczywiste. Przykładowo — formalnym odstąpieniem jest likwidacja pewnej liczby nierentownych PGR-ów, boć przecież ich socjalistyczny charakter był pozorny. Formalnym odstąpieniem jest jawne dopuszczenie w polityce kulturalnej konkurencji z ideowo obcymi prądami, bowiem nierzeczywisty jest obecny triumf, przedwcześnie proklamowany, marksizmu i socjalizmu w kulturze”. Ten dokument niekoniecznie musi — choć oczywiście może — wyrażać rzeczywiste poglądy jego autorów. Nie można wykluczyć, że opracowano go jako strawne opakowanie ideologiczne dla różnych niezupełnie „socjalistycznych” działań obecnej ekipy, służącej łatwiejszemu przekłnięciu ich przez konserwatywną część aparatu. Nawet jednak przy takiej interpretacji świadczy on o istnieniu w tym aparacie kręgów, które uważając obecny kurs za niezgodny z linią socjalistyczną, gotowe są zaaprobować go co najwyżej jako odwrót taktyczny.

radykalnie sposób produkcji, likwidując własność prywatną i gospodarkę rynkową. Krótko mówiąc *martwy jest socjalizm jako system gospodarowania*. Widać to oczywiście w pierwszym rzędzie na przykładzie krajów, gdzie ten system panuje, ale ten sam wniosek można wyprowadzić z różnych socjalistycznych eksperymentów w dziedzinie produkcji, jakie robiono na Zachodzie. Przykładem najnowszym, a niewykluczone, że i ostatnim była próba zerwania z kapitalizmem przez socjalistów francuskich na początku tego dziesięciolecia. Jak wszystkie inne, skończyła się ona wielkimi trudnościami ekonomicznymi kraju, wymierzając przy okazji śmiertelny cios tradycyjnym, gospodarczym koncepcjom lewicy marksizującej. Nie ma ona dzisiaj koncepcji dotyczących sfery gospodarowania, które byłyby wyprowadzone z jej ideowego dziedzictwa i pozostawały wiarygodne, nie skompromitowane przez minione klęski. Niepowodzenie socjalizmu jako systemu gospodarowania jest więc zjawiskiem powszechnym, planetarnym i wobec tego główną wytyczną procesu reformatorskiego w Polsce także dla osób o socjalistycznej orientacji powinna być perspektywa likwidacji tego systemu, ponieważ trwanie przy nim jest trwaniem przy rozwiązaniach nie dających naszemu krajowi przyszłości.

Dziecięca choroba pravicowości

„Domagajmy się likwidacji socjalizmu” — powiedział nie tak dawno Kisiel w wywiadzie dla *Tygodnika Mazowsze* i to był moim zdaniem postulat odważny i słuszny pod warunkiem — powtarzam — że mamy na myśli socjalizm jako system tak zwanych stosunków produkcji⁷. Nie ma natomiast powodu, by rozciągać ten postulat na socjalizm jako inspirację dla całej gamy polityk socjalnych czy też sposobów podziału dóbr, znanych w oparciu głównie o doświadczenie zachodnioeuropejskich „państw dobrobytu” czy „państw opiekuńczych”. W tej roli bowiem może się on wykazać wielkimi osiągnięciami i nadal zachowuje żywotność, a te opiekuńcze państwa mimo krytyk, jakim są ostatnio poddawane i mimo likwidacji takich czy innych przesadnie opiekuńczych rozwiązań, trzymają się zupełnie dobrze.

7. „Powstaje... istotne pytanie; czy aby uruchomić niezbędne w naszej sytuacji mechanizmy efektywności, wystarczy jeszcze reforma socjalistyczna? To znaczy reforma, która uszanuje podstawy realnego socjalizmu?” — prof. Jan Mujzel w: „Polska 88 — obawy i szanse”. *Kultura* (Warszawa) z 23 marca 1988 roku oraz: „cała polityka państwa socjalistycznego powinna się koncentrować na sferze podziału bez wtrącania się do szczegółów procesu produkcji” — prof. Teodor Kramer, „Na drodze do zdrowego rynku”. *Rzeczpospolita* z 25 marca 1988 roku. Jak widać myśl, że socjalizm trzeba wyprowadzić ze sfery stosunków produkcji przenika już do profesjonalnych środowisk ekonomicznych będących jeszcze do niedawna całkowicie pod wpływem popaździernikowego rewizjonizmu z jego tezą o rynku, jako instrumencie planu. Ale jest w nich ciągle dużo konserwy, którą dzisiaj są niekiedy postępowcy sprzed trzydziestu lat.

Omawiając tendencje ostatnich lat, pisze Raphael Hadas-Label, profesor prestiżowego paryskiego Instytutu Nauk Politycznych: „Zmniejszanie kontroli, dereglamentacja, reprivatyzacja, zmniejszenie podatków, redukcja deficytu budżetowego, wszystkie te rozsądne zresztą posunięcia zmierzają do odwrócenia tendencji, która bez względu na kolor polityczny rządów nie przestawała nasilać się przez ostatnie stulecie: tendencji do coraz większego interwencjonizmu państwa. Ale równocześnie można było zauważyć, że *'reaganomics'* ma także swe granice. Liberalizacja nie zmniejszyła skali obowiązkowej redystrybucji środków społecznych kanałami publicznymi, a reprivatyzacja nie położyła kresu wpływom ulicy Rivoli (siedziba francuskiego ministerstwa finansów — W.K.). Colbertyzm nie jest martwy⁸!”. Państwa opiekuńcze także. Są one bowiem przykładem rzeczywistości społecznej, w której osiągnięto najlepszą jak dotąd równowagę między wymaganiami sprawnej wytwórczości a potrzebą pewnego bezpieczeństwa socjalnego, przede wszystkim dla tych, którzy będąc mniej zdolni i dynamiczni, mają prawo do minimum egzystencji, jako ludzie po prostu. Warto też zauważyć, że w czasie gdy na wysoko rozwiniętym Zachodzie raczej słabnie ofensywa przeciwników państw opiekuńczych, bo do zaatakowania są teraz już bardzo mocno osadzone ich bastiony, w tym samym czasie w nieopiekuńczej raczej Korei Południowej rośnie w siłę ruch społeczny, domagający się zdobyczy, które kiedyś zapoczątkowały opiekuńczą budowlę kapitalistycznej Europy. Od pierwszego kwietnia tego roku weszły w życie na przykład postanowienia o wprowadzeniu minimalnej płacy gwarantowanej, o 48-godzinnym tygodniu pracy, o pięćdziesięcioprocentowym dodatku do płacy za godziny nadliczbowe, których ilość maksymalna w tygodniu nie może przekroczyć 12-tu. Weszło także w życie nowe ustawodawstwo związkowe znoszące zasadę, że można utworzyć związek zawodowy dopiero wtedy, gdy wstąpi do niego co najmniej 20% zatrudnionych w przedsiębiorstwie (zasada, że w jednej fabryce może być tylko jeden związek — jak w PRL — obowiązuje nadal). Od państw opiekuńczych jakie znamy z naszego kręgu cywilizacyjnego Koreańczycy są jeszcze odlegli, ale idą w tym kierunku pod naciskiem „ludowych mas”. Nie są to więc idee martwe, lecz co najwyżej w okresie pewnego wytracenia dynamizmu i to tam, gdzie doszło do przesady. W Polsce na pewno do niej nie doszło. W związku z tym *zdziwienie budzi zapał, z jakim nasza opozycja liberalna, czyli ta która domaga się przywrócenia kapitalizmu, atakuje idee państwa opiekuńczego*. Jeżeli ma to być zakamuflowany atak na system, to chybia on celu, bo komunistyczne państwo nie jest bynajmniej państwem opiekuńczym, jeżeli słowo „opieka” pozostawiamy jego właściwe znaczenie. Opieka bowiem wynika z troski o bliźniego, podczas gdy opiekuństwo państwa komunistycznego jest fragmentem systemu nadzoru nad obywatelem i przypomina bardziej opiekę, jaką

8. *Rôle de l'Etat: consensus et divergences* — *Le Monde* z 24 marca 1988 roku.

otoczeni są więźniowie, a ponadto czasami jest odbiciem niesprawności samego systemu. Pełne zatrudnienie w krajach komunistycznych na przykład wynika głównie z żarłoczności gospodarki na wszystkie czynniki produkcji, więc i na pracę. Jest więc co najwyżej opiekuństwem mimo woli i to bardzo marnym.

Atakowanie państwa opiekuńczego na polskim gruncie wydaje się również błędne taktycznie i w pewnym sensie podszyte fałszem. Sugeruje ono mianowicie, że jeżeli kapitalizm kiedykolwiek zjawi się znów nad Wisłą, to tylko w postaci dziewiętnastowiecznego mustanga z Dzikiego Zachodu i z hasłem „niech żyją silni, niech toną słabi”. Otóż takiego kapitalizmu nie ma dziś na świecie w najbardziej kapitalistycznych krajach, a temperatura liberalnej wiary u niektórych jej wyznawców nad Wisłą przypomina „dziecięcą chorobę prawicowości”. Ponadto po czterdziestu przeszło latach antykapitalistycznej indoktrynacji w społeczeństwie polskim zakorzenione są szeroko i głęboko uprzedzenia do kapitalizmu, opierające się głównie na obawach, że jest to ustrój zostawiający słabych na pastwę losu i silnych. W tych warunkach wprowadzanie do obiegu publicznego postulatu rekapitalizacji gospodarki polskiej — co uważam za wielką zasługę naszych liberałów — pod sztandarem doktryny liberalnej i to często interpretowanej bardzo skrajnie musi osłabiać atrakcyjność takiego zamierzenia w oczach szerokiej publiczności. Wystawia je też na łatwe, czasem i demagogiczne ataki zwolenników socjalizmu zarówno z obozu rządowego, jak i z opozycji. Nie ma żadnego powodu, by perspektywa pełnego powrotu do mechanizmów ekonomicznych typowych dla Zachodu wymagała jednoznacznego opowiedzenia się za Friedmanem przeciwko Keynesowi, za kapitalizmem amerykańskim przeciwko kapitalizmowi szwedzkiemu. W Polsce spór na ten temat, wyjąwszy ściśle akademickie dyskusje, jest przedwczesny, najpierw bowiem muszą być stworzone warunki instytucjonalne, w których ewentualne kontrowersje tego typu będą miały znaczenie praktyczne. Liberalowie mają oczywiście pełne prawo występować i dziś pod sztandarami swoich mistrzów, dowodząc, że proponowane przez nich rozwiązania są lepsze niż inne. Nie mogą natomiast i nie powinni uzurpować sobie prawa wyłączności na handel kapitalizmem w Polsce przez wmawianie klientom, że inne „firmy” poza ich własną już zbankrutowały. Taka uzurpacja byłaby bardzo nieliberalna.

Parę uwag na zakończenie

Czytelnik powyższych uwag mógł pewno odnieść wrażenie, że jestem jakoś szczególnie związany z socjalizmem czy lewicą. Nie jestem. Uważam natomiast, że potrzebne jest w Polsce zbliżenie sił reformatorskich. Znajdują się one zarówno w obozie rządowym jak i w opozycji. Ze względu na zupełnie podstawowy konflikt ustrojowy dzielący te dwie strony trudno wyobrazić sobie sojusz między nimi. Celowe byłoby jednak i być może realne

pewne przybliżenie perspektyw, polegające na pozbywaniu się resztek utopii przez jedną ze stron, a jeśli tak można powiedzieć „restauracyjnej skrajności” przez drugą. Jak powiedziałem wyżej, uważam, że socjalizm jako system gospodarowania jest bez przyszłości, a zatem podstawową wytyczną procesu reformatorskiego w Polsce formułowaną bez jakichkolwiek ogródek powinien być powrót do gospodarki kapitalistycznej. Jest to zadanie na całą epokę. Przejście od gospodarki skrajnie zetatyzowanej i centralistycznie zarządzanej od pięćdziesięciu bez mała lat do gospodarki w pełni rynkowej i zreprivatyzowanej to problem, którego jeszcze nikt nie rozwiązał. Nie powinno być żadnych złudzeń co do ogromnej trudności tej „zagadki”. W moim jednakże przekonaniu będzie ona ostatecznie rozwiązana tak czy owak. Lepiej więc zmierzać do tego z pełną świadomością (choć niekoniecznie z głośnymi deklaracjami) niż metodą skoków i odwrotów, wynikającą z niezdolności reformatorów rządowych (a także części opozycyjnych) do pozbycia się resztek socjalistycznej fatamorgany. Dla zachęty warto może przytoczyć następujące słowa prezydenta Pekinu, Xu Jiataun, wypowiedziane podczas jego niedawnej wizyty w Hong-Kongu. „Niektórzy towarzysze — mówił — obawiają się kapitalizmu, ponieważ niewiele o nim wiedzą. Nie biorą pod uwagę, że kapitalizm bardzo się od czasów Karola Marksa zmienił. W rzeczywistości system nowoczesnego kapitalizmu jest największym wynalazkiem ludzkiej cywilizacji⁹”. Święte słowa. Rekapitalizacja gospodarki polskiej nie będzie oznaczała jednak, że wraz z nią skończy się definitywnie historyczna rola formacji socjalistycznej, czy tym bardziej lewicy jako takiej, co niekiedy sugerują liberalni neofici. Przeciwnie: doświadczenie „zsocjalizowanego” kapitalizmu europejskiego dowodzi, że gospodarka rynkowa i prywatna jest wdzięcznym terenem dla urzeczywistniania wielu idei ruchu socjalistycznego, włącznie z ideą pewnego sterowania nią przez władze publiczne. Pamiętamy stary dowcip o tym, jak to Karol Marks przeszedł do NRD, lecz Kapitał pozostał w Republice Federalnej. Niewykluczone, że prawdziwa jest obserwacja bardziej stanowcza, iż w gruncie rzeczy socjalizm pozostał na kapitalistycznym Zachodzie, podczas gdy na Wschód udały się jego wypaczenia.

Waldemar KUCZYŃSKI

Sartrouville, marzec 1988

9. *Le Monde* z 25 marca 1988 roku.

Polacy w Kazachstanie

Opublikowano już niemało historycznych rozpraw naukowych na temat Polaków zsyłanych do Kazachstanu przez władze carskie, poczynając od lat 30-tych XIX wieku. Ukazują się one nadal zarówno w ZSSR, jak i w Polsce. Na uniwersytecie w Ałma Acie są historycy, zajmujący się szczególnie tym tematem. Natomiast najnowsze, często dramatyczne i tragiczne dzieje zesłańców do Kazachstanu, które rozpoczęły się pod koniec lat 30-tych, są praktycznie nieznane. Wprawdzie we wspomnieniach Polaków, deportowanych do tego kraju przez władze sowieckie z kresów wschodnich w latach 1940-1941, spotykamy szereg wzmianek o rodakach zesłanych tam z Ukrainy zachodniej, lecz są to jedynie okrucy wiadomości na ten temat.

1. Kiedy zaczęły się masowe deportacje Polaków z Ukrainy do Kazachstanu?

Z różnych, nieopracowanych dotychczas relacji wiadomo, że na wielką skalę zaczęły się one w 1937 roku. Wywożono wówczas osiadłych tam od wieków Polaków spod Żytomierza, Połonnego, Winnicy, Baru, Kamieńca Podolskiego, Płoskirowa itd., praktycznie z całej prawobrzeżnej Ukrainy oraz z Białorusi, a więc z całego pasa wzdłuż granicy polsko-sowieckiej. Bardzo często aresztowano przedtem samych mężczyzn i rodziny nigdy już nie dowiedziały się niczego o ich losach. Takie rodziny, pozbawione wówczas ojców, synów i braci, mieszkają obecnie w Krasnoarmiejsku i okolicy. Tych, których wywieziono wyrzucano często w step, dawano jakieś narzędzia, takie jak łopaty i siekiery i przypisywano do jakiegoś kołchozu. Ludzie wkopywali się w ziemię dla ochrony przed mrozem, masowo umierały dzieci. Po-

mimo ciężkiej pracy ponad siły, dokuczał głód i panowała nędza. Nie było żadnej opieki religijnej.

Władze sowieckie narzuciły Polakom drakońską i upokarzającą system inwigilacji i kontroli. Przez piętnaście lat obowiązywało ich meldowanie się na milicji co niedziela i nie wolno im było bez pozwolenia oddalać się z miejsca zamieszkania ponad dwa kilometry. Dopiero po 15 latach tej udręki meldowanie się na milicji obowiązywało co miesiąc. W pokoleniu wywiezionych wówczas z Ukrainy do dziś panuje paniczny strach przed milicją.

Zesłani do Kazachstanu Polacy nie mieli żadnych warunków dla pielęgnowania swojej kultury. Nie było polskich szkół, gazet i możliwości zreszania się, podobnie zresztą, jak i obecnie. Zaczął się proces wynarodowienia młodego pokolenia i stopniowe odchodzenie dużej jego części od wiary, na skutek ateistycznej propagandy i braku opieki religijnej.

2. Przemiany lat pięćdziesiątych

Po śmierci Stalina, w połowie lat 50-tych, razem z wielu innymi zostali zwolnieni z łagrów księża katolicy, aresztowani na kresach wschodnich, Ukrainie, Łotwie i Litwie, po zajęciu tych terenów przez Armię Czerwoną. Natychmiast po zwolnieniu rozpoczęli oni nielegalną pracę duszpasterską (inna była nielegalna) wśród różnych narodowości zesłanych do Kazachstanu. Byli za to aresztowani i skazywani na kilkuletnie więzienie, lecz życie religijne i opieka duszpasterska zaczęły się powoli organizować. Powstawały stopniowo ubogie domy modlitwy, z których, po latach, miały wyrosnąć pierwsze, obszerniejsze kaplice katolickie. Po latach upartych i ofiarnych starań, pisania do Moskwy i wożenia tam podań, podpisywanych przez setki osób, były one stopniowo rejestrowane, to znaczy stawały się uznawanymi przez władze punktami kultu katolickiego.

Jednymi z pierwszych i wielkimi apostołami Kazachstanu, pracującymi wśród Polaków i Niemców byli nieżyjący już dziś księża Władysław Bukowiński, Józef Kuczyński i Bronisław Drzepecki, wszyscy trzej z diecezji łuckiej oraz o. Kaszuba z zakonu oo. kapucynów. Dwaj pierwsi pozostawili po sobie cenne dla historii Polaków i Kościoła na tych ziemiach wspomnienia, opublikowane na Zachodzie*. Wszyscy czterej zmarli w ZSSR w latach 1977-1984. Groby o. Kaszuby i ks. Bukowińskiego znajdują się w Kazachstanie. Dwaj pozostali spoczywają na Ukrainie, w parafiach, w których pod koniec życia pracowali.

* Por.: Ks. Wł. Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*. Paryż 1981. Ed. Spotkania; Ks. J. Kuczyński, *Między parafią a łagrem*. Paryż 1984. Ed. Spotkania.

Duszpasterze ci swoją ofiarną i często heroiczną pracą nie tylko zaspokajali potrzeby religijne wiernych, lecz inspirowali także ich starania u władz sowieckich o zarejestrowanie kaplic i domów modlitwy. Czy historia tych starań i ponoszonych ofiar zostanie kiedyś spisana? To dzięki tym duszpasterzom powstała istniejąca dziś w Kazachstanie i sąsiednich republikach sieć około 20 parafii i podobna liczba zarejestrowanych oraz nieuznawanych przez władze domów modlitwy, obejmujących rozległe tereny całego Kazachstanu i obsługiwanych stale lub okresowo przez jedynastu pracujących tam duszpasterzy. Oto ich lista:

- 1) Aktiubińsk. — W 1981 roku zmarł tu duszpasterz, o. Karl Gumperberg OFC i obecnie dojeżdża do Aktiubińska z Litwy kapłan litewskiego pochodzenia. Wierni starają się o to, by mógł tu osiąść na stałe.
- 2) Ałma-Ata. — pracuje tu o. Jurij Potorejko, Ukrainiec, dojeżdżający ponadto do dwóch filii o nazwach Nikołajewka i Ostrowski.
- 3) Celinograd. — Dojeżdża tu raz w miesiącu z Łotwy ks. Wincenty Barzda, mając na to pozwolenie władz. Wokół Celinogradu istnieje dziesięć niezarejestrowanych domów modlitwy, zwykle bardzo od siebie odległych. Odwiedza je nieregularnie ks. Albinas Dumblauskas, Litwin, pracujący na stałe w Karagandzie.
- 4) Czu. — Pracuje tu ks. Antoni Stankawiczius.
- 5) Dżambuł. — Pracuje tu ks. Jan Pawłowski, Łotysz.
- 6) Duszanbe (Tadżykistan). — Duszpasterzem jest tu ks. Jurgis Sigitas z Litwy, który obsługuje także Kurgan-Tibi.
- 7) Fergana. — W ubiegłym roku otrzymał tu pozwolenie na pracę głośny ze swego procesu (1985 r.) i więzienia w Duszanbe, ks. Józef Świdnicki z Ukrainy. Dzięki rozgłosowi, jaki udało się szczęśliwie nadać jego procesowi sądowemu, a następnie tysiącom listów i paczek, jakie napływały do więzienia z Zachodu, został wcześniej zwolniony (1987 r.) i otrzymał pozwolenie na pracę duszpasterską w Ferganie.
- 8) Frunze. — Duszpasterzem jest tu ks. Bogdan Gotlieb.
- 9) Karaganda. — Pracuje tu wspomniany wyżej ks. Albinas Dumblauskas, dojeżdżający zarazem do Szartande oraz do niezarejestrowanej placówki w Pawłodarze.
- 10) Kustanaj. — Duszpasterzem jest tu o. Aleksander Bień,

franciszkanin z przedwojennych terenów polskich, jedyny na terenach duszpasterz Polak. Do obsługi ma także kaplicę w Czelabińsku.

- 11) Krasnoarmiejsk. — Od niedawna duszpasterzem jest tu ks. Paweł Lenga z Gródka k. Satanowa (przed wojną w ZSSR) Ukrainiec. Do obsługi duszpasterskiej ma ponadto następujące miejscowości, w których władze zarejestrowały kaplice: Asanowo, Izabilnoje, Kellerówka, Liniejewsk oraz Szczucińsk. Dojeżdża do nich 2-4 razy do roku.
- 12) Prokopiersk. — Pracuje tu o. Wasylj.
- 13) Nowosybirsk. — Duszpasterzem jest tu ks. Vitautas z Litwy.

Gdyby wymienione wyżej oraz nie wyliczone z nazwy miejscowości zostały naniesione na mapę ogromnego Kazachstanu i sąsiedniego Tadżykistanu, otrzymalibyśmy obraz obecnego zasięgu skupisk ludności polskiego i niemieckiego pochodzenia, wywiezionej tu przed drugą wojną światową.

3. Liczba Polaków w Kazachstanie

Niełatwo jest dziś określić ją nawet w przybliżeniu. „Atlas narodów mira”, wydany w Moskwie w 1962 roku, podawał, że w Kazachstanie jest 80 tys. Polaków. Znając jednak tendencyjność oficjalnych danych sowieckich w sprawach narodowościowych, dotyczących Polaków, można bez obawy większej pomyłki przyjąć, że prawdziwa liczba jest co najmniej dwukrotnie większa. O ile mi wiadomo, nikt dotychczas nie próbował ocenić ilości wywiezionych w latach 30-tych Polaków z Ukrainy do Kazachstanu. Wiadomo jedynie, że ludność polskiego pochodzenia na terenach obejmujących dzisiejsze *oblasti* żytomierską, winnicką, chmielnicką (Płoskirów) i inne okręgi, zmniejszyła się do tego stopnia, iż w porównaniu ze stanem sprzed wywózek, pozostało jej zaledwie kilkanaście lub nawet kilka procent. Należy jednak dodać, że tereny te były objęte tzw. repatriacją po 1944 roku, która faktycznie była ekspatriacją zamieszkałej tu od paru wieków ludności polskiej. Z relacji osób, które dziś można spotkać za Zbruczem wiadomo, że po wywózkach w 1937 roku pustoszały często niemal całe wioski. Tak było np. w okolicach Żytomierza, Winnicy, Baru, Kamieńca Podolskiego i gdzie indziej. Wróćmy do Kazachstanu.

Według urzędowych statystyk sowieckich, w samej tylko *oblasti* Kustanaj było w 1986 roku 50 tys. Polaków. A oto liczby osób polskiego pochodzenia i zachowujących narodowość

polską, regularnie praktykujących w parafii Krasnoarmiejsk i związanych z nią filiach:

Krasnoarmiejsk	700 osób
Kellerówka	1.000 "
Liniejewsk	1.000 "
Izabelnoje	400 "
Szczucińsk	300 "

Daje to liczbę ogólną 3.400 osób. Można przyjąć, że liczba Polaków jest znacznie wyższa, gdyż osoby regularnie praktykujące stanowią zwykle ok. 1/3 ogółu. Reszta praktykuje nieregularnie lub jest religijnie obojętna. W wymienionych wyżej pięciu miejscowościach Polacy liczebnie przewyższają Niemców.

Na marginesie powyższej informacji warto wspomnieć, że o otwarciu kaplicy w Kellerówce Polacy starali się z górną dziesięć lat, zawiązując w tym okresie do Moskwy niezliczone ilości podań i prośb. Do Kellerówki przyjechał nawet sam Kurojedow, minister w Najwyższym Sowiecie dla spraw wyznań religijnych, by zbadać sprawę na miejscu.

Ważnym centrum życia religijnego katolików jest kościół w górniczym mieście Karaganda. Jest to jedyne miejsce, gdzie katolicy, w większości Niemcy, mają już nie kaplicę w baraku lub chacie, lecz niemal kościół (pod wezwaniem św. Józefa) na kilkaset osób. Po wielu staraniach i nie bez powiększenia go ponad dozwolone przez władze rozmiary (co znów było przyczyną wielu kłopotów), zbudowano go w latach 1977-1978, na miejscu dawnej chatki, domu modlitwy. Konsekwował go przebywający w Karagandzie (osiadł tu po zwolnieniu z więzienia) unicki biskup, Antoni Hira, zmarły w 1983 roku.

Regularnie praktykujących jest tu ok. 3 tys. Niemców i ponad 1.000 Polaków. W każdą niedzielę odprawia się cztery msze św., w tym jedną (o godz. 10.00) dla Polaków. Mogą na niej śpiewać pieśni polskie, lecz języka polskiego słyszą niewiele, gdyż ks. Albinas Dumblauskas zna go bardzo słabo i zajmuje się przede wszystkim Niemcami. Ci ostatni odznaczają się dużą gorliwością religijną, rozbudzoną jeszcze przez ks. Wł. Bukowińskiego. Niemcy pracują w kopalniach węgla, mają opinię dobrych pracowników i przechodząc na emeryturę w wieku nieco ponad 50-ciu lat, są wielkim duchowym i fizycznym wsparciem parafii.

Z rodzin katolickich w Karagandzie wyszli w ostatnich dwóch latach dwaj młodzi księża pochodzenia niemieckiego (rodzeni braćmi), a 9 alumnów, również z rodzin niemieckich, przygotowuje się do kapłaństwa w Seminarium Duchownym w Rydze na Łotwie. W 1987 roku rozdano w Karagandzie 127 tys. komunii św.

Duszpasterstwo w stolicy Kazachstanu, Ałma-Acie, ma również charakter językowo niemiecki. W niedziele i święta uczestniczy tu w mszy ok. 450 wiernych, głównie Niemców. Polacy uczestniczą w nabożeństwach niemieckich i licznie przybywają z odległych okolic Ałma-Aty tylko na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Pracujący tu o. Potorejko obsługuje także, jak wspomniano, miejscowości Nikołajewka i Ostrowski, gdzie z kolei ogromną większość wiernych stanowią Polacy pracujący w kołchozach i częściowo w fabrykach. W 1987 roku było w Ałma-Acie 300 chrztów, lecz, co ciekawe, były to osoby w średnim wieku. Co niedzielę rozdawanych tu jest ok. 300 komunii św.

Wśród praktykujących osób ogromną większość stanowią ludzie w starszym wieku. Na dzieci i młodzież od samego początku do chwili obecnej wywierana jest silna presja antyreligijna. Pomijając już ateistyczną propagandę w szkole, w której *piestrojka* nic nie zmieniła, za pójście do kościoła nadal grozi się dziecku wyrzuceniem ze szkoły. Pogrożki takie wypowiadają nauczyciele wobec dzieci i rodzice biorą je bardzo poważnie. Nic dziwnego, że w tych warunkach wielka część młodego pokolenia odeszła stopniowo od Kościoła. Tym bardziej, że nie miało ono normalnej katechezy i wprowadzenia w sakramenty św. Dzieła dopełniają częste małżeństwa mieszane ze stroną rosyjską religijnie obojętną lub niewierzącą.

4. Dramat religijny Polaków w Kazachstanie

Trzeba przyznać, że katolicy niemieccy często górują nad Polakami, gdy chodzi o postawy religijne i są lepiej zorganizowani. Ich sytuacja społeczna i kulturalna jest bez porównania lepsza, niż Polaków. Mają bowiem gazety w języku niemieckim, jakieś audycje radiowe i mogą niekiedy emigrować do RFN lub NRD. Sowietci się z nimi liczą, gdyż o ich prawa upomina się potężna gospodarczo i politycznie Republika Federalna Niemiec. Protestancy biskupi z Niemiec odwiedzają niekiedy swoich wiernych w Kazachstanie. To wszystko jest nie do pomyślenia, gdy chodzi o Polaków.

Przed wszystkim jednak mają oni o wiele lepszą opiekę religijną w ich rodzimym języku. Poza o. Aleksandrem Bieniem, który jest Polakiem, pozostali księża są pochodzenia ukraińskiego, litewskiego lub łotewskiego, co, niestety, rzutuje negatywnie na ich stosunek do Polaków. Jeżeli niektórzy z nich mają postawę prawdziwie kapłańską wobec wszystkich, to większość z nich traktuje Polaków niechętnie, wcale tego nie ukrywając, i o nabożeństwa w języku polskim nie dba. Przykro jest pisać w ten sposób

o katolickich kapłanach, lecz stanu tego, trwającego od lat, dalej pomijać milczeniem nie można.

Należy wyraźnie powiedzieć, że Polacy w Kazachstanie w katolickich kościołach są zaniedbani i niekiedy pokrzywdzeni tylko dlatego, że u duszpasterzy uczucia etniczne biorą nierzadko górę nad zasadniczymi przecież w duszpasterstwie motywami etycznymi i religijnymi. Przypominają się tu słowa św. Pawła Apostoła: „Dla Żydów stałem się Żydem, a dla Greków Grekiem, by jednych i drugich pozyskać dla Chrystusa”. Wyrażają one dobrze dzisiejsze oczekiwania Polaków w Kazachstanie.

Długie lata bez obecności kapłanów i ofiarne starania o otwarcie kaplic pogłębiły tradycyjne u Polaków na kresach przywiązanie i cześć, jaką im okazują. Ale tym większy jest ich ból i smutek, gdy widzą i czują mimo wszystko niechęć do siebie. Trucizna nacjonalizmu zatruwa w ten sposób życie religijne wygnanców. Brak hierarchii kościelnej i nieograniczona władza miejscowych duszpasterzy nie sprzyjają rozwiązywaniu różnych trudności, wręcz przeciwnie, powiększają je i nie pozwalają ich rozwiązywać.

Do seminarium duchownego w Rydze, gdzie kandydatom polskiego pochodzenia o wiele łatwiej jest uzyskać przyjęcie, niż do analogicznego seminarium w Kownie (traktowani są tu niechętnie) zgłaszają się całe grupy młodych ludzi z polskich rodzin katolickich na Białorusi i Ukrainie. Duża część uzyskuje od sowieckich władz wyznaniowych, bo one właśnie mają w tym względzie głos decydujący — zgodę na przyjęcie. Z tych terenów jest także niemało powołań do ukrytych zgromadzeń zakonnych żeńskich (prawo państwowe zakazuje ich istnienia).

Uwagę zwraca fakt, że dotychczas nie ma żadnego kandydata do seminarium duchownego polskiego pochodzenia z Kazachstanu. Czy nie wypływa to z upośledzenia Polaków w obsłudze religijnej na tych terenach?

Polacy w ZSSR, pomimo iż posiadają rzekomo niezależny rząd i państwo, są przez nie całkowicie zaniedbani. Gdy tu czy tam zgłaszają się do konsulatu PRL z prośbą o jakąś interwencję, urzędnik nawet słuchać o tym nie chce. Przez 40 lat z górą w polskiej prasie krajowej na temat wielkiej Polonii w ZSSR było zupełnie głucho. Jedynie czasem ukazywał się reportaż jakiegoś dziennikarza z odnalezionej gdzieś na Syberii wioski polskiej, jeszcze z czasów carskich, opisujący ją jako zupełnie egzotyczne zjawisko. Ale o wielkich skupiskach Polaków na Ukrainie, Białorusi, Litwie, Łotwie czy w Kazachstanie, o tym, że nie mają polskiej gazety, szkoły (poza republiką litewską, gdzie takowe istnieją) i kontaktu z Macierzą — nikt nie pisał.

Dokonały się już nieodwracalne zmiany w etnicznej grupie polskiej, zamierzone przez narodowościową politykę sowiecką. Polegają one na szybko rosnącym wynarodowieniu, na które wska-

zuje malejąca w każdym kolejnym spisie ludności liczba Polaków w ZSSR. A przecież mają oni normalny przyrost ludnościowy. Z ponad 1.400 tys. w latach 50-tych, spadła do ponad 1.000 tys. w latach 70-tych. Jest to spadek ogromny, niemal 20 %.

Od czasów *pieriestrojki* Gorbaczowa prasa w PRL odkryła nagle Polaków w ZSSR. Zrobiło to także Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. Wielokrotnie mówił o nich jego sekretarz, Józef Klasa. Nikt jednak dotychczas nie wspominał o Polakach w Kazachstanie. Dlatego przypomina o nich niniejszy artykuł. Może zainteresuje się nimi bliżej Polonia w krajach zachodnich?

Józef MIRSKI

Warszawa, 20 kwietnia 1988

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

T A Z A B LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,

12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

Archiwum polityczne

Obserwatorium

Podjęcie pracy przez Stocznnię Gdańską zakończyło — na jak długo? — strajki, które zaczęły się w Bydgoszczy i osiągnęły szczytowe nasilenie w Nowej Hucie. Od 25 kwietnia do 11 maja strajkowało w całej Polsce osiem zakładów przemysłowych; inne poprzestały na ogłoszeniu pogotowia strajkowego lub krótkich przerwach w pracy. Strajkowało również kilka wyższych uczelni. Ale tylko w dwóch przypadkach — w Hucie i w Stoczni — strajk miał charakter jawnie polityczny i trwał dłużej niż kilka dni. Nawet wtargnięcie zomo na teren Huty, pobicie strajkujących, aresztowania i grzywny nie uruchomiły ogólnopolskiej, masowej akcji protestacyjnej. Hutę poparła tylko Stocznia. Szczególnie uderzająca jest bierność Warszawy, nawet jeśli uwzględnimy strajk w Ursusie, skończony nim zdołał się naprawdę zacząć. Smutny obraz regresu solidarności robotniczej do stanu sprzed „Solidarności”.

Tym większy podziw i szacunek budzi postawa strajkujących zarówno w Hucie, jak w Stoczni. Domagali się przecież podwyżek płac nie tylko dla siebie, ale również m.in. dla służby zdrowia, pauperyzowanej przez politykę płacową władz, choć od jej sprawnego działania zależą w istotnej mierze losy jednostek i przyszłość narodu. Domagali się też zalegalizowania „Solidarności”, bez czego mowy nawet być nie może o zapoczątkowaniu wychodzenia z kryzysu. Zaś trwanie w Hucie strajku absencyjnego już po wtargnięciu zomo i przerwaniu przemocą okupacji zakładu, oraz sprzeciw 90 % strajkujących wobec decyzji zakończenia strajku w Stoczni, którą przyjęto, wedle słów Lecha Wałęsy, z oporami i z „wściekłością” — były świadectwem determinacji, odwagi i poświęcenia spraw osobistych na rzecz interesów ogółu, przed którymi należy pochylić czoła.

Strajki odsłoniły nie tylko słabość solidarności robotniczej. Również podziął i dezorientację inteligencji niezależnej i opozycyjnej, której jedynym słusznym poparciem dla robotników zdaje się należeć do przeszłości. W Krakowie środowisko *Tygodnika Powszechnego* bez zwłoki i jednoznacznie opowiedziało się za strajkującymi hutnikami. W Warszawie zareagowano dopiero na użycie przez władze siły. Przedtem, przez około 10 dni, nie ukazało się żadne zbiorowe oświadczenie z wyrazami poparcia dla strajkujących. Nie ukazało się, gdyż wpływowe koła inteligencji warszawskiej uznały, że strajki są nie na czasie. Jedni utrzymują, że nie należy osłabiać Jaruzelskiego, który jest przecież najmniejszym złem — jak gdyby najmniejsze zło było zarazem największym dobrem. Inni powołują się na Gorbaczowa i odrzucają wszystko co mogłoby ich zdaniem zaszkodzić *perestrojce*: po co robić rewolucję, gdy można osiągnąć swe cele w trybie ewolucyjnym? Stanowisko takie — zrozumiałe u Rakowskiego — zadziwia, gdy zajmują je osoby bliskie „Solidarności” lub zgoła jej doradcy. Jeszcze inni, jak np. Wiesław Chrzanowski, uznali strajki za przejaw ulegania emocjom ze strony młodych, radykalnych robotników i zaapelowali o podjęcie dialogu z władzą, jak gdyby siedem lat — nie mówiąc o wszystkich poprzednich — nie nauczyło ich, że władza lubi dialog z tymi tylko, którzy są jej posłuszni, czego Rakowski nie omieszczał przypomnieć raz jeszcze. Również Lech Wałęsa uważał strajki za niewczesne, gdyż — jak powiedział — „Solidarności” zaplanowała protesty na sierpień. W tym myśleniu o ruchu społecznym kategoriami kombatanów, którzy żyją od rocznicy do rocznicy, jest coś głęboko niepokojącego. Na szczęście Wałęsa postawił więc z kolegami wyżej niż plany wykoncowane za biurkiem, wziął udział w strajku Stoczni i opuścił ją dopiero wraz z ogółem strajkujących. Uczestniczył on jednak w strajku — i faktu tego nie sposób przemilczeć — nie jako przewodniczący „Solidarności”, ale jako stoczniowiec.

To zdezawuowanie Wałęsy-przewodniczącego przez Wałęsę-stoczniowca jest wymownym symbolem obecnego stanu stosunków między krajowym kierownictwem „Solidarności” a robotnikami. Pod wpływem doradców, przekonanych, że w ustroju komunistycznym nie ma miejsca na nielegalny związek zawodowy, zrezygnowało ono z powolnej i długotrwałej budowy organizacji związkowych w zakładach i regionach, czyli z budowy realnej siły politycznej, zdolnej w perspektywie wywrzeć wpływ na rozwój sytuacji w Polsce. Zaś ustrój komunistyczny — co chyba nie było dla nikogo niespodzianką — udowodnił, że nie ma w nim miejsca również dla legalnych związków zawodowych, o ile nie chcą uznać jego legalności, tzn. podporządkować się, jak OPZZ, aparatowi partyjnemu, a zarazem nie są dostatecznie silne, by wymusić uznanie. Krajowe kierownictwo „Solidarności” zostało za-

tem pozbawione swego jedyne — obok udziału w nabożeństwach rocznicowych — pomysłu na działanie, którym było podejmowanie starań o legalizację „Solidarności” w zakładach. Bez projektów organizacyjnych, bez programu, którego nie zastąpi nostalgiczne upominanie się o powrót do porozumień gdańskich, krajowe kierownictwo „Solidarności” w jego obecnym składzie stało się instytucją szczątkową, pozostałością z innej epoki, niezdolną wypracować politykę dostosowaną do terażniejszości i zwróconą w przyszłość. Nic dziwnego, że utraciło kontakt z robotnikami, zwłaszcza młodymi, i z tymi wszystkimi, którzy od „Solidarności” oczekują w pierwszym rządzie, by była niezależnym i samorządnym związkiem zawodowym. Nic też dziwnego, że nie było przygotowane na wybuch strajków i że nie odegrało w ich toku żadnej roli. Było wprawdzie jakieś oświadczenie K.K.W., ale nikt nie zwrócił nawet na nie uwagi.

Innym przykładem rozpadu kierowniczych struktur „Solidarności” jest pojawienie się w Hucie i w Stoczni dotychczasowych doradców: prof. Stelmachowskiego, Tadeusza Mazowieckiego i Andrzeja Wielowieyskiego — nie z upoważnienia związku, ale w roli mediatorów powołanych przez Episkopat. Mediatorów? Władze centralne wyraziły zgodę na ich misję, gdyż spodziewały się, że uspokoją robotników i przyczynią się do szybkiego zakończenia strajków. Episkopat pragnął tego samego. O tym, że władze nie zamierzały negocjować i zawierać kompromisów świadczy interwencja zomo w Hucie, która pozwoliła władzy zademonstrować siłę, a zarazem skompromitować mediatorów i podważyć zaufanie robotników do Episkopatu. Barcikowski w imieniu Biura Politycznego wyjaśnił Episkopatowi to posunięcie władz lokalnych, co wzmocni zapewne rozpowszechnioną w różnych kołach opinię, że wraz z Jaruzelskim, Kiszczakiem i Rakowskim należy on do czwórki liberałów, na których należy chuchać, by się przypadkiem nie przeziębili. A przecież do negocjacji nie doszło również w Stoczni, gdzie dyrekcja odrzuciła propozycje przedstawione przez Mazowieckiego i Wielowieyskiego. Ten ostatni uznał zatem swą misję za spełnioną i wrócił do Warszawy. Mazowiecki został w Stoczni do końca strajku. Ale był tam jako działacz katolicki i moralista, a nie jako upoważniony przedstawiciel jakiegokolwiek instytucji.

Chyba nigdy od zimy 1981 roku Episkopat nie okazał się tak bezpośrednio wciągnięty w grę polityczną, jak tej wiosny, z tą wszakże różnicą, że jego stanowisko było tym razem o wiele bardziej dwuznaczne. Świadczy o tym przede wszystkim sprawa Kornela Morawieckiego. Przypomnijmy, że Kornel Morawiecki i Andrzej Kołodziej, więźniowie polityczni czekający na proces, odmówili zaproponowanego im przez SB wyjazdu za granicę, gdy

— po czterech miesiącach izolacji — dowiedzieli się od rodzin, co się dzieje w kraju. Wtedy w więzieniu, w gabinecie naczelnika, zjawili się rzecznik Episkopatu, ksiądz Orszulik, prof. Stelmachowski oraz mec. Olszewski, którzy zakomunikowali obu więźniom, że są ciężko chorzy, o czym zainteresowani dowiedzieli się po raz pierwszy; wytłumaczyli im też, że nie powinni przeszkadzać swym uporem charytatywnej misji Kościoła oraz zagwarantowali im prawo powrotu. Gdy Morawiecki, który w przeciwieństwie do Kołodzieja okazał się zdrowy, postanowił po kilku dniach pobytu w Rzymie skorzystać z tego prawa i wylądować na Okęciu, został siłą wsadzony do samolotu i wysłany do Wiednia, a jego wielokrotny paszport unieważniono. Tak oto wprowadzona została doniosła innowacja, o której władze marzyły już od dawna. Po raz pierwszy zastosowano banicję wobec więźniów politycznych, przy czym stało się to przy współudziale i z błogosławieństwem oficjalnych przedstawicieli Episkopatu. Teraz mówi się, że Morawiecki będzie jednak mógł wrócić do kraju. Zobaczymy. Ale faktem pozostanie, że ksiądz Orszulik, prof. Stelmachowski i mec. Olszewski podjęli się skłonić go i jego współwięźnia do wyjazdu, wywierając na obu presję psychiczną. Faktem pozostanie, że trzech przedstawicieli Episkopatu wystąpili w kompromitującej roli narzędzi SB. Żadne argumenty humanitarne nie usprawiedliwiają tej oburzającej „mediacji”.

Sprawy Morawieckiego nie podobna odłączyć od posiedzenia Komisji Wspólnej przedstawicieli rządu i Episkopatu i od komunikatu z 227 konferencji Episkopatu Polski, który, choć deklaruje zrozumienie dla protestu robotników, zrywa ich, by poniechali swych żądań i tym samym położyli kres strajkom nie uzyskując zadośćuczynienia. Komunikat podkreśla konieczność wspólnych rozwiązań i apeluje o zjednoczenie wysiłków wszystkich Polaków oraz o zgodę społeczną, przy czym daje niestety do zrozumienia, że zakłócili ją właśnie robotnicy, których strajki i niepokoje muszą napawać lękiem „obywateli mających poczucie odpowiedzialności za losy kraju”. To streszczenie komunikatu pokazuje, że biskupi zbliżyli się w nim niebezpiecznie do języka oficjalnej propagandy i do argumentów PRON-u. Że wystąpili nie jako mediatorzy, którzy starają się nakłonić do ustępstw obie strony, ale jako sojusznik jednej z nich — strony rządowej. Postępujące bepośrednie angażowanie się Episkopatu w politykę i to w roli instancji, która legitymizuje władzę i jej posunięcia, grozi ukształtowaniem się w Polsce czegoś, co przez analogię z cesaropapizmem można by określić jako komunoklerykalizm. Życie publiczne w Polsce nie ma na tym nic do zyskania. A Episkopat może tylko stracić zarówno autorytet, jak niezależność wobec władzy, która stara się, jak może, by uczynić zeń swe trwałe oparcie.

Wydarzenia ostatnich tygodni okażą się zapewne za jakiś czas początkiem nowego okresu. Po raz pierwszy doszło w nich bowiem do głosu pokolenie robotników i studentów, które przeżyło szesnaście miesięcy „Solidarności” w wieku młodzieńczym i które ukształtowało się już w Polsce pogrudniowej z jej wielostronną działalnością podziemną, niezależną prasą i niezależnymi wydawnictwami, manifestacjami kulturalnymi i samokształceniowymi, autorytetami i wzorami osobowymi. Odrodzenie ruchu studenckiego, który nie istniał przecież w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, oraz rola odegrana przez młodych robotników w czasie strajków zarówno w Hucie, jak w Stoczni, pokazują żywotność w tym pokoleniu ideałów „Solidarności”, ale dostosowanych do Polski dnia dzisiejszego. Pokazują też wolę działania, determinację, inteligencję i rozsądek. Wszystko to pozwala oczekiwać szybkiego wyłonienia się nowej kadry przywódców opozycji i stawia na porządku dziennym kwestię pokoleniowej zmiany warty.

Stało się to absolutną koniecznością z trzech co najmniej powodów. Po pierwsze dlatego, że bohaterowie są zmęczeni; po drugie dlatego, że krajowe kierownictwo „Solidarności” przekształca się coraz bardziej w zamknięty klub weteranów zapatrzonych w przeszłość, oderwanych od społeczeństwa, słuchających tylko siebie nawzajem ale jednocześnie skłóconych, nie umiejących wyrwać się spod wpływów Episkopatu, salonu warszawskiego i rozmówców zagranicznych, nadto zaś arbitralnie dysponujących funduszami, i to znacznymi; po trzecie dlatego, że tym, czego opozycja polska potrzebuje dziś najbardziej, jest wyobraźnia, umiejętność zerwania z rutyną, rozpoznania nowych możliwości, form i terenów działania. Niepodobna oczekiwać tego od osób, którym pozytywne bez wątpienia zmiany: rozluźnienie cenzury, liberalizacja polityki paszportowej, przejście do bardziej subtelnego form represji, dobre stosunki z Episkopatem i nieśmiałe otwarcie dla prywatnej inicjatywy — jawią się, może nawet nieświadomie, jako punkt dojścia, gdyż porównują one ciągle Jaruzelskiego z Gierkiem i Gomułką, jeśli nie z Bierutem. Odnowa opozycji może przyjść tylko od młodych, dla których Polska Jaruzelskiego jest punktem wyjścia, którzy odczuwają w sposób szczególnie intensywny bezsens wyrzeczeń, jakich się od nich żąda, i beznadziejność życia, jakie się im proponuje, i którzy umieją wyrazić potrzeby narodu w języku dostosowanym do obecnego czasu. Ta odnowa spowodowana pokoleniową zmianą warty nastąpi tak czy inaczej. Od obecnych przywódców opozycji zależy, czy będą ją hamować i utrudniać, czy też okażą się zdolni przekazać kierownictwo w młode ręce.

REDAKCJA

„(...) Teraz na przykład cała polska opozycja wydaje się być bez reszty zajęta dziwaczными rozgrywkami wewnętrznymi, które czynią z niej coraz to bardziej amorficzny i wewnętrznie skłócony twór, niezdolny do podjęcia poważniejszych zadań politycznych. Ostatnio awantura tego typu odbywa się w łonie NZS, która to organizacja chce jednocześnie prowadzić walkę o legalizację i uprawiać wewnętrzne przepychanki.

(...) Podobnie zresztą wygląda sytuacja w 'Solidarności', gdzie zapowiadano jakieś mediacje między zwaśnionymi grupami, a póki co, metodą nakazową, jedną grupę działaczy okłada się zakazem działalności i odbiera prawo głosu. Takie postępowanie znakomicie służy uwiarygodnieniu demokratycznych i pluralistycznych poglądów głoszonych przez zakazodawców. Nie wiem właściwie, czy warto przypominać tym wszystkim, zajęтым jakimś obłędnym i trudno zrozumiałym meczem, że istnieje taka wartość jak odpowiedzialność, że oprócz problemu stosunków między KKW a GRKK oraz tańca innych skrótowców są również sprawy naprawdę ważne. Podejrzewam, że nie jest sprawą życiowej wagi dla większości związkowców udowodnienie wyższości Dłużniewskiego nad Słowikiem i czy Geremek albo kto tam inny uważa, że właśnie Dłużniewski, a nie Słowik mają reprezentować łódzkie włókiarki. Podejrzewam, że łódzkie włókiarki mają to w nosie. One niedługo będą miały w nosie całą 'Solidarność', jeśli ta nazwa zacznie kojarzyć się z personalnymi rozgrywkami, których zwyczajni członkowie nie rozumieją i wcale nie chcą rozumieć.

Sądzę, że sytuacja w jakiej znalazł się związek wywołuje do tablicy po nazwisku Lecha Wałęsę. Jeśli on nie będzie w stanie uzdrowić stosunków wewnątrz związku, to przyjdzie się po prostu wypisać i znaczek 'Solidarności' wetknąć głęboko między archiwalne papiery”.

(P.)

Wiadomości, nr 279 z 17 kwietnia 1988 r.

Fakty, domysły, oczekiwania

1

Sytuacja światowa nie daje dziś podstaw do jako tako sensownego przewidywania, ponieważ jest wysoce niestabilna. Szczególnie pisanie o tej sytuacji jako o tle, na którym przychodzi roztrzasać

polską sprawę, jest ryzykowne — ze względu na czas cyklu produkcji — zwłaszcza, kiedy pisze się do miesięcznika, jakim jest *Kultura*.

Z powyższym zastrzeżeniem chcę się zająć sytuacją w Sowietach, dla jej porównania z Polską. Natomiast pominię ogniska konfliktów, jak wojnę irańsko-iracką, rozbestwiony terroryzm, sterowany głównie — jak się sądzi — z Teheranu, oraz kłopoty USA z Panamą i resztą Ameryki Środkowej.

2

Między marcem i kwietniem rozegrała się pierwsza otwarta „bitwa o *pieriestrojkę*”. RFN-owska *Frankfurter Allgemeine Zeitung* pozwoliła sobie opublikować taki „komunikat z frontu moskiewskiego”:

„Po skutecznym odparciu przez oddziały *Prawdy* silnego ataku *Sowieckiej Rosji* przeciwnik został zmuszony do całkowitego odwrotu w redakcji. Musiał mianowicie opublikować odwołanie (artykułu-listu, rzekomo autorstwa pewnej chemiczki, docent z Leningradu, zachwalającego Stalina i uznającego „gorbaczowszczyznę” za odejście od socjalizmu — P.Z.). Ponadto *Prawdzie* udało się zdobyć i utrzymać ważną pozycję przeciwnika: kolumnę listów czytelników w *Sowieckiej Rosji*...”

Z późniejszych wiadomości, podawanych przez zachodnie agencje prasowe, wyłaniał się taki, niecałkiem pewny, obraz tamtej „bitwy”. N. Andrejewa, pani docent, nie mogła być wyłączną autorką inkryminowanego artykułu, cytowała bowiem teksty, niedostępne dla normalnych sowieckich obywateli razem z uniwersyteckimi chemikami. Jedni komentatorzy przypisywali „pomoc i opiekę” w autorstwie samemu numerowi „dwa” — Ligaczowowi; inni uważali, że to zanadto szczwany gracz, by tak obnażać „flankę” przed decydującą i właściwą bitwą — jaką ma być z końcem czerwca br. wszechzwiązkowa konferencja, która ma przesądzić o kursie i o rozmiarach *pieriestrojki*.

Okoliczności, towarzyszące temu niejako harcowniczemu starciu, w którym wszelako przeciwnicy Gorbaczowa wystąpili po raz pierwszy jawnie, z podniesioną przyłbicą — czy raczej z tak zwaną w języku „realnego socjalizmu” wrogą platformą ideologiczną — okoliczności te były dość złożone. Podobno artykułem owej docent strzelono do Gorbaczowa, gdy właśnie wybierał się do Belgradu; spowodować to miało opóźnienie repliki *Prawdy*, jako że i Jakowlew, bliski Gorbaczowowi, też był w Moskwie za pierwszej publikacji nieobecny. Powróciwszy, Gorbaczow miał zwołać nadzwyczajne zebranie Politbiura, które uchwaliło dla

niego poparcie, a dla Ligaczowa łagodną reprimendę, natomiast Czikin, naczelny *Sowieckiej Rosji*, miał dostać naganę sroższą. Zaraz też *Sowiecka Rosja* pokajała się, a naczelny próbował wyjaśnić, że artykuł został ogłoszony w ramach „jawności”, przyzwalającej na ogłaszanie materiałów kontrowersyjnych.

Zaraz potem Ligaczow udał się na wakacje, jego funkcje przejął częściowo Jakowlew, Kreml zdementował sugestie zachodnich agencji, jakoby „wakacje” miały jakiś polityczny aspekt, a Gorbaczow uzyskał poparcie zbiorowo występujących na łamach prasy związków twórczych, z wyjątkiem „Sojuza Sowieckich Pisatelej”. Ten bastion konserwy bronił się coś trzy dni, nim upadł, za czym i literaci sowieccy wsparli deklarację Gorbaczowa, a czołowymi postaciami podpisującymi ten apel byli E. Jewtuszenko i A. Wozniesiński. Przedstawiam film owych zajęć klatka po klatce, bo wszystko tam może być istotne. Gorbaczow zaczął zaraz po „bitwie” wzywać do Moskwy kolejno pierwszych sekretarzy z terytorium sowieckiego, ażeby im robić „wolnościowe pranie mózgow”. Jest ono typowym i doniosłym elementem *pieriestrojki* skamieniałego państwa sowieckiego:

1) Do wolności nie wzywa się ochotników — wolności się nie umożliwia — do wolności się rekrutuje i wymusza się ją *rozkazem*. Pismo *Mołodaja Gwardia*, które w kwietniowym numerze miało ogłosić artykuł, wspierający antyreformistów, do końca kwietnia, choć nakład był gotowy, nie trafiło ani do abonentów, ani do kiosków. Wreszcie *Niedziela* opublikowała artykuł, wyjawiający, że Breżniew był nie tylko „wielkim stagnatorem”, ale że zniósł moc prawa karnego względem wszystkich swoich krewnych i powinowatych.

2) „Jawność” — rzecz jasna — nie jest całkowita, lecz selektywna. Na przykład *nie* obejmuje obrad Politbiura, obrad KC KPZS i masy innych rzeczy. Nie ma tak dobrze, żeby każdy mógł wziąć udział w dyskusji nad reformami i demokratyzacją. O tym, *kto* może i *co* można napisać, decyduje „ktoś”, mimo „jawności” niewidzialny.

Z powyższego zdaje się płynąć taki wniosek: rezultat wszechzwiązkowej konferencji partyjnej nie będzie zależał od tego, *co* się na tej konferencji będzie działo. O tym rezultacie z góry przesądzi skłład osobowy, starannie dobierany przez Gorbaczowa i jego ludzi, plus niejawne perswazje, jakie przychodzi słyszeć sekretarzom, zapraszonym do stolicy ZSSR.

Dla pełnego obrazu wypada dodać, że podług niektórych so-wietologów żadnego ataku antyreformistów nie było, gdyż rzekome starcie było z góry wyreżyserowaną i zaplanowaną grą, mającą przedstawić światu Gorbaczowa jako dzielnego reformatora osaczonego przez ponurych stalinowców. Wydaje mi się to zbyt subtelne, aby było prawdziwe. Chociaż nie jestem eksper-

tem sowietologii, wyrażę własną opinię: najpierw przyszedł do redakcji *Sowieckiej Rosji* list jakiejś osoby, trwającej w nieutulonym żalu po wielkim Stalinie, inne osoby uznały list za dobrą okazję do próbnego kontrnatarcia, więc list został dokładnie „przepracowany” i podparty należycie wyszukаныmi cytataми. Ledwie się rozeszło, że ten pasztet już jest w wypieku, do pisania podobnych artykułów rzucili się inni „twardziele”, np. przy redakcji *Młodej Gwardii*. Powstał taki szum, że ekipa Gorbaczowa postanowiła wziąć byka za rogi. Tak zatem myślę, że pomieszkał się tu przypadkowy głos jakiejś „stalinówki” z niewątpliwie bardzo silną frakcją moskiewskich betonów. Nawet późniejsze wystąpienie Gorbaczowa, w którym dość ostro zaatakował personalnie prezydenta Reagana za „mieszanie się” do wewnętrznych spraw Sowietów, można uznać za część owej batalii. Gorbaczow mógł w ten sposób chcieć przypomnieć — na użytek prawowiernych — swój antyamerykański czyli pryncypialny „anty-imperializm”.

Tymczasem słyhać, i to serio, że na fali wolnościowych przemian na sceny moskiewskie wchodzi sztuki S. Mrożka, z „Portretem” (Stalina) na czele! Ma to grać MCHAT albo teatr Wachtangowa, poza tym też „Emigrantów” i „Kontrakt”, a mówi się nawet o „Ambasadorze”.

To prawda, że wszyscy „postępowicze” w Moskwie okropnie zdają się spieszyć, jakby się bali, że „nie zdążą”. Ale to nie znaczy, że się obawiają upadku Gorbaczowa i odtrąbienia jego superodwilży ze środy na piątek. Jest trochę inaczej. Ludzie ci mają świadomość pewnej — chociażby często skromnej — nieodwracalności zachodzących odwilżowych przemian. Właściwie do *status quo ante fuit* nigdy nie ma stuprocentowego odwrotu, zawsze „coś zostaje”. Im zaś więcej zmian, tym więcej może zostać.

Jeżeli patrzeć pod tym kątem na całość sowieckiej sytuacji, trudno pozostać przy fatalistycznym ujęciu, że „albo Gorbaczow wzmacni imperium — i to źle”, albo „Gorbaczow nic nie wskóra” — i to też niedobrze, bo słabe Sowiety mogą się okazać bardziej skore do mącenia w skali światowej, ponieważ będą dysponowały wyłącznie „wymiarom militarnym”.

Z tym wymiarem nie wiadomo, jak jest naprawdę i przyznaję tutaj, że niewątpliwie poważna chęć Kremla, ażeby wycofać się z Afganistanu, nie jest dla mnie do końca zrozumiała.

Po pierwsze, idzie o pierwszą wojenną porażkę sowieckiej armii od czasów czerwca 1941, kiedy Hitler napadł Stalina. Chodzi więc o blamaż bez precedensu na przestrzeni 46-ciu lat.

Po wtóre, nie wiadomo, dlaczego Sowiety muszą się wycofać. Sądę, że w tym odwrocie jest pogrzebany jakiś tajem-

niczy pies, którego sekcji nikt nie umiał dotąd (wśród sowietologów) przeprowadzić.

Kiedy im się nie udało w kilka lat zgnieść oporu Afganów, Sowietci wzięli się do metodycznej roboty. Przypominam, że zaczęli wywozić do siebie dzieci w wieku szkolnym: na masową skalę chcieli zatem wykonać taką operację „janczaryzacji”, jaką wykonali na pewnym dobrze urodzonym i ułożonym wychowanku OO. Marianów z Polski, którego znamy jak gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Operacja takiej janczaryzacji wymagała oczywiście co najmniej 10-ciu lat i w tej skali — bez wątpienia — musieli rozważać ją eksperci sowieccy od sprawy Afganistanu. Ani rakiety Stinger, ani Blowpipe nie mogły okazać się głównym argumentem na rzecz rezygnacji z przerobienia Afganistanu w spacyfikowaną republikę ludową.

Jest — jak sądzę — możliwe, że całościowa ocena sił sowieckiej ekonomii, jaką przeprowadza od lat CIA, okazała się zupełnie fałszywa. W amerykańskiej prasie pisano w drugiej połowie kwietnia br., że wysokość dochodu narodowego brutto na głowę w ZSSR, oceniona przez fachowców na 8.000 dolarów, okazała się zupełnie błędna w świetle cyfr, opublikowanych ostatnio przez ekonomistów sowieckich. Według tych danych dochód na głowę jest prawie trzy razy mniejszy od uprzednio obliczonego i ma wynosić 3.000 dolarów na obywatela. Tym samym wydatki wojskowe nie wynoszą 18 %, ale co najmniej 35 % całości, a to jest obciążenie straszliwe! Jeżeli dodać do niego przepaść między cywilizacyjną czołówką świata a stagnacją techniki i nauki sowieckiej, odwrót z Afganistanu okaże się bardziej zrozumiałym, bo oznaczałby konieczność, a nie tylko dyplomatyczno-polityczne odegranie sztuki pt. „Gorbaczow — szermierz pokoju prostuje błędy poprzedników”.

Jeżeli tak jest, to oznacza to raczej ujawnienie się słabości całego państwa sowieckiego, aniżeli tylko jego militarnej niezdatności. Niemniej oficjalnie, przed światem, sowiecki sztab generalny „stracił twarz”. Jest to niechybnie zarówno źródłem resentymentów dla wojskowej elity sowieckiej (skoro musi wziąć na siebie odpowiedzialność za porażkę mimo tylu lat wojny korpusu ekspedycyjnego), jak utratą prestiżu dla imperialnej potęgi w całości. Na to mówią niektórzy sowietolodzy, że Sowiety mogą zawsze wrócić, np. jeżeli zostaną wezwani „na pomoc” przez jakąś frakcję Afganów. Nie twierdzą, że nie będą mogli nigdy wrócić, ale na przestrzeni jakichś 3-4 lat „powrót” wydaje się mało prawdopodobny, bo nie byłby opłacalny ani militarnie, ani politycznie. Możliwe jest natomiast rozkawałkowanie afgańskiego terytorium na część przylegającą do ZSSR, i przez to podległą Sowietom, i na jakąś „resztę”. Lecz są to spekulacje.

Nim zamknę te rozważania, pragnę zauważyć, że technika ewoluuje coraz szybciej. Ludzie, wyobrażający sobie, że PRL może dostarczać Sowietaom co najmniej wciąż *tak samo* dużego wkładu w ich pułk zbrojeniową, myślą się więc. Wezmę pod uwagę tylko jeden element: pancernie czołgów. Pociski kumulacyjne, zwłaszcza przeciwczołgowe rakiety piechoty, zdobyły taką przewagę nad czołgami, że doszło do „rewolucji pancernia”: teraz osłania się czołgi pancierzami „aktywnymi”. Pancierz taki zawiera komórki z ładunkami wybuchowymi i przy trafieniu odpiera eksplozję własną eksplozją. Już ten rodzaj pancernia wykracza poza produkcyjne zdolności hut PRL. Tymczasem Amerykanie wprowadzają do produkcji nowy typ pancierzy, z uranu, oczyszczonego z radioaktywnych izotopów. Uran, najcięższy z metali, pozwala osłaniać czołgi pancierzami, których istniejące ładunki kumulacyjne w zasadzie nie przebijają, a ciężar czołgu ulega powiększeniu o nie więcej niż 15-16 %, co jest całkiem znośne.

Wystarczy sobie uświadomić, że podobne rewolucyjne udoskonalenia dotyczą wszystkich rodzajów broni, ażeby zrozumieć, że Sowiety musiałyby przegrać wyścig zbrojeń około roku 2000 — gdyby nie doszło do żadnego rozbrowienia. Co prawda niechęć Zachodu do zbrojeń jest dobrze znana i ogromna. Niemniej postęp techniczny jest niejako wbudowany w same osnowy przemysłowe Zachodu.

Fakt, że lasery olbrzymiej mocy, pracujące na tak zwanych „ekscytonach” (elektronach wzbudzanych) znajdują się w USA dopiero w stadium laboratoryjnego prototypu, a reaganowska „inicjatywa obronna” została zahamowana przez Kongres i Senat, jest sprawą osobną. Trzeba też powiedzieć, że głupota, jako atrybut umysłowy polityków, nie jest wyłącznym przywilejem jednej strony. Durniów nigdzie nie brak, a wiadomo, że sowietyzm korzystał usilnie z „pożytecznych idiotów”. To, że pomoc owych idiotów okazuje się już niewystarczająca, nie wynika stąd, iż zmądrzeli, tylko stąd, że Sowiety takie, jakie są, nie mogą dotrzymać kroku nawet pokojowo rozwijającym się państwom. (Wystarczy sobie uświadomić, jaka otchłań dzieli miliardowe Chiny lądowe od Tajwanu, który z 19 milionami ludności zajmuje 13-te, a zdaniem niektórych już 12-te miejsce na skali światowej produkcji...).

Anatolij Dobrynin, wieloletni ambasador ZSSR w USA, wezwany potem do Moskwy, by pełnić funkcje jednego z czołowych doradców Gorbaczowa, w kwietniu odwiedził czeską Pragę i dość ostro obrzął przywódców czechosłowackich za nikłą gotowość uczestnictwa w *pieriestrojce*. W słowach wysoce nieortodoksyjnych opisał spadek prestiżu komunizmu na świecie jako efekt „stagnacji”, „błędów” itp. Zarazem premier Ryżkow na naradzie w

Budapeszcie wyjąwił, że kooperacja Państw Wspólnoty Gospodarczej (RWPG) jest do chrzanu, że oprócz Węgrów, którzy zasługują na wzorową opinię, nikt nie nadąza za frontem światowej przemiany (szło o mikroelektronikę i zarządzanie w makro- i mikroskali). W tym miejscu warto zastanowić się nad tym, co zachodzi w PRL.

Jaruzelski przed 1 maja rozkazał siłom zbrojnym kraju obsadzić wszystkie zakłady i większe przedsiębiorstwa, ażeby zaprowadzić „porządek”. Można sobie oszczędzić złośliwości, że oto wojsko polskie otoczy kryzys, inflację, zmusi zmasowanym użyciem broni do odwrotu powszechnie panujący brud z wszami na czele, weźmie do niewoli itp.

Wszystko to byłoby żałosne, gdyby nie towarzyszyło pogłębiającej się nędzy narodu. O tej nędzy zresztą w jej niezliczonych przejawach wolno prasie pisać, ale tylko tak, jakby był to efekt zarazy albo trzęsienia ziemi: o przyczynach się nie mówi.

W ogóle warto się prasie krajowej w jej wolnościowym rozkwicie przypatrzeć uważnie.

W Sowieciech pojawiają się artykuły gwałtownie dyskutujące podstawy reform. Pisze się o korupcji, bałaganie, sprzeniewierzeniach *w armii*.

Pisze się o ciężkim losie inwalidów, powracających z Afganistanu.

Pisze się o setkach tysięcy bezdomnych i włóczęgów.

Pisze się o tym, że niektóre kraje trzeciego świata mają wyższą stopę życiową niż „kraj zbudowanego socjalizmu” (o tym, że go zbudowano, zapadła wszak dawno temu uchwała Rady Najwyższej).

Publikuje się wczorajszych „kontrewolucjonistów”. W Daniu literaci i literaturoznawcy sowieccy spotkali się z dysydencjami emigrantami, jak Lew Kopelew. Profesor Biełaja przyznała, że Sołżenicyn to wielki rosyjski pisarz. W *Moscow News* był wywiad z „obalonym” Jelcynem: nie do wiary, ale powiedział, że właściwie nadal obstaje przy tym, co mówił na zebraniu KC, w którego rezultacie został wyrzucony z funkcji partyjnego bossa Moskwy.

Treści listów, zamieszczanych „pro” i „kontra” na łamach prasy łącznie z *Prawdą*, nie można streścić. Byłyby to tomy.

Pojawiają się filmy, np. o malarzu, którego obrazy zostały w 1975 roku strzaskane przez spychaczy pod Moskwą na rozkaz władz partyjnych i który dostał od tego zawąłu. Lecz i filmów nie wylizyć. O sztukach Mrożka już mówiłem. Rosjanie piszą też sztuki sami — nie są one artystycznie zbyt udane, ale są wymowne. Na przykład sztuka, dziejąca się w gabinecie sekretarza *obkomu* — mniej więcej tyle, co wojewódzkiego sekretarza w PRL. Na wszystkich ścianach hasła *pieriestrojkowe* i

portrety Gorbaczowa, a rozmowa toczy się o tym, jak rozmydlić całą *pieriestrojkę*.

Bo też głuchy, bierny opór średniego aparatu i mas jest istotnie główną przeszkodą dla dążeń Gorbaczowa. Stąd na przykład propozycje ekonomistów jego ekipy, ażeby nabyć za spore kredyty sporo atrakcyjnej masy towarowej i rzucić w handlową sieć, aby przekonać masy do *pieriestrojki*.

Wątpliwe: Gierek próbował czegoś podobnego, ale oprócz krzyzysu i długów niczego się nie dorobił.

Teraz jednak nie chcę pisać o gigantycznych dylematach i kłopotach sowieckich. Chcę ukazać ich odbicie w krajowej prasie.

Kto pragnie dowiedzieć się czegoś o zjawiskach pozytywnych w ZSSR, niechaj nie sięga po *Trybunę Ludu* ani nawet po *Politykę*.

Niech szuka tego tylko w *Tygodniku Powszechnym*. Drawicz, choć podcinany przez krajową cenzurę, opowie, co dobrego słychać u „Wielkiego Brata”.

Rok temu mówiło się, że u nas, podobnie jak w Sowietach, prasa ma pójść na własny garnuszek, czyli istnieć lub szczeznąć podług rachunku ekonomicznego. Organy zyskowe pozostaną, deficytowe przyjdzie zamknąć.

Zamknięto jeden *Radar*, niezłe pismo, wspomagające chętnych nauki obcych języków.

Natomiast ponad 60 tytułów deficytowych zostało. Są to, mówiąc z grubsza, bo nie stać mnie na analizę prasoznawczą, trzy rodzaje gazet i tygodników lub miesięczników.

1. Pisma, które istniały *przed* stanem wojennym, ale zostały „skradzione zespołom”, jak krakowskie *Pismo*, albo się „same spacyfikowały”, jak *Twórczość* Lisowskiego, albo ocalały na prawach wyjątku, jak wrocławska *Odra*. Ponadto zostały pisma „raczej neutralne” politycznie, jak np. popularno-naukowe: *Młody Technik*, *Problemy* i kilka periodyków poświęconych autom i motoryzacji.

2. Pisma rządowe i „potemkinowskie”: oprócz *Trybuny i Rzeczpospolitej* masa lokalnych gazet partyjnych, a ponadto organy PRON-u, ZSL-u (*Tygodnik Kulturalny*, *Odrodzenie* i inne pisma „wypchane słomą”) oraz *Kultura*, która przejęła funkcje zlikwidowanego organu K. Koźniewskiego *Tu i Teraz*.

3. Pisma „katolickie”. Z wyjątkiem *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi*, *Znaku* oraz niskonakładowych pism, wydawanych przez zakony i Kościół (np. *W Drodze* dominikanów) — to też są pisma „wypchane”.

Co rozumiem pod hasłem „pisma wypchane”? Termin ten, nieznanym prasoznawstwu, rad bym wprowadzić w jego obieg. Są to pisma, istniejące nie po to, aby ogłaszać wartościową produkcję publicystyczno-krytyczno-literacką i polityczną kraju; nie po

to, ażeby powiadamiać o tym, co zachodzi na świecie „ze Związkiem Radzieckim na czele”.

Są to periodyki, mające a) utrzymywać przy życiu wieloosobowe zespoły redakcyjne, ponieważ są to zespoły w pełni „dyspozycyjne”;

b) zamulać mózgi, robić ludziom wodę w głowie;

c) samą liczebnością sprawiać wrażenie „pluralizmu”, „wielogłosowości”, „niebываłych swobód”; o tym powiem parę słów niżej.

Najdziwniejszym zjawiskiem PRL-owskiej prasy na „drugim etapie reformy gospodarczej” jest albo całkowita nieobecność Związku Sowieckiego, albo obecność nieprzyjemnie jednostronna.

Dawniej obowiązywało zachłystywanie się wspaniałością dokonania Kraju Rad. Obecnie — gdy światowa prasa jest pełna omawianych *pieriestrojkowych* artykułów, dyskusji, starć, filmów, sztuk teatralnych, wystaw malarskich, itp. — w krajowej prasie panuje pod tym względem cisza lub silne rozrzedzenie. O „bitwie” *Prawdy z Sowiecką Rosją* — jakieś niewyraźne bąkania. Jeżeli już ktoś pisze o Sowietach, to raczej „na czarno”.

Na przykład *Prawo i Życie* zamieszcza artykuł pt. „Kosmos nie wybacza” — o szeregu katastrof i ofiar programu kosmicznego ZSSR. Okazuje się, że Korolow, główny konstruktor „Wostoków”, siedział coś 16 lat na Kołymie, a Gagarin, pierwszy człowiek w kosmosie, zginął, bo w jego samolocie kiepsko funkcjonowały przyrządy nawigacyjne, a na lotnisku był bałagan...

Nie wiem, w jakiej mierze te manewry są odgórnie wysterowane: albo o Sowietach nic, albo źle. Oczywiście chodzi o wiadomości przejmowane z bieżącej prasy sowieckiej, ale dobór jest jednak dziwny... Jakby się mrugało porozumiewawczo: patrzcie, w Sowietach też jest (poza Moskwą) wszystko na kartki i nie mają co włożyć na siebie ani co do gęby kłaść... u nas aż tak źle nie jest.

Fakty ulegają więc nieraz „negatywnej selekcji” w przekazie, natomiast z reguły prasa rządowa, pseudo-katolicka i „wypchana” pomija autentycznie żarliwe spory wokół reform, choć jest ich mnóstwo.

Powyższy stan rzeczy w prasie krajowej byłby niemożliwy, jeżeli by stan wojenny nie zmiażdżył nam tego, co marksieści zwą „nadbudową”.

W emigracyjnej prasie spotykałem się z opiniami, że likwidacji związków twórczych w PRL (razem ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy) należy tylko przyklasnąć, ponieważ były zainstalowane jako agendy sowietyzacji społeczeństwa.

Istotnie „instalatorzy” nosili się z takimi zamysłami, ale 40 lat PRL-u było powtarzaniem z niezmordowaną cierpliwością i uporczywością procesem samooczyszczania się owych instytucji,

tak że pod koniec kolejnego okresu służyły już społeczeństwu, a nie władzom.

To prawda, że we „wczesnym” PRL-u ludziom dziennikarstwa i sztuki żyło się słodko. Żyło się tak, póki trwał mecenat państwowy, uniezależniający dziennikarza od opinii publicznej, a literata od poczytności więc pokupności jego książek, filmowca ubezpieczający od bezrobocia, gdy służył partii, a nie muzom. Owszem, powstały kamaryle, literatom było przyjemnie w ich kawiarniach i prawdę orzekł A. Kijowski w pamiętnym artykule o tym, iż zмова pół-kolaboracji, pół-opozycji, nagród i wyjazdów, zapisów i powrotów do łaski, to dość w sumie wygodne życie, przerywane pisaniem listów protestacyjnych, skończyło się definitywnie 13 grudnia.

Wszystkie pozory opadły, została goła prawda: kto miał w sobie krztę uczciwości, nie umiał już dłużej kolaborować. Toteż na opustoszałe miejsca w nowourządzonych patriotycznie patriotycznych SRAK-ach, PRON-ach, OKON-ach, Radach Kultury i tym podobnych rzuciły się sfory nieudaczników, łakomych piastowania redakcyjnych i instytucjonalnych stanowisk, zawistników-psychoopatów z wybujałymi pretensjami, ale bez kwalifikacji.

Tacy ludzie odebrali pisma (między innymi i krakowskie *Pismo*, tak jak w 1953 roku został przejęty *Tygodnik Powszechny* — to nic, że jednym z członków byłego zespołu był późniejszy minister Krawczuk!), i związki, ZLP, PEN-Club (którego zresztą nie mogli skutecznie przejąć, bo każdy krajowy PEN-Club jest tylko odnogą światowego PEN-u). Dlatego członkowie zawieszonoego polskiego PEN-u nie rozumieją, czemu Jaruzelski uniemożliwia jego rezurekcję, choć jego zarząd kilkakrotnie wyrażał gotowość rezygnacji na wstępie zwołanego walnego zebrania.

Nietrudno o wyjaśnienie. Kontrreformacja, chcąc nie chcąc, weszła w epokę reformacji. Ruszyć jeden kamyk we wzniezionej betonowej tamie, a kto wie, jaka lawina poleci i obruszy się na głowy Zawsze Wiernych Passentów i Urbanów. Dlatego władze muszą trzymać wszystko, co zbudował wydział potemkinowskiego budownictwa KC PZPR, w rozpaczliwym przykurczu. Dlatego głos prawdziwie wolny nie może się w Polsce rozlegać inaczej, aniżeli poprzycinany przez ustawę o cenzurze. Dlatego przywozi się do kiosków „Ruchu” i odwozi na makulaturę tony papieru zadrukowanego tekstami, których nikt nie czyta.

4

Wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego rozlepiano na murach stolicy afisze, przedstawiające B. Geremka w rozmowie z izraelskim rabinem (jako rzekomy „kierownikiem” „Solidar-

ności”). Niebyszała czelnością władz, które po roku 1968 znowu uciekły się do agitacji antyżydowskiej, by osłonić swoją patriotyczną WRON-ę, stały się wielkie obchody rocznicowe powstania w getcie warszawskim. Do ich przywództwa włączono ludzi jak Kąkol, w 1968 jeden z czołowych żydożerców, który ma chrapkę na posadę pierwszego ambasadora PRL w Izraelu, lub jak prof. H. Jabłoński, który w tymże 1968 roku był aktywistą zwalniania profesorów o niearyjskim pochodzeniu.

Niszczące ciosy, zadane naszej kulturze przez Niemców, uważam za porównywalne ze skutkami stanu wojennego: w ciągu czterech lat od końca drugiej wojny światowej, mimo bezprecedensowych strat ludzkich i materialnych (6 milionów trupów, akcje eksterminacyjne, mierzące głównie w inteligencję jako warstwę przywódczą narodu, zrównana z ziemią stolicą) życie kulturalne odrodziło się i zmierzało ku normalizacji. Powstawały jak grzyby po deszczu czasopisma, otwierały swe podwoje uczelnie, odrodziła się Akademia Umiejętności.

Natomiast w siedem lat po wojnie polsko-jaruzelskiej mamy chaos, rozbitcie, zamiast elit twórczych — kliki darmozjadów i głupców oraz cynicznych łgarzy typu Urbana czy Passenta, nie istnieje właściwie żadne pismo literackie, na którego łamach młody poeta czy prozaik mógłby debiutować bez uczucia, że wchodzi między ludzi wyzbytych nie tylko uzdolnień, lecz elementarnej uczciwości. Jedna *Res Publica* wiosny nie robi. Zresztą próby otwierania takich pism budzą wiele zastrzeżeń przez nieuniknione wdawanie się w negocjacje z władzą, a jak brać za partnera tego, kto z samego nawyku kłamie, kręci i nie dotrzymuje danego słowa?

Wychodzi koło setki czasopism, lecz prócz liczonych na palcach jednej ręki niskonakładowych (*Odra*, *Więź*) wszystkie są albo potemkinowskimi makietami, albo pismami, redagowanymi „po pasersku”, skradzionymi prawowitym założycielom.

Tak więc, ponieważ nawet biologicznie podcinane duchowe życie narodu wraca po paru latach do równowagi — mieliśmy tego dowody między rokiem 1945 a 1948! — a po roku 1981 nie można mówić nawet o „spazmatycznym rozwoju”, bo nie ma żadnego zwartego rozwoju, są tylko pojedyncze, indywidualne rozbłyśki talentów (raczej w poezji niż w prozie) — porównywanie strat kultury w obu okresach uważam za dopuszczalne.

Niektóre osoby, które czytały niniejszy artykuł w rękopisie, uważały, że zestawianie strat, jakie kultura polska poniosła w wyniku ludobójstwa Niemców, ze stratami, spowodowanymi przez stan wojenny, jest zasadniczo błędne.

Słuszność takich zakwestionowań byłaby niepodważalna, jeżeliby szło o zestawianie strat w ludziach — czyli o skutki akcji eksterminacyjnych — ze stratami w kulturze.

Nie będąc zawodowo kompetentnym w tej materii, muszę jednak zauważyć, jako siłą się o bezstronność obserwator, że wolno pomijać intencje, które przyświecały sprawcom ogólnonarodowej zapaści w kulturze, jeżeli katastrofalne okazały się skutki ich działania. Dla jednostek nie jest naturalnie wszystko jedno, czy pozbawia się je życia, czy „tylko” warsztatu pracy, członkostwa w związku twórczym, katedry uniwersyteckiej itp. Dla narodowej kultury nie ma różnicy w stratach, jeżeli twórca nie ginie, lecz „tylko” zostaje usunięty ze swojej placówki i odtąd zarabia na życie napełniając zapalniki butanem albo prowadzeniem taksówki.

Tysiące ludzi, stanowiących kwiat twórczej inteligencji polskiej, zmuszono do emigracji prześladowaniami po internowaniu, rozbiciem zespołów naukowych, redakcyjnych, związków twórczych itp. Zwalniani często nie mogli zdobyć żadnej pracy w uprzednio wykonywanym zawodzie (np. nauczyciela, ekonomisty, redaktora itp.).

Bezprzykładnym cynizmem wioną twierdzenia J. Urbana, jakoby kraj tracił cenną substancję specjalistów od ich wychodźstwa, spowodowanego apetytem na dobra, których kraj w kryzysie dać im nie może.

Po pierwsze, nie mogą na ogół pracować w swym fachu z braku potrzebnej literatury, aparatów, komputerów, narzędzi, leków itp.

Po drugie, ów stan wszelakiego braku spowodował nie kto inny jak rząd, którego rzecznikiem jest Urban.

I wreszcie nie wiemy, ilu Polaków musiało emigrować pomiędzy końcem stanu wojennego a początkiem sowieckiej odwilży, bo im w kraju pracy odmawiano.

Lista strat kultury polskiej tak samo nie została spisana po stanie wojennym, jak lista biologicznych ofiar tego stanu.

Kto głosi, jakoby lista rzeczonych ofiar obracała się w granicach kilkunastu, z górnikami kopalni „Wujek” na czele, ten kłamie. Nikt nie wie, ile osób wymagających niezwłocznej pomocy lekarskiej zmarło między 13 grudnia a ponownym uruchomieniem łączności telefonicznej i zniesieniem godziny policyjnej. Wiadomo, że od 13 grudnia podczas silnych mrozów patroli ZOMO nocami zmuszały osoby, wiozące do szpitala w Prokocimiu chore dzieci, ażeby te dzieci obnażać dla stwierdzenia, czy w pieluszkach nie ukrywa się broni. Kłamliwe bajki o takiej „solidarnościowej broni” władze usilnie rozpowszechniały. Spora część aparatu partyjnego dawała tym kłamstwom wiarę.

Podobnych wypadków w kraju były tysiące. Nikt nie zna też liczby popełnionych w depresji samobójstw i wywołanych depresją zgonów.

W wojewódzkich urzędach stanu cywilnego rejestracja zgonów była w owym okresie częściowo utajniona. Świadczyło to o wielkiej, cynicznej, lodowatej przezorności i przemyślności władz, które szykowały się do napaści na bezbronny naród. Związek ponosi jakąś część winy za brak danych o takich ofiarach, ponieważ nie posiadał zaufanych osób w urzędach stanu cywilnego. Choć byłoby to, zapewne, dwudziestą z rzędu sprawą do przygotowania się na wypadek szykowanej z zaskoczenia napaści — ruch dziesięciomilionowy winien był i o tym pomyśleć.

Aczkolwiek liczne zgony i tragedie ludzkie były ubocznym skutkiem działań, które nie miały na celu odbierania ludziom życia, lecz „tylko” uratowanie władzy partii, która wprowadziła nas w nędzę i w chaos, nie wolno zapominać i o ubocznych konsekwencjach akcji Jaruzelskiego.

Straciliśmy nie tylko liczne elity przez ich emigrację lub rozpędzenie i zniszczenie międzyludzkich związków. Utraciliśmy nie tylko bezpowrotną substancję duchową w szkolnictwie wyższym, w nauce, w sztuce.

Utraciliśmy szereg ludzi, którzy w fazie Wielkiej Odwilży, a właściwie Pierwszych Roztopów w Sowietach mogłyby nie tylko dotrzymać kroku Rosjanom czy Ukraińcom, ale wspomagać ich w poszukiwaniu nowej drogi.

Powstała sytuacja tyleż ponura co paradoksalna: partyjniacy Jaruzelskiego, bijący głośno brawa gorbaczowowcom, w istocie obserwują ich postępy ze strachem o swe posady.

Rola, jaką historia napisała temu generałowi, okazuje się nie tylko haniebna, ale i tragifarsowa, skoro musi udawać nieustające poparcie dla tego, co mu zagraża i co — miejmy nadzieję — strąci go w nicość.

P. ZNAWCA

Kwiecień 1988

Amerykańskie rozważania przedwyborcze

W prawyborach do Partii Republikańskiej wiceprezydent George Bush bije jak dotychczas wszystkich kandydatów. Jeśli jednak kandydat na prezydenta Stanów ma legitymować się jakąś indywidualnością, Bush jest najgorszym z możliwych kandydatów. Jako wiceprezydent przez cały czas swoich dwóch kadencji starał się nigdy nie zajmować stanowiska, które nosiłoby w sobie

jakieś ryzyko. Czynił wszystko, by przedstawić się publiczności jako maksymalnie nijaki. W okresie sprawy „Irangate” (wymiany broni na zakładników), która była największym zagrożeniem Reagana, Bush najpierw popierał prezydenta, ale w sposób tak dyskretny i nieangażujący, żeby móc się w każdej chwili wycofać, co też uczynił niezwłocznie, gdy sprawa wybuchła skandalem. W istocie poparcie Busha dla Reagana w owym okresie wyrażało się głównie brakiem jakiegoś jasno sformułowanego protestu, do czego miał okazję w kontaktach z prasą. Wedle Konstytucji Stanów funkcja wiceprezydenta nie daje mu żadnych uprawnień w podejmowaniu decyzji, wiceprezydent jest jednak dostatecznie eksponowaną osobistością choćby przez przewodnictwo w Senacie, by wyrazić swą opinię w kontaktach z *mass media*. Bush nigdy tego nie uczynił. Gdy jednak Reagan po bezskutecznych próbach wykręcenia się od odpowiedzialności i zrzucenia jej na kogoś innego uznał wreszcie swój błąd, Bush niezwłocznie zaakceptował, że nigdy nie popierał Reagana. Amerykanie życzą sobie obecnie ludzi nijakich, bez profilu, bez indywidualności, bo w ich przekonaniu tylko tacy nie wciągną ich w żadną awanturę. Myśl, że właśnie w tych trudnych czasach indywidualność nijaka może być największym ryzykiem, jakoś nie przychodzi im do głowy. To znaczy na pewno przychodzi niejednemu z nich, ale nie w tym stopniu, żeby wpłynąć na decyzje wyborcze. Ryzyko spowodowane bezczynnością jest, być może z pewnym ociąganiem, akceptowane. Ryzyko wynikające z aktywności, z podejmowania inicjatyw liczy się podwójnie. Może być odbiciem następującej postawy: jeśli spowodujemy katastrofę nie czyniąc nic, mniej będziemy mieli sobie do wyrzucenia niż wtedy, gdy nastąpi ona w wyniku naszej aktywności, bo wtedy będzie to nieszczęście sprowokowane. Lepiej więc nie kusić losu. Ludzie tak myślący nie muszą oczywiście stanowić przytłaczającej większości, ale wydaje się, że postawa taka dominuje w prawyborach. Dlatego Amerykanie z taką łapczywością rzucają się na każdą przynętę, jaką oferuje im Gorbaczow. Są gotowi chwycić się każdej deski ratunku. Już nie przed katastrofą, ale przed wszelkim ryzykiem. Pragną nie tylko za wszelką cenę pokoju, ale i — spokoju. Dlatego Sowietów nie wolno drażnić. Pod tym względem jest gorzej niż kiedykolwiek.

Jako główny atut dla przeforsowania swojej kandydatury Bush wysunął fakt, że jest zawodowym politykiem, mającym za sobą dwie kadencje jako wiceprezydent. Jakaż może być większa gwarancja, że będzie dobrym prezydentem od kwalifikacji, które zdobywał w ciągu ośmiu lat w cieniu prezydentury? Nieważne jest, jakim był wiceprezydentem. Ważne jest, że najlepiej się do tej funkcji nadaje, ponieważ zdobył kwalifikacje zawodowe. I tu dochodzimy do prawdy ogólnie znanej, która przy obecnych zagrożeniach nie jest dostatecznie wyeksponowana. Profesjonalizm reprezentantów narodu jest, moim zdaniem, szkodliwy dla sprawowania czynności reprezentatywnych na wszystkich szczeblach hierarchii, a w szczególności na szczeblu prezydenckim. Szkodliwy, ale — jak to wynika z moich dalszych wywodów — nieunik-

niony. Z pozoru niby nic nie przeszkadza, aby polityk był zawodowcem. Jeśli może być zawodowcem dobry lekarz lub inżynier, to dlaczego polityk nie może „zawodowo” reprezentować narodu? Może, ale kosztem ograniczenia wpływu wyborców zarówno na ustawodawców, jak i na władzę wykonawczą. Lekarz jest dobrym lekarzem, jeśli dobrze leczy pacjentów, a nie jeśli uśmiecha się do nich mile. To ostatnie też się liczy, ale nie stanowi decydującego kryterium. Ale lekarzy do sprawowania zwodu się nie wybiera. Polityk w Ameryce, którego celem jest uzyskanie powtórnego wyboru i który robi wszystko, aby ten wybór sobie zapewnić, zamienia system parlamentarny w jego parodię. Sto lat temu było to możliwe, ponieważ po to, by zyskać sobie względy wyborców, trzeba było spełniać jako ustawodawca ich życzenia. Nawet jeśli te życzenia były zgubne, polityk nie przestawał reprezentować wyborców. W tym tkwiło rozsądne ryzyko demokracji. Obecnie sytuacja przedstawia się odmiennie, głównie przez to, że dochodzi jeden niezmiernie wagi czynnik: na poglądy wyborców mają niezmiernie doniosły wpływ *mass media*. Co najmniej od 30-40 lat, tj. od chwili rozprzestrzenienia się telewizji, widać, jak elektroniczne środki przekazu informacji kształtują oblicze publiczności. W ten sposób pomiędzy wyborców a kandydatów na urzędy publiczne wkroczył potężny pośrednik, z którym kandydaci muszą się bardzo liczyć. Gdyby nie byli zawodowcami, ich ambicją, być może, byłoby wyeliminowanie owego pośrednika. Zawodowcy patrzą na te sprawy bardziej praktycznie. Celem jest w pierwszy rządzie wybór, a nie reprezentacja. Znając potęgę *mass mediów*, nie próbują ich wpływów eliminować. Wolą zabiegać o ich względy.

Tu wypada w kilku zdaniach zastanowić się, co wyrażałyby pragnienia ludności amerykańskiej — bo ją głównie mam na myśli — gdyby przysłowiowy „głos ludu” nie był zniekształcony przez masowe środki przekazu. Wbrew sceptykom sądzę, że wyrażałyby zdrowy rozsądek: absolutne wyeliminowanie samooszustwa, widzenie rzeczy takimi jakie są — a więc niebezpieczeństwo, które zawisło nad światem ze strony Sowietów. Gdyby nie telewizja i w milionowych nakładach wychodzące gazety, przemawiające do czytelników głównie tytułami, globalny ekspansjonizm sowiecki — który stał się obecnie warunkiem istnienia Imperium — byłby dla Amerykanów widoczny i oczywisty. Nie mówię tego bez podstaw, albowiem przynajmniej raz, w listopadzie 1980 roku, opinia publiczna „zbuntowała” się przeciwko *mass mediom*, wybierając Ronalda Reagana. Pamiętam zaszokowaną i zdumioną twarz Waltera Cronkite’a, głównego reportera CBS, który w najgorszym razie oczekiwał trudnego zwycięstwa Jimmy Cartera. „Inżynierom dusz” przemawiającym wówczas z ekranów telewizyjnych wyrażono kompletne votum nieufności. Zdrowy rozsądek przeważył. Nie wykluczałbym, że taka eksplozja zdrowego rozsądku, przyćmiewanego pracowicie przez ostatnie pięć lat nie tylko przez „nieśmiertelny” *New York Times*, ale nawet przez opiniodawców rządowych (choćby w osobie sekretarza stanu George’a Shultza) powtórzyłaby się i w czasie najbliższych wybo-

rów. Niestety nie widzę na to szans, bo nie widzę kandydatów, którzy prostą i niezawołowaną prawdą przemówiliby do wyborców, jak niegdyś — przed ośmiu laty — Reagan. Reagan nie ma kontynuatorów, bo sam przyczynił się do wykluczenia ich z politycznej sceny. Dlatego wyborcy amerykańscy w roku wyborczym 1988 przypominają, niestety, pijane dziecko w mgłę.

To co wyczyniają amerykańskie *mass media* nie dzieje się bynajmniej wbrew woli publiczności. Rzecz w tym, że znaczna część wyborców po prostu rezygnuje ze swych demokratycznych prerogatyw. Scedowała je na „zawodowców”. W istocie przeciętnym ludziom nie zależy na udziale w rządach. Pragną jedynie, by rządono nimi w miarę mądrze i sprawiedliwie. A ponieważ w dyktaturach kapitalistycznych i państwach komunistycznych tak się nie dzieje, postulat ludowładztwa staje się jak najbardziej aktualny. System demokratyczny jest więc niezmiernie pożądanym tam, gdzie go nie ma. Nie zmienia to w niczym faktu, że tam gdzie jest — przeżywa kryzys. Oczywiście — zgodnie z tym co kiedyś powiedział Churchill — uważam, że jak dotychczas każda alternatywa jest gorsza od wypaczonego systemu parlamentarnego i miliony przeciwników demokracji nienawidzą jej nie dlatego, że uległa wynaturzeniu, ale dlatego że zafascynowani są komunizmem. Ale to jest odrębna sprawa, która nie jest tematem niniejszego artykułu. W niniejszym komentarzu zajmuję się problemem minimalnego wpływu Amerykanów na wybór ustawodawców. Czy wpływ ten, przejęty przez *mass media*, należy za wszelką cenę przywrócić, skoro samym wyborcom na tym nie zależy? Na pewno należałoby to zrobić, gdyby to było możliwe. W takim wypadku wypadałoby proces wyborczy sprymitywizować, wyłączyć z niego telewizję i zbliżyć go do zamierzchłych czasów, gdy środkiem kształtującym opinię publiczną było kilka gazet. Nie sądzę, by to było możliwe. Narody przemysłowe ze swą cywilizacją i rozwiniętą siecią usług stały się tworamami tak skomplikowanymi, że żadną miarą nie dałyby się wtłoczyć w gorset sprzed stu lat.

Zastanówmy się, co gwarantuje wyższość wynaturzonej demokracji nad systemami totalitarnymi, skoro żaden z nich nie wyraża woli ludności? Trzeba uznać, że obecnym społeczeństwem nie da się w ogóle rządzić. Rządzą nim wprawdzie ludzie, ale działają za nimi pewne mechanizmy społeczne, których nawet najuczciwsi reprezentanci władzy są niewolnikami. Jest to szczególnie widoczne w Stanach, gdzie elita umysłowa utrzymuje mit, że opinia publiczna ma decydujący wpływ na losy Ameryki. Myślę, że zarówno państwa demokratyczne jak i Sowiety są niewolnikami swoich ustrojów. W przeciwieństwie jednak do totalitaryzmu sowieckiego, systemy demokracji zachodnich nie są instrumentem do zachowania politycznej władzy. Odwrotnie, ustroje zachodnie gwarantują wymiennialność władzy, która periodycznie przechodzi od jednej partii do drugiej. Fakt, że nie odbywa się to metodą klasycznie demokratyczną, staje się coraz mniej istotny.

Powyższe „rozważania przedwyborcze” wypada uzupełnić refleksjami na temat prawyborów, które odbyły się w stanie Nowy Jork 12 kwietnia. George Bush wygrał je „walkoverem” ponieważ, praktycznie biorąc, nie miał kontrkandydatów. Ale Bush 12 kwietnia był nieważny i nikt się nim nie interesował, ponieważ uwaga wyborców skoncentrowała się na kandydatach demokratycznych — Michaelu Dukakisie (pochodzenia greckiego) i murzyńskim pastorku Jesse Jacksonie. Jak wiadomo, zwycięstwo odniósł Dukakis, uzyskując 49,5 % głosów. Jesse Jackson otrzymał 32,7 %. Senator z Tennessee Albert Gore, uplasowany na trzecim miejscu, wycofał się z wyborów. Michael Dukakis — gubernator najliberalniejszego w Ameryce stanu Massachusetts — reprezentuje w polityce zagranicznej nowe *détente* z Sowietami w całej okazałości. Niektórzy nazywają je największym oszustwem naszego stulecia. Ponieważ jednak Amerykanie obecnie chętnie wsłuchują się w głosy uwodzicielskie, to jest zapewne przyczyną jego popularności. Dukakis jest przeciwny pomocy dla *contras*, uważa SDI (Strategic Defense Initiative) za fantazję, choć wie, że tę „fantazję” starają się realizować Sowiety, które fantastami nie są. Jednym słowem wymarzony kandydat Kremla. Jesse Jackson, który zdobył w nowojorskich prawyborach pokązną liczbę głosów, ma w swej przeszłości już nie tylko deklaracje kapitulancie, ale nawet próby kolaboracji z płk. Kadafim. Przy jego pomocy projektował w swoim czasie program pomocy dla Murzynów amerykańskich, któremu nadano wówczas dość zagadkową nazwę „Push” (*push* znaczy pchać). Kadafi popierający czarnych obywateli Stanów przypomina Urbana, który kiedyś zapowiadał wysłanie przez PRL koczów dla bezdomnych Nowego Jorku. Wbrew apelom przywódców demokratycznych, aby wyborcy kierowali się kryteriami nie rasowymi lub etnicznymi, ale światopoglądem kandydatów, 94 % czarnych wyborców głosowało na Jesse Jacksona. Wśród białych nie było analogicznej jednności, bo aż 17 % białych demokratów oddało swe głosy na Jacksona. Tak więc prawyborzy kwietniowe nosiły na sobie wyraźne piętno rasizmu, jeśli przez „rasizm” rozumiemy preferowanie kandydatów według koloru skóry, co może uchodzić za pewną terminologiczną przesadę. Jesse Jackson, który zdobył przytłaczającą większość w największym skupisku stanu Nowy Jork — Manhattanie — kandyduje na stanowisko prezydenta. Powiedział on, że jeśli w wyborach listopadowych zostanie prezydentem, zamianuje na stanowisko sekretarza stanu b. prezydenta Jimmy Cartera. Takiego właśnie sekretarza stanu sobie wymarzył. Myślę jednak, że jego szanse uzyskania kandydatury z ramienia Partii Demokratycznej są znikome. Do tego cała Ameryka musiałaby być Manhattanem, a na to trzeba jeszcze poczekać. Prawdopodobnie zadowoliliby się kandydaturą na wiceprezydenta. Byłby to niemały sukces dla czarnej wspólnoty Stanów, która utrzymuje, że wciąż walczy z dyskryminacją, choć dyskryminowanie Czarnych w USA przypomina nieco zagrożenie Sowietów przez kapitalistów. Statystycy przeprowadzają wśród czarnych

mieszkańców Ameryki sondaż. Wynika z niego, że nie zadowolą się niczym mniejszym niż kandydaturą Jacksona na wiceprezydenta, jeśli zaś Jesse Jackson nie znajdzie się na wspólnej liście z Dukakisem — zbojkotują wybory. Byłaby to chyba droga dla białego kandydata Busha, którego szanse w konfrontacji z Dukakisem oceniam nader pesymistycznie. Bush nie planuje żadnego Czarnego na wiceprezydenta. Przy obecnych prawyborach widać jak nigdy przedtem, do jakiego stopnia więź etniczna i rasowa wypiera więź narodową. Nie wiem, czy wszyscy Greko-Amerykanie będą głosować na Dukakisa, ale charakterystycznym szczegółem może być apel pewnego żydowskiego ortodoksyjnego pisma. Wezwało ono żydowskich wyborców, aby głosowali na Dukakisa, ponieważ pani Dukakis jest Żydówką. Jeśli jednak Dukakis a raczej jego partia dobiorą mu na wiceprezydenta Jesse Jacksona, znanego dawniej z występów antysemitycznych, serca wyborców żydowskich będą rozdarte. Chyba że Jesse Jackson się poprawi. Zdaje się, że właśnie już zaczął, bo w telewizji oświadczył, że dzieci holocaustu muszą znaleźć wspólny język z prawnukami niewolników.

Wybory amerykańskie po przeszło 200 latach istnienia Stanów Zjednoczonych ukazują nam smutny obraz narodu, w którym więź narodowa jest o wiele słabsza niż była w zaraniu jego istnienia. Jeśli nie ma narodu, czy jakakolwiek inna więź przy zachowaniu swobód demokratycznych może ochronić społeczeństwo przed zagrożeniem z zewnątrz lub rozsadzającym je od wewnątrz? Myślę, że odpowiedź może być tylko negatywna.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 27 kwietnia 1988

List z Londynu (16)

W roku 1973 francuski generał, Gustave Bertrand, przedwojenny oficer wywiadu, opublikował swoje wspomnienie pt. *Enigma*. Po raz pierwszy wydobyto na jaw jeden z największych sekretów drugiej wojny światowej i szeroko rozeszła się wiadomość, że w czasie jej trwania Francuzi a później Brytyjczycy czytali najtajniejsze niemieckie depesze, szyfrowane na Enigmie i wysyłane drogą radiową. Stało się to możliwe dzięki sukcesowi polskich kryptoanalityków, którzy przed wojną złamali sekret niemieckiej maszyny.

Raz ujawniona tajemnica przestała już nią być i w rok później, za zgodą rządu, brytyjski pułkownik lotnictwa, Frederick Winter-

botham, także opublikował wspomnienia pt. *The Ultra Secret*. „Ultra” była siatką brytyjskiego wywiadu dostarczającą kilkuset wyselekcjonowanym osobom najbardziej tajne informacje, zdobywane dzięki złamaniu sekretu Enigmy. W swej książce Winterbotham podał fantastyczną i bezsensowną historię złamania sekretu niemieckiej maszyny, z zupełnym pominięciem Polaków.

Na szczęście w Wielkiej Brytanii znajdował się ppłk Tadeusz Lisicki, który w czasie wojny był związany z sekretem czytania niemieckich szyfrów i znał całą prawdę. Dnia 28 października 1974 roku wielki dziennik, *Guardian*, opublikował w tej sprawie jego list, prostujący fantazje Winterbothama, a już 3 listopada tegoż roku inny wielki dziennik, głośny *Times*, wydrukował wywiad z obydwojma oficerami, uzupełniony ich fotografiami. W tym wywiadzie Winterbotham przyznał, że w swojej książce podał wersję, którą posłyszał w czasie wojny, a Lisicki przedstawił szczegóły polskiego, wielkiego osiągnięcia, które zaważyło na przebiegu drugiej wojny światowej. Autor wywiadu skomentował całość stwierdzeniem: *The Poles Won* (Polacy zwyciężyli).

Później ukazało się kilka książek na temat Enigmy z prawdziwymi wersjami polskiego osiągnięcia. Winterbotham opublikował drugie wydanie wspomnień, tym razem z prawdziwą wersją złamania sekretu niemieckiej maszyny; Ronald Lewin powtórzył to w swej książce, *Ultra Goes to War*; zrobił to także brytyjski kryptoanalityk, Peter Calvocoressi, w książce, *The Secrets of Enigma*; w roku 1979 ukazała się moja książka pt. *Intercept, Secrets of the Enigma War*, z bardzo ważnym załącznikiem ppłk. Lisickiego, która miała wydanie popularne, wydanie amerykańskie i polskie; w roku 1984 Władysław Kozaczuk wydał angielską książkę, *Enigma*.

Jednak co pewien czas ukazywały się i nadal ukazują prasowe wystąpienia odbierające Polakom ich historyczne osiągnięcie i przypisujące je Brytyjczykom. Dlatego ważny był krok brytyjskiego rządu, który zdecydował się na odstonięcie tajemnic swego wywiadu w czasie ubiegłej wielkiej wojny, i wybitnemu historykowi z uniwersytetu w Cambridge, prof. F. H. Hinsleyowi, powierzył napisanie jego historii. Całość otrzymała tytuł *British Intelligence in the Second World War*, powstały trzy wielkie tomy, pierwszy ukazał się w roku 1979, drugi w roku 1981, trzeci i ostatni w roku ubiegłym, a jego druga część właśnie teraz.

W dwóch pierwszych tomach, pisząc o Enigmie, prof. Hinsley przesłiznął się nad osiągnięciem Polaków, teraz jednak, w specjalnym załączniku do drugiej części trzeciego tomu, przedstawił w pełni polską rolę w tej, jakże ważnej sprawie. Tytuł załącznika w tłumaczeniu na polski brzmi: „Polski, francuski i brytyjski udział w złamaniu Enigmy: zrewidowana wersja”. Na 15 stronach przedstawiono dosyć dokładnie jak było, są daty, są fakty, są polskie nazwiska, są podane inne i polskie źródła (także i moja książka ze skierowaniem uwagi na załącznik ppłk. Lisickiego).

Ta wersja jest dobra i ostateczna, znajduje się w oficjalnym wydawnictwie brytyjskiego rządu (*Her Majesty's Stationary Of-*

fice), nikt już jej nie może podważyć. W wypadku jakiegokolwiek nowej kontrowersji to jest źródło, na które należy się powołać.

Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych co pewien czas sprowadza z różnych krajów pisarzy, historyków, reżyserów, dziennikarzy i innych podobnych ludzi, którzy mają wpływ na szersze rzesze odbiorców na swoim terenie. Dzielą się oni a raczej są dzieleni na różne kategorie, do pierwszej zalicza się oficjalnych przedstawicieli danego państwa. Ministerstwo spodziewa się, że dzięki hojnemu przyjęciu, licznym kontaktom, zwiedzaniom i gościnności, uhonorowany przybysz powróci do siebie z dobrym wrażeniem, że pozbędzie się ewentualnych uprzedzeń i że swym odbiorcom będzie przedstawiać Wielką Brytanię w dodatnim, a przynajmniej w obiektywnym świetle. Czym trudniejszy a jednocześnie bardziej wpływowy jest gość, tym większy będzie sukces, gdy się go pozyska.

Niedawno takim gościem, zaliczonym do pierwszej kategorii, była p. Ewa Łuszczuk, redaktorka *Przyjaciółki*, kobiecego pisma w Polsce. Pani Łuszczuk nie mówi po angielsku, przyjechała tylko na tydzień, ale ministerstwo zadbało, by spotkała się z jak największą liczbą osób reprezentujących drażliwe problemy i zajmujące się nimi organizacje. Na liście znaleźli się przedstawiciele Narodowej Rady Obywatelskiej Wolności, Równych Praw Związku Dziennikarzy, Organizacji Kobiectw Praw, Komisji Równych Szans, Kobiectwo Komitetu Związków Zawodowych, członkini Izby Gmin, Joan Ruddock, głośna organizatorka antynuklearnych demonstracji, i wiele innych podobnych osób.

Przyjaciółka jest pismem partyjnym, wydawanym przez Robotniczą Prasową Kooperatywę, mającym szerzyć socjalistyczną propagandę wśród kobiet. Według jego redaktorki pismo ma 2 miliony nakładu, a czyta je około 8 milionów ludzi. Jedną z jego kolumn zajmuje się problemem rodzin, które zostały na jakiś czas rozdzielone, bo ojciec lub matka, w poszukiwaniu zarobku i ratowania się od nędzy, wyjechali za granicę. Taka matka jest przedstawiana jako prostytutka, która w Stanach czy w Kanadzie ma, oczywiście, kochanka a jej córka, ze wstydu, truje się w Warszawie.

Brak języka i krótki pobyt nie przeszkodził p. Łuszczuk w dopatrzeniu się w Wielkiej Brytanii tylko braków i uchybień. Zaprowadzono ją do żłobka, w którym pracujące matki zostawiają swoje dzieci. „Myślałam, że w Polsce jest pod tym względem nie najlepiej, ale po tym, co tutaj zobaczyłam, przestanę krytykować nasz rząd”. Jedną z dziennikarek zapytała ją, jak wygląda sprawa braków w zaopatrzeniu obywateli w Polsce, o czym otwarcie pisze polska prasa. „U nas nie ma żadnych braków”. Zapytano ją także o „Solidarność” i o grudzień 1981 roku. „Byłam wtedy komentatorem radiowym i starałam się przekonać moich słuchaczy, że to co podjęliśmy do niczego nie prowadzi. Nam jest potrzebny pokój i praca”.

Wydaje się, że tym razem *Foreign Office* wydało niepotrzebnie tysiące funtów.

Kilkanaście lat temu drugi kanał BBC prezentował, już obecnie nieistniejący, bardzo ciekawy program pod tytułem *Man Alive* (człowiek żywy). Bezpośrednio, bez możliwości jakiegokolwiek manipulacji, bo obraz wprost ze studio szedł na ekran, przedstawiano trudną, ale ciekawą i niecodzienną problematykę.

Zostałem zaproszony do programu, który miał przedstawić w jaki sposób, w ciężkich warunkach, ludzie potrafili przeżyć. Obok mnie, Oświęcimianka, wystąpił Wiktor Feinberg, który po ataku Sowietów na Czechosłowację w roku 1968 wyszedł z protestem na Czerwony Plac w Moskwie, został aresztowany i osadzony w domu wariatów. Po zwolnieniu wypuszczono go na Zachód. Był także brytyjski podoficer, który pracował przy słynnym japońskim moście na rzece Kwai, i angielska dziewczyna, która przeżyła 5 lat w indyjskim więzieniu.

Wtedy, kilkanaście lat temu, nie ja szukałem telewizji, ale ona mnie, proszono, bym przy okazji powiedział kilka zdań o obozie, o jego międzynarodowym charakterze, o tym, że pierwszymi więźniami byli Polacy, dla których został on w swym pierwszym założeniu stworzony. Program bardzo się udał, otrzymałem po nim wiele listów.

Obecnie, na kanale pierwszym BBC, co tydzień idzie program Roberta Kilroy-Silka, ale już nie „na żywo”, na którym dyskutuje się różne aktualne sprawy. Ogłasza się nowy temat na tydzień z góry, podaje się numer telefonu, który stale jest otwarty, i prosi się o zgłoszenia zainteresowanych ludzi.

Kilka tygodni temu ogłoszono, że odbędzie się dyskusja o niemieckich obozach koncentracyjnych. Mam już telewizyjne doświadczenie, znajomi zachęcali mnie, postanowiłem się zgłosić. Przez dwa dni próbowałem się dozwonić. Albo telefon był zajęty, albo nikt się nie odzywał. Widząc beznadziejność tej drogi i rozumiejąc, że jest ona tylko kamuflażem zakulisowych manipulacji, posłałem moje zgłoszenie najszybszą pocztą, z dużym zapasem czasu, informując, że jestem Polakiem i byłem więźniem Oświęcimia. Na mój list, ani wtedy ani do dziś dnia, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Po programie, którego tytuł zmieniono i który w 90 % odbiegał od jakiegokolwiek prawdy, posłałem do *Radio Times* list z podstawowymi sprostowaniami: pierwsze niemieckie obozy koncentracyjne powstały dla politycznych przeciwników Hitlera, a nie dla ludobójstwa; Oświęcim przez rok był czysto polski, stworzony dla sterroryzowania Polaków; w obozie więźniowie reprezentowali 30 narodowości; do komór gazowych szli także Cyganie, Polacy, Rosjanie, Francuzi, Czesi i inni. Mój list nie został wydrukowany.

Wielka, wspaniała idea: wolność słowa. Ileż się w ciągu ostatnich kilkunastu lat zmieniło.

Szereg tygodni temu, w Gibraltarze, patrol specjalnej brytyjskiej służby bezpieczeństwa (SAS) zastrzelił trzech irlandzkich terrorystów, w tym jedną kobietę. Obserwowano ich jeszcze w Hiszpanii, wiadano kim są, były podstawy do przypuszczeń, że przygotowują wybuch dużej bomby w samochodzie, który został już przez patrol umiejscowiony.

W Wielkiej Brytanii zniesiono karę śmierci, natychmiast więc podniosły się głosy, że pogwałcono prawo, że zastrzelono ludzi, którzy, gdyby nawet dokonali swego zamachu i zabili wiele osób, sami uniknęłyby śmierci. Należało ich aresztować i udowodnić planowaną zbrodnię.

Władze zarządziły dochodzenie, specjalna rozprawa ma wyjaśnić wszystkie aspekty i szczegóły krwawego incydentu. Gdyby się okazało, że terroryści posiadali broń i chcieli jej użyć, lub gdyby ich zachowanie się użytek taki pozorowało, brytyjski patrol miałby prawo ich uprzedzić. Rozprawa odbędzie się w Gibraltarze, zgodnie z tamtejszym prawem.

Zanim cokolwiek załatwiono, incydentem, w wielkim pośpiechu zajęła się telewizja: jej niezależna gałąź (ITV) i BBC. Zrekonstruowano krytyczne sekundy, zebrano zeznania świadków i w bardzo krótkim czasie dwa filmy były gotowe. Brytyjski rząd uznał, że pokazanie tych filmów przed formalną rozprawą jest niewskazane, bo telewizja nie może się mieszać w wymiar sprawiedliwości i ferować własnych wyroków. Mógłby zabronić wyświetlania filmów, gdyby dotyczyły spraw bezpieczeństwa kraju. Taka sytuacja nie zaistniała, mógł więc tylko apelować, by z wyświetleniem poczekać do sądowej rozprawy. Obydwa kanały odmówiły, filmy zostały wyświetlone, ten który pokazała niezależna telewizja był przeraźliwie jednostronny i, oczywiście, oskarżający patrol SAS o popełnienie zbrodni.

Wśród kilku aspektów tej skomplikowanej sprawy jeden wybija się na czołowe miejsce: wolność informacji, niczym nie hamowane prawo do własnej oceny.

Masowe środki przekazu nie powinny rządzić w żadnym systemie politycznym, ale w prawdziwej demokracji mają one bardzo szerokie przywileje, do tego nawet stopnia, że mogą urabiać opinię publiczną ponad rządem, parlamentem i wielkimi partiami politycznymi. Wynika z tego nieodparty wniosek, że na ludzi, którzy kierują telewizją, radiem i prasą spada wielka odpowiedzialność. Jak się z niej wywiązują? Prasa i radio różnie, telewizja z reguły negatywnie. Zawsze jest pościg za sensacją, zawsze władze są winne, zawsze lekceważy się obiektywizm i prawdę, by trafić do upodobań najszerzych mas.

Józef GARLIŃSKI

"Humor" krajowy

Wywiad z ppłk. red. Wiesławem Górnickim

W niedzielę 8 maja br. amerykańska sieć telewizyjna ABC nadała obszerny wywiad z doradcą generała W. Jaruzelskiego, podpułkownikiem redaktorem Wiesławem Górnickim.

Gospodarzem w studio amerykańskim był David Brinkley, poza nim pytania podpułkownikowi zadawali komentatorzy prasowi i telewizyjni — George F. Will i Sam Donaldson. Do podsumowania wywiadu Brinkley zaprosił byłego sekretarza Stanu USA, Henry Kissingera, oraz zastępcę dyrektora Instytutu Studiów Rosyjskich w Uniwersytecie Harvarda, prof. dra Marshalla Goldmana. Po wysłuchaniu wywiadu z ppłk. Górnickim komentatorzy ograniczyli podsumowanie do paru uwag.

Zamieszczamy pełny, filologiczny przekład angielskiego tekstu wywiadu, spisanego z taśmy magnetofonowej. Zachowano wszystkie cechy angielskojęzycznego oryginału, włącznie ze zdarzającymi się w wypowiedziach błędami bądź przejęzyczeniami. Oznacza to, że nasi Czytelnicy po przeczytaniu wywiadu odbiorą bardzo zbliżone wrażenie do tego, jakie było udziałem widzów i słuchaczy amerykańskich. Dla przykładu można wyjaśnić, że ppłk red. Górnicki raz mylnie użył zwrotu *look for* (szukać) mając prawdopodobnie na myśli zwrot *look at* (przyglądać się), oraz że zamiast słowa *shippyard* (stocznia) konsekwentnie używał słowa *stockyard* (rzeźnia), co w określonej sytuacji w Polsce, w czasie oblężenia Stoczni Gdańskiej przez oddziały ZOMO, przydało jego wypowiedziom niezamierzonej prawdopodobnie aury surrealistmu.

BRINKLEY: — Pułkowniku Górnicki w Warszawie, w Polsce,

dziękujemy panu za okazję do dzisiejszej rozmowy za pośrednictwem satelity.

GÓRNICKI: — Dzień dobry.

B.: — Miło nam gościć pana...

G.: — (chwila ciszy) Mnie również.

B.: — *Proszę nam powiedzieć... Jest pan doradcą generała Jaruzelskiego, proszę nam opowiedzieć, co czuje generał w związku z dwoma strajkami „Solidarności” w kilka lat po poprzedniej serii strajków. Co on dzisiaj o tym myśli?*

G.: — Ach, to tak? Zanim odpowiem na pytanie, muszę panu powiedzieć, że ćwierć wieku temu ja studiowałem dziennikarstwo na amerykańskim uniwersytecie i tam nauczono mnie żelaznej zasady: jeśli pies ugryzie człowieka — to nie jest to żadna wiadomość, wiadomością byłaby sytuacja odwrotna. I właśnie to przydarzyło się mojej ojczyźnie. Przede wszystkim...

PYTANIE: — *Chwileczkę, chwileczkę... „Pies gryzący człowieka” — to przecież jeden z oklepanych szablonów dziennikarstwa (ogólny śmiech). Kto tu jest psem i kogo ten pies gryzie?*

G.: — Przede wszystkim, za dużo jest podniecenia wokół tego wszystkiego. Weszliśmy na drogę, od pierwszego stycznia bieżącego roku, na drogę znaną każdemu Amerykaninowi, na drogę przekształcania naszej gospodarki na bardziej wydajną i czynienia z naszych przedsiębiorstw wypłacalnych jednostek gospodarczych, a to zawsze i wszędzie powoduje pewne zaburzenia. I to już wszystko. Zaś co dotyczy „Solidarności”, to — doprawdy, słuchajcie — 70 % członków byłej „Solidarności” należy do nowych związków zawodowych. Ich najwybitniejszy doradca prawny, Siła-Nowicki, jest członkiem Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa. Mamy około 30 % członków KC Partii Komunistycznej, którzy w przeszłości należeli do „Solidarności”. Więc to jest nonsens! Nie ma czegoś takiego, jakiejś barykady z „Solidarnością” po jednej stronie a każdym innym, wszystkimi porządnymi ludźmi, po drugiej stronie.

P.: — *Panie, panie Górnicki, stanowisko waszego rządu, tak jak ja je pojmuję, jest następujące: ponieważ „Solidarność” nie istnieje legalnie, więc nie istnieje w ogóle. Dlaczego w takim razie zaarrestowaliście niektórych przywódców „Solidarności”, mimo iż wyglądali oni na mocno zaskoczonych tą ostatnią falą strajków?*

G.: — Przede wszystkim nie zaarrestowaliśmy żadnych przywódców

ów tak zwanej „Solidarności”! Wiecie... Kraj, który całkiem niedawno miał pewne doświadczenia ze związku zawodowym kontrolerów ruchu powietrznego, a jeden z jego najbliższych sojuszników, Wielka Brytania, która w sześć miesięcy zgłodziła strajk górników i postawiła pana Scargilla przed sądem, powinien wprowadzić jasne rozróżnienie między strajkiem, który jest w Polsce legalny, a stopniowo, jak sądzimy, stanie się rzeczą normalną, tak jak to już jest w Jugosławii i w innych krajach, a dzikimi strajkami, które — jak bardzo dobrze wiecie — jest nielegalny. Doktor Wałęsa lata w kółko, udzielając po piętnaście wywiadów dziennie, i nie jest aresztowany, nie znajduje się w kajdankach tak jak Scargill lub przywódca związku kontrolerów powietrznych. Spójrzcie... ja naprawdę nie chcę angażować się w ten rodzaj polemiki, lecz sądzę, że ten ostatni problem z Polską jest ponad miarę eksploatowany. Przede wszystkim, nie pozostaje w związku z liczbami. Gdyby wszystko, co wasze środki przekazu donoszą, było prawdą, mielibyśmy strajk generalny na skalę ogólnokrajową od... ee... dziesięciu dni albo może od trzech miesięcy.

P.: — *Więc twierdzi pan, że gdybyśmy się wreszcie przymknęli, problem przestałby istnieć. Czy tak?*

G.: — Słucham?

P.: — *Czy twierdzi pan, że gdybyśmy się przymknęli, problem przestałby istnieć?*

G.: — (dyszkantem) Nie, nie, nie! Jest... no, więc... Wasze środki przekazu, zwłaszcza te w języku polskim, wywierają pewien wpływ. Oczywiście, że... oczywiście, prawdziwy problem polega na czymś, co nazwałbym adaptacją do nowego stylu naszego życia gospodarczego...

P.: — *... Ale pułkownik, może ja jednak spytałbym o to, co wydarzyło się w Hucie. Ludzi obezwładniono gazem łzawiącym, pobito, wasza policja zgłodziła to i aresztowała ludzi.*

G.: — Eee... aaa... chwileczkę... (kręci głową przecząco).

P.: — *Ależ pułkownik, mamy z tego nagranie video!*

G.: — (cisza) Bitych ludzi? Bitych...?

P.: — *Gdy policja wtargnęła, aby zgnieść strajk w Hucie, tak.*

G.: — Strajk został zgnieciony, ale nikogo nie pobito, nikogo nie pobito, to jest...

P.: — Nikogo nie obezwładniono gazem, nikogo nie aresztowano?

G.: — Nie, areszt to jest sprawa legalna; niektórych ludzi tylko zatrzymano...

P.: — No właśnie!

G.: — ...zatrzymano na 48 godzin lub coś takiego, niektórych nawet...

P.: — Chwileczkę, pozwoli pan, że przejdziemy do spraw dziesiątych się dzisiaj, w niedzielę, w stoczni gdańskiej. Czym to się wszystko zakończy? Czy rząd zgodzi się prowadzić rozmowy i przyznać podwyżki płac i przystać na inne żądania strajkujących? Czy też wprowadzicie tam policję?

G.: — Panie Brinkley! Ja nie sądzę, aby rząd miał z tym cokolwiek wspólnego! Od pierwszego stycznia finanse każdego przedsiębiorstwa, to jego prywatny interes. Tak się składa, że Rzeźnie imienia Lenina w Gdańsku toną w długach. Winne są państwu miliardy złotych... a w zeszłym roku to na ponad dwanaście miliardów musieliśmy ich subsydiować z budżetu państwa. My możemy mieć do czynienia tylko z tymi sektorami gospodarki, które bezpośrednio zależą od rządu, ale tych jest bardzo niewiele. Hasłem dnia jest wypłacalność, tak samo zresztą jak bankructwo. Musieliśmy się zapożyczyć po to, aby...

P.: — Pułkowniku, ależ nie o to pytałem! Czy zaprzecza pan, że rząd jest zaangażowany w rokowania, które — zdaje się — mają miejsce w czasie obecnego weekend'u?

G.: — (cisza) No, rząd zaangażowany jest wyłącznie w tym sensie, że jeśli nadal ma być subsydiowany w przyszłości, to to idzie z budżetu centralnego, ale to jest sprzeczne z prawem przysługującym gospodarce.

P.: — A gdyby... Zaczął pan swą dzisiejszą wypowiedź od stwierdzenia, że Ameryka rozdmuchuje tę sprawę, że powinniśmy mniej o tym mówić, a powodować się rozsądkiem. Dam panu oto przykład, czego dowiedzieliśmy się od pańskiego rządu. Pan Urban, rzecznik pańskiego rządu, powiedział, że gdy jednostki ZOMO weszły na teren zakładów, robotnicy przywitali je oklaskami, a nikomu nie stała się krzywda. Ale my mamy zapis video i mamy doniesienia o tym, iż użyto petard ogłuszających. Chciałoby się zapytać: jak można dostyszczyć oklaski przy hukach petard? Czy nie daje nam pan w oczywisty sposób zafałszowanego obrazu

szczegółów zajścia, nawet jeśli dotyczyło ono — jak pan z naciskiem utrzymuje — małej liczby osób?

G.: — Ja nie... Z bardzo prostego powodu: w żadnym momencie nie brało udziału w strajkach więcej niż 15 % ludzi zatrudnionych w Rzeźniach i w Hucie, co pozostawia wam 85 % ludzi, którzy albo nie chcieli strajkować, albo — no, to była mała grupka ludzi, ja nie twierdzę, że policję oklaskiwało kilka tysięcy osób.

P.: — Rozumiem to, szanowny panie, ale nawet mała grupka ludzi zasługuje na to, aby mówić o niej zgodnie z prawdą. Czy użyto petard, czy ich nie użyto?

G.: — (cisza) Aaa... Szczerze mówiąc, nie wiem, co to jest petarda. Nie sądzę, aby używała ich policja, ale nie mogę tego wykluczyć, więc... Na miłość Boską! Dlaczego my w Polsce mamy starać się dostosowywać do wszelkich możliwych norm?! Sądzę, że będąc częścią Imperium Zła my nie zasługujemy na uczciwe traktowanie. Ale od czasu do czasu, gdy staramy się postępować tak jak wymaga tego od nas Bank Światowy lub Międzynarodowy Fundusz Walutowy, i to wywołuje — no, tak jak to wywołuje wszędzie, szukajcie Turcji, szukajcie każdego kraju...

P.: — Ale pułkowniku, dlaczego by po prostu nie zalegalizowali „Solidarności”? Czy jest jakakolwiek szansa, abyście zalegalizowali „Solidarność”?

G.: — Kogo?

P.: — Wy — rząd.

G.: — Nie, nie... Ale kogo mielibyśmy zalegalizować? Każdy, kto działał *bona fide*, w dobrej wierze, jako przywódca związku zawodowego, włącznie z niedawnym prezesem związków, który jest byłym członkiem „Solidarności”...

P.: — Lech Wałęsa?

B.: — Lech Wałęsa!?

G.: — Nooo... (ze zniechęceniem) Proponuję, abyście panowie o Wałęsę raczej pytali Senatora Richarda Helmsa. To przecież Senator Helmes umieścił go na liście płac rządu federalnego Ameryki, jeden milion dolarów rocznie, a wasz korespondent w Waszyngtonie może to sprawdzić. Doktor Wałęsa każdego dnia mówi dwadzieścia kompletnie niekonsekwentnych i wzajemnie sprzecznych rzeczy. No, mnie przytrafiło się poznać go, ponieważ byłem

doradcą rządowym w 1981-szym w czasie wszystkich rokowań z „Solidarnością” i ja nie mam żadnych złudzeń.

B.: — *Pułkowniku...*

G.: — Słucham?

B.: — *Pułkowniku, nasz czas się skończył, dziękuję bardzo...*

G.: — Och, dziękuję!

B.: — ... za dzisiejszą rozmowę. Dziękuję!

REKLAMA

B.: — (już za chwilę) *Henry Kissinger, były sekretarz Stanu, oraz Marshall Goldman, zastępca dyrektora Instytutu Studiów Rosyjskich w Uniwersytecie Harvarda.*

REKLAMA

B.: — *Panie Kissinger, profesorze Goldman, dziękuję za to, że zgodziliście się przyjść, witam panów serdecznie.*

Słyszeli panowie poprzedni wywiad... Czy wiecie coś o tym, że Lech Wałęsa ma być na liście płac rządu federalnego USA z pensją miliona dolarów rocznie? Czy słyszeliście coś na ten temat?

GOLDMAN: — Ja nie.

KISSINGER: — Nigdy nie słyszałem niczego podobnego.

GOLDMAN: — Zaskoczyło mnie również to, że jest nazywany doktorem. Nie żeby to coś zmieniało w sytuacji, ale... Było sporo przesady w tych twierdzeniach.

BRINKLEY: *I to jakiej!*

KISSINGER: — Jemu najwyraźniej pomyliły się również postaci Ryszarda Helmsa i senatora Helmsa...

BRINKLEY: — *Wszyscy usilnie staraliśmy się zrozumieć, o czym on mówi, ale do końca nie udało się nam tego zrozumieć (...).*

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Przemierzając się warszawską ulicą, przygnębioną dodatkowo porą roku, ujrzałem nagle kogoś, kto — używając metafory przestankowej — wśród kropek smutku był smutku wykrzyknikiem. Toż to docent W.! Podał mi dłoń jak sopel lodu.

— Nie dali paszportu — rzekł i spojrzał nad moją głowę w dal, gdzie powinna być zachodnia granica.

— Kiedyś dadzą — pocieszyłem go odruchowo, a słowa te od razu zapachniały cmentarzem, bo i o śmierci się mówi, że przyjdzie kiedyś na pewno, w co oczywiście nikt nie wierzy.

Odsunąłem się nagle od docenta uderzony myślą, że a nuż zarażę się od biedaka paszportową odmową. Choroba to poważna. Wyjazdy na Zachód zyskały na wadze — może to już nie przepustka za więzienia, ale ze szpitala psychiatrycznego na pewno. A ja przecież niedługo też udam się do władzy ludowej po próbie. Dają co prawda niemal wszystkim, ale w tym niemal zmieścił się przecież cały docent W., iluś tam magistrów, a nawet profesor Klemens Szaniawski. Co więc będzie ze mną? Dadzą? Nie dadzą? Pożegnałem się zbyt pośpiesznie z docentem i odszedłem macając w sobie niepokój, jedno z żeber systemu.

Wielkie ogłoszenie, wzbogacone atrakcyjnymi rysunkami na całą stronę *Życia Warszawy*, że firma kanadyjska budować zamierza u nas dzielnicę o nęcącej nazwie Union Plaza. Lokalizacja w pobliżu Czerniakowskiej, niedaleko miejsc, gdzie była niegdyś knajpa „Sielanka”, która w piosenkach podwórzowych kapel rytmowała się do Mańka. Na tej kanadyjskiej wyspie, co ma przybić do brzegów Czerniakowskiej, zamieszkać mogą cudzoziemcy, jak również — cytuję — „krajowcy dewizowi”, po zapłaceniu

pewnej ilości dolarów rzecz jasna. Tak oto wśród 40 milionów tubylców naszej przywiślańskiej kolonii, wybiła się wcale okazała grupa, która uzyskała status krajowców dewizowych.

Czy owa kanadyjska wyspa ma u nas szansę, czy nie zatonie na mokotowskich błotach? Trudności powstały już na samym początku. Otóż okazało się, że Kanadyjczycy pragną budować w zaskarżającym tempie kilku miesięcy, do czego stolica i w ogóle cała PRL jest zupełnie nieprzygotowana. Mam znajomego na ciemnej naszej prowincji, który skarżył się, że baby wiejskie, gdy chce się je badać zbyt gruntownie, zawsze mawiają, że są nieprzygotowane.

Przestano zagłuszać Wolną Europę. Nie jest to ze strony władzy akt znaczący, gdyż doszło już do tego, że spacer ulicą bardziej podburza obywatela niż wszystkie zagraniczne audycje w kupie. Słuchać zaczęli ci z dołu i z góry politycznej i blokowej, ci co prowadzą taksówki i autobusy, a nawet sprzedawczyni, która w moim osiedlowym sklepie prowadzi stoisko ze słodyczami. Gdy robiłem ostatnio zakupy, toczyli właśnie spod lady spór ekonomiczny Waldek Kuczyński z Bronkiem Wildsteinem. Drodzy przyjaciele, toż zamiast się spierać, wyjdźcie z plastikowego pudła i pospacerujcie ze mną wzdłuż szarych opakowań zastępczych i kilku towarów na krzyż. A na marginesie całej sprawy — choć by się spodziewał, że moi koledzy z klasy, ze studiów i z opozycji będą mnie prześladować we dnie i w nocy, mądrząc się na falach Londynu, Waszyngtonu, Monachium i Watykanu, płynąc z rozwianymi połami garniturów, bez dowodów osobistych, za to z początkami łysiny, która jak się okazuje też nie zna granic.

Styczeń, któremu pokręciło się we łbie i uwierzył, że jest kwietniem z pretensjami do maja. Po czterdziestu latach nawet miesiące dostają u nas kręćka, podobno tak jest w całej Europie, ale kto w to uwierzy?

Kraków. Rybitwy siedzą na podmiejskich sosnach, rybitwy skąd? Wawel śmierdzi jak rozkładający się dinozaur, którego łapę liże ściek Wisły. W powietrzu ruda mgiełka pachnąca ostro siarką. Gdyby pojawił się Antychryst, nikt by się nie zdziwił.

Postanowiłem odwiedzić znajomych. Opuszczałem okrutną w swej brzydocie nową dzielnicę Nowe Bronowice, z której okien widać wzgórze i dwa kopce. Zaś tam w dole, wśród betonu naszej bunkrowatej małej architektury, toną stare Bronowice i Tetmajerówka, gdzie Wyspiański zobaczył swoje „Wesele”. Dom ten, o dziwo, jeszcze żyje, ale jest w kiepskim stanie, bo miasto przez dziesięciolecia nie interesowało się jakąś tam drewnianą chałupą, zajęte pobliskim betonowaniem. Podobnie smętny los starych krakowskich kamienic, które odebrano po wojnie właścicie-

lom i które popadły w głęboką ruinę. Jadę właśnie do takiego budynku, który jakiś czas temu nabyli moi znajomi, co stało się możliwe w ramach prób przyswajania relikwów kapitalizmu w postaci kamieniczek. Znajomi podjęli się remontu domu i, zgodnie z moimi najgorszymi przeczuciami, już nie ma wątpliwości, że to nie oni dom, a dom ich remontuje. Wychudli, pociemniiali, snują się po wielkich pokojach i szepczą skargi: na brak gwoździ, pijanych malarzy, ciekące rury. „Lepiej posłodź herbatę, cukier zabija smak tutejszej wody” — radzą mi.

Wracam tramwajem. Jest godzina 21-sza, miasto ciemne, wymarłe, jakby zapomniano tu odwołać godzinę milicyjną stanu wojennego. Przez chwilę miałem obawę, że jadę w przeciwną stronę, ale uspokoiły mnie identycznie zaniedbane domy i nowe dzielnice identyczne jak te, które pamiętałem z niedawnej podróży. Uspokojony wysiadłem na identycznej pętli tramwajowej i prawdziwie szczęśliwy, że jednak nie zabłądziłem, udałem się w kierunku świateł ćmiących się w tysiącach identycznych okien. Dopiero tam jakaś ciemna postać z psem na smyczy poinformowała mnie, że jestem na zupełnie przeciwnym końcu miasta. Boże, zmiłuj się nad nami!

Po Krakowie Zakopane, o którym mawia się jak o niektórych kobietach, że nosi ślady dawnej urody. Wczesnym wieczorem idę do centrum. Coś wiazi mi na piersi i nie chce puścić. To powietrze. Jak wynika z badań, skażenie tu większe niż na Śląsku, jest to więc z pewnością „najzdrowsze” na świecie „uzdrowisko”. Na Krupówkach wygaszono światła sklepów, ciemno, ponuro. Trzech milicjantów z psem wydaje się szczególnie na miejscu. Włączą się grupki Jugosłowian, zatrzymują się przed nielicznymi kawiarniami, gdzie jest dyskoteka, pertraktują z portierami, ale nie dla psa kiełbasa.

Jugosłowian ściąga tu Orbis, korzystając z pustych turystycznie tygodni. Zwani przez miejscowych pogardliwie „Jugolami”, budzą niezwykle silne negatywne emocje. Bo czynią tłok w tłoku już istniejącym, bo lepiej ubrani, mają lepszą prezencję, są głośni i dużo się śmieją (jak widać socjalizm nie podciął im jeszcze korzeni).

— Czy pani zauważyła, jakie oni mają krótkie palce — powiedziała matka Polka do matki Polki. Obie posiadały krótkie nogi, obfite tyły i twarze kartoflane.

— Co za chamstwo nas najeżdża, słyszała pani, jak oni się śmieją? I to zupełnie bez powodu — uniosła się druga niewiasta.

Jugosłowian przyciąga tu niezwykle korzystny przelicznik dinara, kupują więc co popadnie, a wybór mają niewielki. Nabywają plastikowe nocniki, tornistry, a czasami w rozpaczy narty wodne. Te narty wodne są w sklepach sportowych zamiast nart

śnieżnych, których nie ma z powodu zimy i pełni sezonu narciarskiego.

Teraz przyszedł czas, by ulżyć strasznym wspomnieniom i opisać, jak zdobywałem narty i wiązania w Warszawie, ile barykad trzeba było sforsować, ile krwi utracić. Ale dajmy spokój narytologii, szczególnie że trzeba zachować siły do walki w kolejkach do wyciągów.

Dolna stacja kolejki na Kasprowy zatłoczona i zdenerwowana jak miejski autobus w godzinach szczytu. Wysnuwa się stamtąd długi ogon, który rosnać poczyna już o godzinie czwartej rano! I pomyśleć, że zbliża się przerwa szkolna, a wtedy zjedzie tu jeszcze kilkanaście tysięcy ludzi. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny obraz, jak tylko piekło Boscha. Uciekałem przed tą Apokalipsą pociągiem. Na korytarzu buszowałem kilkuletni brzdąc, próbując bezskutecznie zgubić nadwyżki energetyczne. W swych wysiłkach spenetrowałem ubikację i stamtąd się rozwrzeszczał: — Mamo, tato! Tu jest papier do pupy! Więc to już nie sarny zimą, ale bociany latem ekscytują nasze dzieci.

Pewien cudzoziemiec świeżo poruszony dziwnością naszej rzeczywistości, spytał mnie: — Jak to się dzieje, że u was niczego nie ma, a wszystko jest!?

Głupio było się przyznać, że ja też tego nie rozumiem, więc zacząłem brnąć w myśli, których nie byłem pewien.

— To, co pan powiedział, jest mniej więcej trafne, ale wydaje mi się, że zbliżamy się do chwili, kiedy coraz bardziej niczego nie ma, a coraz mniej wszystko jest. A wkrótce oba człony paradoksu rozejdą się tak daleko, że jeden drugiego nie będzie widział.

— I co wtedy? — zapytał cudzoziemiec, któremu wzrok zmętniał od mojego wywodu.

— Wtedy nastąpi coś, czemu nie zaradzi ani Matka Boska, ani Lech Wałęsa, ani ZOMO.

— I to właśnie będzie ta katastrofa, o której tak wiele się tu mówi — ucieszył się cudzoziemiec, któremu katastrofa kojarzyła się z czymś wyraźnym. Musiałem go zmartwić.

— Katastrofa ma miejsce właśnie teraz, wystarczy dotknąć skóry naszych domów, powąchać klatki schodowe, spojrzeć przechodniowi w oczy, to właśnie katastrofa — ona trwa.

Byliśmy niby przygotowani na najgorsze, ale gdy najgorsze przyszło, zaskoczenie było zupełne. W poniedziałek ludzie wchodzili ostrożnie do sklepów, niepewni, co ich tam czeka. Ja osobiście ciężko przeżyłem kawiarnię. Zaprosić tam musiałem pewną niewiastę — od razu się zastrzegam, że w sprawach zawodowych. Ona zaś okazała się osobą łakomą, a zdając sobie sprawę,

że ma do czynienia z dżentelmenem, zamówiła śmiało bitą śmietaną z bakaliami. Ja, spodziewając się najgorszego, zadowolilem się herbatą i patrzyłem z zazdrością, jak moja sąsiadka wyłuskuje rodzynki ze śmietany. Rachunek przygiął mnie do ziemi. I pomyśleć: restauracje zabrano nam już dawno, teraz przyszedł czas na kawiarnię. W pobliżu szatni usłyszałem, jak szatniarz ze stałym klientem napisali taki dialog:

— Ano tak — rzekł klient.

— Właśnie tak — kiwnął głową szatniarz.

Klient rozkiwał swoją głowę.

— Nie ma nawet co mówić — powiedział szatniarz, wieszając płaszcz.

— Nie ma co mówić — potwierdził klient odbierając numer.

W tej zasepionej zwężłości mieści się zarówno rezygnacja jak i dynamit.

Na szarzejącym tle naszej ulicy coraz wyraźniej widać ludzi, którzy mają bardzo dużo pieniędzy i ludzi, którzy zupełnie nie mają pieniędzy i słycać ludzi, którym się pieniądze kończą.

Powstanie nowego PPS-u i jego fatalny koniec, który będzie zapewne trwać, gdyż końce mają u nas zwykle długi żywot.

Gdy kilka miesięcy temu miało miejsce zmartwychwstanie tej organizacji, byłem sceptyczny. Nie z jednego powodu, chociaż wystarczy już to, że słowo „socjalizm” na tej szerokości geograficznej staje kością w gardle. Musiałem jednak zawiesić swój sceptycyzm, bo PPS rosła w młodzież. Spotkałem się z taką młodzieżową grupką z pewnego miasta. Pełni zapału, dobrych chęci... i tylko trochę narzekali na starych, że za mało radykalni i że podwiązali ich pod Kościół. Na spotkanie przybył nawet działacz PPS-u przedwojennego. Młodzież patrzyła na niego cikliwym okiem, marząc, by się do nich przyłączył, czy raczej, by przyłączyć się do niego. A ten wyjął nagle ustną harmonijkę i zaczął na niej grać góralskie melodie.

Wkrótce po tym koncercie spotkałem P., który pewnie dlatego, że ma specyficzne poczucie humoru, oznajmił, że zakłada SDKPiL, po czym popada w błąd luksemburgizmu, by cały cykl mógł się zacząć od nowa. Ale to nie czyjeś żarty uderzyły w PPS. W ogólnym zarysie sprawa jest już znana, a szczegółów zapewne nie zna nikt, więc nie będę do tego wracał. Pragnę tylko zauważyć, że udowodnić komuś, że jest agentem SB jest niezwykle trudno, a pomylić się w tym względzie — niezwykle łatwo. Dlatego na wszelki wypadek lepiej unikać takich oskarżeń, szczególnie, że z mniejszą szkodą i większym prawdopodobieństwem można mówić o czyjejsz głupocie czy nawet nieuczciwości. Szkoda mi teraz starych, młodych i tego niesmaku, który może zabić w za-

rodka inne inicjatywy społeczne. Czyżby tu już nic, bo jeśli nie milicja, to wtedy my sami...

I znowu te przypadkowe i zewnętrzne notatki ułożyły mi się niemal w księgę Hioba. Jak tu chociaż zakończyć optymistycznie? Miotać się zacząłem w myślach i jedyne, co mi przyszło do głowy, to czyjeś słowa, że „w Polsce pesymista to optymistą, tylko dobrze poinformowany”.

Pomógł mi niespodziewanie bank warszawski, który bynajmniej nie kojarzy się ze Szwajcarią, lecz z kolejką. Stałem więc w niesłychanie długiej kolejce wraz z innymi tubylcami, którzy walczą o status krajowców dewizowych.

Cóż za okrutny wdzięk ma państwo, które każe stać w ognie obywatelom pragnącym temuż państwu pożyczyć swoją twardą walutę. Od biedy rozumiem, że się karze tych, co chcą pieniądze odebrać. Takie głębokie myśli kłębiły mi się pod czołem, które poczęło mnie swędzić od spodu, co jest znakiem, że tracę cierpliwość. By sobie ulżyć, zakląłem z cicha, a wtedy plecy stojące przede mną uczyniły pół obrotu i ujrzałem, że należą one do znanego działacza opozycji, R.

— Okropnie jest — przywitałem się słowami, którymi ostatnio zwykli witać się rodacy. Ale trafiła skarga na kamień.

— Nie mam osobiście czasu, żeby się martwić. Ruszają się studenci, to chyba nawet ty widzisz, i zaczyna coś się dziać w środowisku nauczycieli i lekarzy, społeczeństwo się budzi...

Sypała dalej jak z rękawa tym, co się rusza i gdzie się budzi. R. jest człowiekiem dojrzałym wiekiem, mądrym, trzeźwym, o nieposzlakowanej przeszłości. Czyż trzeba lepszych rekomendacji? Ja od biedy mogę się pochwalić tylko tym ostatnim. Słuchajcie więc lepiej jego.

Dwudziesta rocznica Marca rzygnęła w prasie półprawdami, ćwierćprawdami, ochłapkami prawdy. Cóż za spektakl po dwudziestu latach! Pozwala się zaglądać pod koc, by pokazać tylko stopy. A cóż byśmy zobaczyli przy pełnej odsłonie? Ręce generała Jaruzelskiego, ręce wszystkich członków Biura Politycznego, które zwalniały z łańcucha psy kłamstwa i ksenofobii. Generał stał się wówczas ministrem Obrony Narodowej. I na czyj rozkaz sprawdzano drzewa genealogiczne kadry oficerskiej tak daleko, jak daleko sięgały korzenie w archiwach bezpieki? Ustawy Norymberskie okazały się zbyt skromne dla ambitnych genealogów. Pewien emerytowany dziennikarz wspomina, jak robiono listy proskrypcyjne: „Doszło do tego, że na osobne listy poczęto wciągać działaczy partyjnych, czystych co prawda rasowo, ale którzy mieli żony Żydówki”. I jak tu obnażyć ten Marzec do końca,

skoro wtedy właśnie zaczęły się wszystkie duże i małe kariery, a ówcześni tzw. szturm-docenci są już profesorami, zaś generał pierwszym sekretarzem.

Ostrożnie więc, weseli żurnaliści, z Marcem, ostrożnie, bo — jak powiedział Jerzy Lec — „Nie należy rozśmieszać bezzębnych tyranów”.

„Nieuzasadnione użycie siły” — powtarzają się w prasie te słowa w rocznicę Marca. Dlaczego więc użyto siły w identycznej sytuacji w dwadzieścia lat później? Znowu jakaś frakcja, znowu jakiś błąd... a może po prostu reguła? Ta władza jest nienauczalna i niereformowalna. Stwarza tylko pozory, ale jakże dziurawe. Młodzież w Warszawie i Krakowie chciała złożyć kwiaty — jak wówczas — pod pomnikiem Adama Mickiewicza. A wtedy „synowie” milicjantów z roku 1968 zaczęli pałować „dzieci” studentów z roku 1968. Młodzież krzyczała: „gestapo, gestapo!”. Historia kołem gwiazdowego wozu się toczy, a konie rżą ze śmiechu.

Profesor Bogdan Hillebrandt jest autorem książki pt. „Marzec 1968”. Cenzura puściła to dzieło, nie wiedząc, że starą wersję Marca ma wkrótce zastąpić nowa, zmodyfikowana, posiadająca kształt bardziej aerodynamiczny. W szczupłym acz wielonakładowym dziele nasz znakomity autor podtrzymuje wersję syjonistyczno-trochistowsko-spiskową. Byłem więc szczerze ciekaw spotkania z profesorem w klubie emerytowanego dziennikarza, szczególnie że towarzyszyć mu mieli ludzie z zupełnie innej parafii. Treść książki gwarantowała, że jej autor jest człowiekiem ze wszech miar godnym publicznego oglądania, jako przypadek rzadki, a zgoda na wystąpienie w takim towarzystwie i dla takiej publiczności świadczyła dobitnie, że mamy do czynienia z osobnikiem nietuzinkowym, który potrafi wejść nawet do jaskini lwa. Nagrałem wypowiedzi profesora w całości na taśmę, ale brak miejsca zmusza mnie do pominięcia licznych atrakcji i posłużenia się jedynie skrawkiem materiału. Profesor rozwodził się długo i szeroko a także zawile nad charakterem spisku marcowego oraz innych spisków. Oto zakończenie tego wywodu:

„... ja chcę zaznaczyć, że wielkie zbrodnie polityczne na świecie w historii nie odbywały się przy otwartej kurtynie. Był spiszek przeciwko Cezarowi...?”

Profesor zawiesił głos, a sala zamarła w oczekiwaniu.

— Był — oświadczył profesor z uroczystą powagą — w tym przypadku Marzec to był maleńki spiszek, bo takich spisków wcześniej i później w dziejach Polski Ludowej i w ogóle w dziejach świata...

Teraz wstał Krzysztof Wolicki, otworzył szeroko paszczę i ryknął szeptem, jak tylko on potrafi:

— Spiszek 13 grudnia 1981 roku na przykład...

Profesor, którego oblicze z natury swojej ma kolor czerwony, uzupełnił tę barwę lekką purpurą, pograżył się w namyśle, po czym rzekł niezwykle głośno, jakby chciał zagłuszyć własny niepokój:

— Tak, nie... nie... W tym akurat spisku bym nie widział, oczywiście, są... no więc... są różne stany... 13 grudnia jest to po prostu ta sama... przyjęcie innej metody działania, bo nie był to spisek, no przecież... jeżeli możemy przy pomocy działań, które miały zaskoczyć przeciwnika, w takim przypadku tych spisków będziemy mieli więcej. Bo jeśli chce się coś uzyskać przez zaskoczenie to... nie... nie można tego robić przy otwartej kurtynie...

Ostatnie słowa były już z trudem słyszalne i potykały się o siebie nawzajem, co świadczyło o wzburzeniu uczonego.

Sala wypełniła się po brzegi śmiechem. Ale profesor uniośł głowę i nie utonął. Jak to się stało, że się ocalił, ba, zachował nawet godność i powagę, a jego bladoniebieskie oczy świeciły gorączkowym blaskiem, jak oczy chrześcijan na arenach Rzymu? Ale to nie wszystko, ów partyjny bohater, co sam i bez broni wszedł do twierdzy opanowanej przez Żydów, trockistów i masonów, odnalazł w sobie jeszcze siłę intelektualną, by na koniec rzucić do mikrofonu pochwałę milicyjnych archiwów, w których korzystał, jako jedynie wiarygodnych i zarazem wyrazić swoje zdziwienie, że „tu nie było miło, jak na jednym ze spotkań w MPiK-u”.

Profesor Hillebrandt zademonstrował publicznie, jak głębokimi zasobami intelektualnymi dysponuje partia i jaką niezwykle odporność posiadają jej bojownicy. Profesor dał się publicznie pożreć i nawet tego nie zauważył.

Salonowość naszego życia artystycznego i opozycyjnego. W kawiarniach zbierają się członkowie rozwiązanych związków i nierozwiązanych spraw. Tłoczą się przy tych stolikach jak w ratunkowych szalupach. Wiosną w pocie czoła, niektórzy w przeświadczeniu, że ich łódki ciągną Polskę jak holownik barkę ku lepszym morzom. Ale w rzeczywistości Polska płynie nie wiadomo dokąd i nikt już nią nie steruje. Nie gniewajcie się, przyjaciele od wioseł, ja przecież pracuję razem z wami, chociaż nie zawsze równo i coraz mi ciężiej, bo wiem, że jesteśmy sami, że siebie tylko ciągniemy i swoje swary i kilka mew nad głową, które zamiast oka mają główkę mikrofonu, co rejestruje nasze westchnienia i stękania. I słyhać, jak wiatr nuci: „Miałeś, chamie, złoty róg, ostał ci się ino sznur”.

Nastał czas prokuratorów i sędziów. Młodzi oskarżają starych, prawica lewicę, opozycja radykalna opozycję umiarkowaną... i na odwrót i tak dalej, i tak dalej — nawet sprzedawcy oskarżają klientów, że włożą im do sklepów i zadają głupie pytania.

Wracając do elit — niezwykle modne jest obecnie flekowanie starych pisarzy przez młodych za stalinizm, ci młodzi często kurwią się właśnie teraz. Szukanie w pogardzie dla innych siły dla siebie. Zdarzają się w historii takie czasy i takie wojny, że nie krew się leje, tylko żółć.

Budownicowie Polski Ludowej, nie wszyscy na powązkowskiej alei zasłużonych, nie wszyscy w Alei Róż i Przyjaciół. Wielu wegetuje skromnie w betonowych pustyniach naszych nowych dzielnic. Odwiedzam jednego. Klatka schodowa śmierdzi gotowaną kapustą. Bogactwo zapachowe naszych klatek jest doprawdy imponujące.

Stary komunista, którego odwiedzam, wygląda niewinnie jak niemowlę. Gdy pytam o przeszłość, macha ręką, jakby opędzał się od osy.

— Nie chcę o tym mówić. Czy pan nie pomyślał, że to wszystko złamało mi życie?

Owszem, pomyślałem, ale pomyślałem też o milionach ludzi, którzy byli ofiarami, nie sprawcami, którym złamano życie i nawet pomyślałem o naszych dzieciach, co nie mają tu przyszłości. Stary komunista był jednak zajęty przede wszystkim własnym nieszczęściem. Wskazał na półkę, gdzie stał mały posążek z włócznią.

— Postawiłem tego Don Kichota tutaj, bo to mój symbol, niech patrzy na moje złamane życie.

Próbowałem go nadal przekonać, by jednak opowiedział coś o tamtych czasach „dla historii, dla prawdy i dla własnego sumienia”. Zasłonił się rękami, jakbym chciał mu wykluć oczy.

Znam ten gest aż nazbyt dobrze. To nie tylko niechęć, by wracać do własnej hańby, ale przede wszystkim strach. Starzy komuniści nigdy bowiem do końca nie przestają być komuchami. Gdy pozbędą się wszystkich bagaży, pozostaje im strach. Wielki Strach. Czegóż mogą się bać ludzie tak starzy. Lękają się mafii, w której kiedyś byli, boją się, że utracą mieszkanie, emeryturę, lękają się złych duchów, w które kiedyś uwierzyli.

Chciałem już nawet pożałować starego, gdy nagle coś rzekło we mnie: „nie ma wybaczenia”. Wtedy gdzieś, z głębin mojego wnętrza, ozwał się głos adwokata: „jest wybaczenie”. Aż wreszcie obudził się mój wewnętrzny sędzia: „wszystko jest gównem” — oświadczył okropnie rozgorączony, że się go budzi w nieodpowiednim czasie i zasnął z powrotem.

Gdy opuszczałem to emeryckie mieszkanko, ubogie w metraż i sprzęty, poczułem jak niesmak zlewa się do jednego zbiornika wraz ze współczuciem i gniewem, tworząc jedną kleistą substancję, której na imię — bezradność. I nią to właśnie zawsze porasta przeszłość oraz zielskiem i niczym.

A jednak przeszłość nie chciała mnie opuścić. Idąc nazajutrz Aleją Wyzwolenia (dawna Szucha), ujrzałem starca, który poruszał się z trudem, a złącza płyt chodnikowych z pewnością zdawały mu się rozpadlinami. Sunął, drząc cały i ledwie unosząc stopy. Poznałem go niezawodnie po uszach. Toż to towarzysz Zenon Kliszko, prawa ręka towarzysza Wiesława, słynny norwidolog, wieloletni niszczyciel polskiej kultury. I to jego rozkaz pozwolił strzelać do robotników w roku 1970. Towarzysz Zenon miał co prawda zaprzeczać temu w prywatnych rozmowach, twierdząc, że to nie tylko jego wina. Z pewnością nie tylko. Teraz posuwa się wolno, żółw, którego dopadła jednak strzała sprawiedliwości. Co się zrobiło po latach, co się zrobiło... Niedługo Różański i Berman karmiący łabędzie w Parku Łazienkowskim, poczciwi staruszkowie. Jutro nasi emerytowani generałowie na ławeczce. Młodzi będą ich mijać, jak mija się groby obcych ludzi.

Długie nocne rodaków rozmowy przestają już dotyczyć wolności i ducha, a zaczynają obracać się wokół pieniędzy. Jak zarobić, jak zarobić... Kogóż omija ten problem, nawet ja budzę się w środku nocy i myślę... Myślenie kategorią interesu, a nie sprawy, lub raczej szukanie w sprawie (przy okazji) interesu, stało się powszechne w opozycji. Nic dziwnego, że prawdziwi społecznicy należą do gatunku wymierającego i są równie rzadko widywani na naszym niebie co orły bieliki. Szczególnie wśród młodego narybku opozycyjnego naturalne jest przekonanie, że za działalność społeczną należy się sowite wynagrodzenie. Błąd wydaje się tkwić już w założeniu, gdyż historia uczy, że na próbach poprawienia świata nie robi się interesów. Interesy robią ci, którzy akceptują świat taki, jakim jest, wyciągają z tego wnioski i pieniądze. Być interesownym idealistą... Doprawdy trudne to zadanie, ale kraj paradoksalnie pozwolił sobie na jeszcze jeden. Powstała oto całkiem pokaźna grupa interesownych idealistów. A ty, biedny J., który już chyba jako ostatni w Polsce kolporter bibuły, nie chcesz uparcie brać procentu od sprzedaży książek drugiego obiegu, czemu masz takie opuchnięte powieki i opinię wariata? Nie chroni cię już ani władza, ani opozycja, nie dostaniesz dolarowej nagrody i nie wyjedziesz na stypendium. I każdy może do ciebie strzelać. Daleko więc nie pofruniesz.

Pisałem jakiś czas temu o działaczach opozycji wchodzących w prywatny biznes (słowo biznes powinno być w naszych realiach zastąpione słowem „kombinacja”). Od tego niedawnego czasu zjawisko wyraźnie nabrało dynamiki. Znam takich, co w Gdańsku budują i remontują kominy, znam nawet takich, którzy zaczęli legalnie wydawać pisma i książki. A Zbyszek Bujak otwiera zakład produkujący śrubki. Na podstawie tego faktu ktoś oświadczył, że Bujak będzie drugim Goździkiem.

— Będziesz? — zapytałem przy pierwszym spotkaniu.

Zaczął się śmiać szczerze i głośno. Ten śmiech uspokoił mnie, chociaż w gruncie rzeczy co do Zbyszka nie miałem większych obaw. Ale inni? Co do innych nie mam złudzeń. Trzeba niezwykle dużo siły, wierności i Bóg wie czego jeszcze, by z krainy pieniędzy wracać do siermiężnej niezależnej działalności. Nie wiem, gdzie zajdziecie koledzy, czy zbudujecie sobie domy z basenem, a swoim dzieciom kupować będziecie mleko w Peweksie, nie wiem też, czy będę kiedyś pożyczał od was pieniądze? Ale jednego jestem pewien... z tego miejsca niezwykle rzadko się wraca, jak nie wraca się do kraju z emigracji.

Wiele spotkań, gdzie dyskutuje się zawiłości naszej współczesnej sytuacji. Ilekroć uczestniczę w takich spektaklach, mam poczucie, że znalazłem się wśród kompanii pana Pickwicka, gdzie zawsze znajdzie się pan Tracy Tupman, „wielce zapalny... który z mądrością wieku dojrzałego łączył uniesienie i zapal młodego chłopca”, jest też pan Sondgrass oraz Winkle, typ sportowy, który „z wdziękiem ukazuje nową kurtkę”. Trzeba jednak przyznać, że nasi Pickwickowcy mają szczególnie trudną sytuację na gruncie polskim, gdzie absurd zaszedł dużo dalej niż to się kiedykolwiek zdarzyło w Anglii. I każde zapuszczenie się w rejony przyszłości skazuje mówców na śmieszność, która nie zawsze jest wesoła. Rozważane są namiętnie rozmaite sprawy nie do rozwiązania. Oto na jednym z takich spotkań towarzystwo z marsem na czole głowiło się „czy możliwy jest rynek w socjalizmie?”.

Pytanie zostało w oczywisty sposób źle postawione, gdyż należało zapytać, czy możliwy jest zdrowy rozsądek w socjalizmie. Ja osobiście nie mam wątpliwości, że albo rozsądek zje socjalizm, albo socjalizm rozsądek. Nie widać innego wyjścia. Ja na szczęście miałem do dyspozycji drzwi i szybko z nich skorzystałem.

Poucządzającą rzeczą jest w ciężkich czasach śledzić wędrówkę znaczeniową pewnych lekkich słów. Na przykład, przepraszam za wyrażenie, syf, który jest skróconą wersją syfilisa, a więc pocziwej i już od dawna uleczalnej choroby wenerycznej. Słowo „syf” zrobiło ostatnio zupełnie niezwykłą karierę. Pokolenie lat sześćdziesiątych zaczęło tak nazywać krostki i wypryski wieku niedojrzałego. Syf jednak szybko zszedł z młodzieńczych gąb i rozlał się po całym kraju. Dzisiaj syfem określa się całokształt. Syf to nasze ulice, sklepy, wsie i miasta, obyczaje i przyszłość.

— Zastaniam okna i staram się nie wychodzić na ten syf — zwierza się moja znajoma, kobieta, która nigdy nie używa wulgarnych słów.

Miejsce, gdzie rząd nie jest rządem, sejm sejmem, partia partią, opozycja opozycją, pieniądź pieniądzem, prawo prawem, przedsiębiorstwo przedsiębiorstwem, sklep sklepem, totalitaryzm totalitaryzmem... I Polska w końcu to PRL. Nie ma więc co się dziwić, że i my przestajemy być sobą.

Gdy wracam z Zachodu, zawsze mam dotkliwe uczucie, że odkleiła się rzeczywistość jak wykładzina podłogowa. Muszę się potem zdrowo nachodzić i przytupać, żeby wszystko ułożyło się na swoim miejscu. Teraz z przerażeniem dostrzegam, iż rzeczywistość odkleja się sama z siebie, bez mego wyjazdu i powrotu. A im więcej łązę i przytupuję, tym bardziej się odkleja.

— Zamykam swój kramik z powodu AIDS — oznajmiła znajoma, zajmująca się sztuką, niestara i niebrzydka.

Bez wątpienia tylko tej choroby nam brakowało w Polsce. Tak giną ostatnie przyjemności, które były poza kontrolą partyjną i poza reglamentacją. A przy okazji — łatwo przewidzieć rozmaite niepokoje, szczególnie na prowincji, gdzie będzie się linczować homoseksualistów. Próbkę możliwości, jakie ma w tej dziedzinie nasze społeczeństwo dał Szczecin, gdzie u kilku kolorowych studentów odkryto AIDS. Miasto zatrzęsło się ze strachu i nienawiści.

Niedawno wpadł mi w ręce numer popularnego tygodnika dla pań *Kobieta i Życie*. Opublikowano tam niebacznie list homoseksualisty, który opowiadał o swoich problemach. Redakcja została zalana oburzeniem czytelników, powtarzał się następujący motyw — „trzeba wytepić to robactwo”.

Marzec wznowił dyskusje o antysemityzmie. Jedną z takich publicznych dyskusji podsumował znakomicie dziennikarz znany z niewyparzonej gęby i równie beczelnego pióra. Oświadczył właściwym sobie donośnym głosem, że podróżował niedawno po buszu polskiej prowincji i wszędzie sołtysi i pierwsi sekretarze z małych miasteczek oraz dyrektorzy zakładów pracy szeptali mu na ucho: „Bo to wszystko przez tych Żydów. Bo przecież wiadomo, że ten generał Jaruzelski to Żyd, i ma się rozumieć Olszowski, co zwiął właśnie do swoich, do Ameryki, Rakowski też wiadomo, i były minister Krasieński — to wszystko Żydy. Bo przecież Polacy nie doprowadziliby kraju do takiej ruiny”.

Czym staje się nasze społeczeństwo? „Nasz naród jest jak lawa. Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa. Lecz wewnętrzny ogień sto lat nie wyziębi”. Otóż jest właśnie rok 1988 i ja, osobiście i zupełnie prywatnie, zacząłem mieć co do tego — Panie Adamie — pewne wątpliwości.

Witold CHARŁAMP

Co kwartał 5.000 stron

O PODZIEMNYCH PERIODYKACH

Są wśród nich skromne 20-stronicowe broszurki i 300-stronicowe tomy. Jest ich ponad 50, ile dokładnie — trudno powiedzieć, bo kolportaż często szwankuje, a jeśli umierają, to po cichu, zresztą potrafią wyjść i po dwuletniej przerwie.

O tym, że wrocławski *Konkret* zakończył żywot przed rokiem na piątym numerze, dowiedziałem się przypadkiem. Od dawna nie widziałem pisma plastyków *Szkice*, a periodyku *Polska i Świat* nigdy nie udało mi się dopaść. Czy krakowskie *Bez dekretu* wyda po półtorarocznej przerwie kolejny, 18-ty numer? Podobno w Galicji już jest, ale do warszawskiego kolportażu jeszcze nie trafił. W 1986 i 1987 roku ukazały się dwa kolejne numery *Reportera*: czy miał być rocznikiem i mamy się go lada miesiąc spodziewać? Co się dzieje z *Kartą*, która do 1983 roku wydała cztery — zresztą świetne — numery? Co będzie z *Obozem*, pomyślanym jako kwartalnik — przez 7 lat wyszło tylko 12 numerów, a ostatni zawiera informacje sprzed 2-3 lat? Wiem, że redakcja ma gotowe do druku trzy następne, ale przecież pismo istnieje w kontakcie z odbiorcą, a nie w redakcyjnej tezcze.

Numery się opóźniają, bo ktoś robi doktorat albo jest za granicą, bo brakuje pieniędzy, bo — to najczęstszy powód — są kłopoty z wydawcą. Ale mimo trudności wciąż powstają nowe — w ubiegłym roku aż kilkanaście, w bieżącym już dwa: pierwsze niezależne pismo filozoficzne *Aletheia* oraz WiP-owski *Czas Przyszły*, a zaraz będzie i trzecie: wrocławskie pismo literackie młodych *Kontur*.

Redakcje rzadko mają odwagę pisać pod winiętką: miesięcznik, dwumiesięcznik, kwartalnik, a jeszcze rzadziej udaje im się utrzymać jakąś regularność. Niektóre po heroicznej walce zaprzestają datowania numerów, inne godzą się z faktem, że miesięcznik staje się dwumiesięcznikiem (np. *Miesięcznik Małopolski* nigdy nie wydał więcej niż 5 numerów w roku), a kwartalnik półrocznikiem. Niedoścignym wzorem pozostaje *Kultura Niezależna*, ukazująca się miesiąc w miesiąc — ostatni nr 38 z datą luty 1988 (!) — co jest zapewne zasługą wydawnictwa „Most”. Również wrocławska *Obecność*, krakowska *Arka* i warszawskie *21* trzymają się terminów, tyle że jako kwartalnikom jest im oczywiście łatwiej.

Ostatnie numery większości czasopism zamknięto w najlepszym razie w połowie ub. roku — referendum i Nobel dla Brodskiego to szczyty aktualności. Przeważnie jest gorzej. Ostatnia *Polityka Polska* (nr 9) analizuje sytuację po amnestii z 1986 roku

i zajmuje się krytyką TKK; *Vacat* (nr 45) publikuje „Rozmowy o Solidarności wczesną wiosną 1987”, *Most* (nr 14/15) — refleksje po pielgrzymce papieskiej. Zresztą redakcje — zwrócone często ku sprawom ponadczasowym (dyskusja o lewicy i prawicy oraz roli inteligencji wiecznie żywa) oraz historii — nie specjalnie ambicjonują się na aktualność.

Kolportaż większości periodyków nie wykracza poza miasto czy środowisko ich urodzenia. Tak jest z wrocławskim *Ogniwem* i *Walką*, śląskim *Jesteśmy* czy *Zeszytami Niezależnej Myśli Lekarskiej*. Tu chciałbym mówić o tych, które — niezależnie od miejsca wydania czy profilu — zdobyły sobie jeśli nie krajowy rynek, to przynajmniej rozgłos.

Jak się sprzedają?

Po rozmowach z kolporterami trudno się zorientować w rzeczywistym popycie. Jedna skrzynka bierze po kilkanaście egzemplarzy wyłącznie dla archiwów, bibliotek środowiskowych i zakładowych oraz abonentów. W innej mówią mi np., że świetnie idzie *Obecność* (kolportują 30 egzemplarzy), zaś *Kultura Niezależna* (kolportują 50 egz.) jednak gorzej. Kiedy się dziwię — przecież sprzedają jej więcej — słyszę, że to nie zależy wcale od chłonności rynku, ale od starań kolportera: „Na *Kulturze Niezależnej* mam 15% prowizji, *Nową Koalicję* drukuje zaprzyjaźnione wydawnictwo — więc nie będą u mnie leżeć, choćbym miał jechać na drugi koniec Polski”. „Czy na pismo jest zbyt — mówią gdzie indziej — można się zorientować po minach odbiorców, po tym, jak często pytają o nowy numer; potrafią się obrazić, kiedy im się nie zostawi, nawet zagrozić, że nie będą brali czego innego”.

Rozchodzenie się pisma zależy też od środowiska, w jakim jest kolportowane. Renomowana i poszukiwana *Krytyka* idzie świetnie, z tym że jej odbiorcy to głównie inteligenci i uniwersytety. *Most* natomiast, choć ani mu się z nią równać, ma bardziej egalitarną klientelę, trafia też do środowisk robotniczych. Lubelskie niezależne pismo katolików *Spotkania*, wychodzące jeszcze przed Sierpniem (ostatnio ukazał się nr 34/35, cały o tematyce ukraińskiej) ma w Warszawie swoich gorących entuzjastów, choć nie wszędzie dociera. Zdecydowanie źle, według moich rozmówców, sprzedają się *Poglądy* i *Myśl Niezależna*. Nic dziwnego, po lekturze odniosłem wrażenie, że składają się z przypadkowo zebranych materiałów na przypadkowe tematy. Jak mi powiedział jeden z kolporterów: „Dwa, trzy świetne teksty w numerze i klient się nie oprze”. Ale tego właśnie im brakuje.

Poza stałymi odbiorcami określonych tytułów większość nabywców starannie przegląda każdy numer przed kupieniem. Na co lecą? Na materiały historyczne i dokumenty, na określoną problematykę i dopiero w trzeciej kolejności na nazwiska publicystów. Na przykład ostatnie *Wezwanie* (nr 13) rozchodziło się

niezłe z powodu stenogramu z posiedzenia ZLP w sprawie „Dziadów”.

Orientacje ideowe

Skrzynki lekceważą sobie podziały na lewicę i prawicę — wezmą wszystko, byle się dobrze sprzedawało. Dwukrotnie jednak usłyszałem, że ktoś nie bierze periodyków o prawicowej proweniencji (raz z uzasadnieniem: „Endeckie bojówki pobiły mego ojca, nikt nie może wymagać, bym rozpowszechniał ich ideologię”). I dotyczyło to nie tylko ONR-owsko-faszystowskiej *Unii Nowoczesnego Humanizmu* czy ostro endeckiej *Myśli Państwowej*, ale również pism gdańskich *Przeglądu Politycznego* („nie zakładaliśmy, że ma to być pismo prawicowe, chyba że chcielibyśmy podkreślić naszą opozycję w stosunku do lewicy”) czy wywodzącej się z Ruchu Młodej Polski *Polityki Polskiej*. Ta ostatnia wydała mi się z lekka zniechęcająca i to nie tylko dlatego, że „nie starałem się nigdy określać jako lewica, chyba że chciałbym podkreślić swoją opozycję do prawicy”. Raziło mnie uporczywe obracanie się wokół idei „roztropnego” realizmu politycznego, odpowiedzialności za losy narodu, wyższości własnej optyki nad resztą opozycji. No, ale tak już jest, że niewolnicy jednej doktryny szybko popadają po prostu w nudę. Wiedzą o tym redaktorzy *Przeglądu Politycznego* oraz *Antyku*, gdzie poza ideologią można jednak znaleźć coś do czytania.

Na marginesie lektur gdańskich chciałbym wyrazić żal, że po dwóch numerach podobno nie wyjdzie już więcej *Przekaz*. A było to bodaj jedyne pismo naprawdę regionalne: gdy pisało o wizerunku Papieża — to w Gdańsku, jeśli o gospodarce — to głównie na Pomorzu, jak o młodzieży — to o RSA. Tematyki lokalnej jest zazwyczaj niewiele: *Metrum* np. załatwia ją... kroniką siedleckiej „Solidarności”.

Także konserwatywne i liberalne pisma — *Stańczyk*, *Kurs*, *Zeszyty Liberatów*, *Niepodległość* — składają ideowe deklaracje. Większość natomiast wręcz zastrzega, żeby ich nie łączyć z żadnymi ugrupowaniami i zapewnia, że oddaje swoje łamy swobodnej wymianie myśli i poglądów.

Uderzyło mnie, że dwa zaledwie tytuły — *Bez Dekretu* i szczyński *Obraz* — określają się jako „pismo członków i sympatyków 'Solidarności'” oraz „zespół solidarnościowy”. Słowo „Solidarność” nie pada nawet na karcie tytułowej kwartalnika 21. Odwołanie się do postulatów gdańskiego strajku, otwarcie pierwszego numeru wywiadem z Wałęsą, wreszcie pojawiające się tam nazwiska (B. Geremek, T. Mazowiecki, A. Wielowieyski, A. Celiński) wskazują, że pismo reprezentuje ten nurt w związku, który skupia się wokół przewodniczącego. Sam pomysł wziął się zresztą stąd, że z pracy ekspertów nad raportem „Pięć lat po Sierpniu” zostały materiały warte publikacji.

Podobnie jak większość periodyków, 21 ma dwutysięczny nakład. Wydawca skarży się, że ma kłopoty z ostatnią pięćsetką.

Przy okazji wyraża żal do redakcji: „Pracują tam i publikują ludzie z nazwiskami, często udzielający wywiadów, a nigdy żaden nie zająknął się w sprawie 21. Tymczasem odrobina reklamy zdynamizowałaby kolportaż”.

Z emigracji

Reklamy nie potrzebuje natomiast... paryska *Kultura*. Jej krajowa edycja* liczy już kilka numerów i we wszystkich skrzynkach sprzedaje się lepiej niż cokolwiek innego. „Na jej popularność — słyszę — pracowały całe lata PRLowskiej propagandy. Jeśli przeciętnego periodyku sprzedają 50 sztuk, to *Kultury* — 150. Dzięki niej mogę obserwować coś, co wydawało mi się odeszło bezpowrotnie po dwu pierwszych latach stanu wojennego: klienci moich klientów biorą nie tylko dla siebie, uruchamiają się kolejne łańcuszki. Wiem, że reflektują na nią również robotnicy. Bo to pismo jest dla wszystkich”.

Pierwszym i przez długi czas jedynym pismem emigracyjnym, które miało krajowe wydanie, były *Zeszyty Literackie*. Choć zdecydowanie elitarne, mają swoją wierną klientelę i kiedy na jakiś czas zawieszono reedycję — podniosły się głosy protestu. Czytając niemal wszystkie aktualne pisma, musiałem zauważyć, jak wiele tekstów i idei *Zeszytów Literackich* krąży w krajowym obiegu. Kanon tłumaczeń Brodzkiego, Venclovy, Kundery, twórczość Zagajewskiego miały swoją polską premierę właśnie tam. I więcej: idea Europy Środka z eleganckich kart *Zeszytów* przeszła na powielaczowe, nie zawsze czytelne strony. Znalazła tu zarówno wielbicieli (słynny artykuł Gartona Asha „Czy istnieje Europa Środka” miał kilka przedruków, a ostatni, drugi numer *Europy* w całości poświęcony jest tej problematyce), jak i inteligentnych polemistów, choćby Rafała Grupińskiego w poznańskim *Czasie Kultury* (nr 4/5).

Na krajowym rynku od niedawna jest również *Aneks*. Na decyzji zapoczątkowania przedruków zaważył chyba niestety sukces numeru żydowskiego, który doczekał się kilku wydań. Trudny w odbiorze i nie dla masowego czytelnika, zyskuje sobie publiczność w tych samych kręgach co *Krytyka*.

Znaczącą część wielu periodyków wypełniają przedruki pojedynczych artykułów. Tu plejada świetnych nazwisk: Raymond Aron, Hannah Arendt, Alain Besançon, Karl Popper, George Orwell, Zbigniew Brzeziński, Leszek Kołakowski, Czesław Miłosz, Leopold Tyrmand, Guy Sorman, Alexis Tocqueville (ostatnia trójka głównie w pismach liberałów i konserwatystów). Naliczy-

* Od lipca ub. roku Oficyna Niezależna „Mysł” wydaje regularnie wydanie krajowe *Kultury*. Jest to dokładny przedruk, bez żadnych opuszczeń, w formacie oryginalnego wydania. Nakład wynosi 2.500 egzemplarzy. Wydanie krajowe ukazuje się mniej więcej z miesięcznym opóźnieniem w stosunku do wydania paryskiego. *Redakcja*.

łem kilkadziesiąt pism, które służą jako źródła, od gazet codziennych (*New York Times*, *Die Welt*, *Figaro*) poprzez tygodniki (*Newsweek*, *Time*) po poważne miesięczniki i kwartalniki (*New Yorker*, *New York Review of Books*, *Encounter*, *Commentary*), również prasa emigracyjna, i to nie tylko polska (*Kontinent*, *Russkaja Mysl*, *Suczastnist'*). Niestety, redakcje nie zawsze podają źródło pierwodruku, stąd może powstać mylne wrażenie, że były prezydent USA Nixon załapał się na publicystę *Kursu*.

Moi faworyci

Nie będę mnożył pochwał pod adresem najpoczytniejszych periodyków i przedstawię moich faworytów z drugiej ligi. Krakowski *Brulion* wychodzi zaledwie od roku, właśnie pojawił się nr 4 (zima 1987-1988). Mini-wywiady o problemach podziemnych pism literackich, krytyczny rejestr czasopiśmiennictwa emigracyjnego, recenzje zagranicznych rozgłośni, ankieta „Czy czuje się Pan obywatelem PRL?”, pierwszy chyba systematyczny przegląd fonowości, nieustający konkurs na napis na murze (zwyciężył węgiel z ul. Poselskiej „Strzelaj albo emigruj”) — z pomysłem i ciekawie redagowany, próbuje *Brulion* zerwać z tak charakterystyczną w podziemiu formułą antologii.

Proza reprezentowana jest tu przez wielkie nazwiska: Nadieżda Mandelsztam, Sołżenicyn, Nabokov, Skvorecky, Ionesco. Jednocześnie *Brulion* nie unika debiutów poetyckich, tego postrachu pism literackich, dając przy tym ich krótkie analizy i eseiki o twórczości młodych poetów. Zjadliwe recenzje nie oszczędzają ani pierwszego, ani drugiego obiegu. W tekstach Jerzego Pilcha „Książki najgorsze” Barańczaka znalazły godnego kontynuatora. Z rzeczy, których nie znajdzie się gdzie indziej: kawałki kabaretowe i satyryczne, współczesne i sprzed lat, do tego przypomnienie fenomenu „Salonu Niezależnych” i „Bim-Bomu”.

Na łamach *Brulionu* redaktor konkurencyjnej *Arki* przyznaje, że robią ją „wściekli starcy”, zaś po *Brulionie* widać, że to pismo młodych. Jednak po przeczytaniu trzeciego z rzędu felietonu z wybrzydzeniem na „salon”, uznałem, że moi ulubieńcy przesadzają: po pierwsze salonu już nie ma, a po drugie — z czasem i tak się tam znajdą, redaktorzy dobrych pism zawsze mieli na salonach wzięcie.

I drugi faworyt — *Almanach Humanistyczny*, jedyny bodaj w niezależnym obiegu periodyk krytyczno-literacki. Obok cennego działu „Archiwum” i poważnych naukowych „Szkieł” co najmniej połowę każdego numeru wypełniają świetne recenzje. Po lekturze siedmiu opublikowanych numerów mam wrażenie, że nie pominięto żadnej godnej uwagi bezdebitowej książki. Podobno bibliografowie robią ich skrupulatny spis dla potomności, wrywkowo odnotowują je w „Książkach nadesłanych” niektóre podziemne pisma, dział recenzji ma *Krytyka*, *Arka*, *Obecność*, *Kultura Niezależna* — ale wszystko to nie daje obrazu całości. Liczą się tylko *bestseller'y*, inne publikacje istnieją gdzieś między

półkami kolekcjonerów a policyjnymi archiwami. *Almanach Humanistyczny* i kilkadziesiąt recenzowanych w nim pozycji wypełnia dotkliwą lukę w naszym okaleczonym, pozbawionym polemik życia literackim.

Wrażenia z lektury

Nie ma bodaj takiego tematu, po jaki nie sięgnęliby niezależni publicyści. Reportaż z małego miasteczka i meandry światowej polityki, stan zabytków i stan świadomości, „polski” sezon teatralny w Nowym Jorku i problemy ekologii ujęte niebanalnie (wspaniałe przemówienie wodza Indian z plemienia Duwamishów przed czternastym prezydentem USA), historia utraty niepodległości przez Tybet i wywiady z emigrantami wszystkich pokoleń oraz orientacji politycznych.

Wielkim tematem i zarazem wielkim sukcesem niezależnej publicystyki jest historia: rzetelne analizy, a obok tego ogłaszanie nieujawnionych dotychczas dokumentów, utopionych w archiwach nagrań i stenogramów, relacje naocznych świadków (arcyciekawy opis wydarzeń 3 maja 1946 w Krakowie z *Krytyki* nr 26); sięganie w odległą przeszłość (odkopywanie rozmowa imperatora Pawła I z Kościuszką w twierdzy w Petersburgu) i próby spojrzenia obiektywnym okiem historyka na wydarzenia sprzed paru lat.

Oczywiście, główny zrąb tematyczny to wciąż na nowo przetwarzane analizy bieżącej sytuacji i miejsce „Solidarności” na mapie politycznej Polski. Ale podziemne periodyki nie są bynajmniej, co stwierdzam z satysfakcją, zaściankowe. Interesuje je świat, i ten za miedzą, i ten na antypodach. Króluje temat „Gorbaczow i pieriestrojka” — podejmują go wszyscy, jeśli nie piórami własnych autorów, to poprzez przedruki. O drugim supermocarstwie pisze się nie tylko w aspekcie jego stosunków z ZSSR i Polska, ale też polityki wewnętrznej (zbliżające się wybory prezydenckie, afera Iran - kontras czy sprawa nominacji na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego). Zaraz potem punkty zapalne: Afganistan (świetny artykuł W. Gieżyńskiego w ostatniej *Krytyce*), Nikaragua, Bliski Wschód. Spokojna Europa Zachodnia ma zdecydowanie mniejsze wzięcie. Jedynie bońska *Ostpolitik* i kłopoty Austriaków z Waldheimem przebiły się ostatnio na niezależne łamy. Podejmując tematykę zagraniczną redaktorzy często sięgają po przedruki z serii „Konfrontacje”, wydawanej pod redakcją Ireny Lasoty przez Komitet Poparcia „Solidarności” w Nowym Jorku.

Szczególnym zainteresowaniem cieszą się sprawy bloku: historia i współczesność, wzajemne stosunki i resentymenty, łącznie ze sprawą granic, ale również próba spojrzenia w przyszłość (renesans idei Międzymorza i federacyjnych planów marszałka Piłsudskiego). Polscy publicyści, ale też Czesi, Węgrzy, Litwini, Ukraińcy przypominają o wspólnocie losów pod rządami Kremła, o konieczności połączenia wysiłków, marzeniach małych narodów

o niepodległości. Przepływ idei oraz wprowadzanie w niezależny obieg literatury i kultury Europy Środkowo-Wschodniej uważam za kolejny sukces niezależnej myśli politycznej. Tu trzeba wspomnieć o pismach nastawionych wyłącznie na sprawy bloku: *Obóz*, *Nowa Koalicja*, *ABC* (Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne), *Dialogi Polsko-Ukraińskie*. Ich lektura napawa optymizmem i nadzieją — polska ksenofobia i nacjonalizm zdają się być upiorami przeszłości.

Żeby jednak nie popaść w samozadowolenie, wystarczy lektura *Przeglądu Wiadomości Politycznych* (nr 15), gdzie „prawdziwi Polacy” wyjaśniają: „Przez Zachód rozumiemy Amerykę z jej CIA i uzależnieniem od Żydów, masonerii, trockistów, Izraela, Niemców...”. Zabrakło tylko cyklistów. A swoją drogą szkoda redaktorów, że swe cenne myśli publikują w tak niewielkim nakładzie. Przecież zdanie „ci, którzy zlekceważyli referendum, zapewne nie zdawali sobie sprawy, że to woda na młyn Bujaków, Wałęsów, Michników, Geremków, Lipskich” spokojnie można by przeczytać w *Rzeczywistości*.

Tropieniem żydo-masońskiego spisku zajmuje się też *Nurt*, podający się za ogólnopolskie pismo NZS, który informuje, że „narod wybrany ma nadzwyczaj sprawne lobby w USA” (nr 6) oraz pismo *Myśl*, gdzie możemy wyczytać, jak to mec. S. Kaczorowski zdemaskował Komisję Episkopatu d/s Dialogu z Judaizmem, która — miast spotykać się z prawowiernymi Żydami — zadała się z masonami i syjonistami.

W wątku curiosów jeszcze *Droga* nr 25, która składa się z następujących wiadomości: że Moczulski był w USA, napisał list do Reagana, opublikował tekst w *Washington Post*, spotkał się z Bushem. Zawsze coś.

A co utkwilo mi w pamięci? Świetny esej Anny Bojarskiej o Niewiadomskim (*Krytyka* nr 25), błyskotliwy, acz demagogiczny atak Janusza Korwina-Mikke na lewicę (*Stańczyk* nr 7), interesujące wspomnienie A. Panufnika (*Antyk* nr 3-4), dział „Warto tłumaczyć” w *Arce*, gwałtowny spór o spuściznę literacką i biografie Józefa Mackiewicza. Z zażenowaniem natomiast przeczytałem w *Krytyce* i *Kulturze Niezależnej* skandalizujące artykuły Jana Walca o Gałczyńskim i Borowskim.

Na co ostrzeżenie apetyt? Na świetną (sądząc po opublikowanych w *Wezwaniu*, *Brulionie*, *Europie* i *Kulturze Niezależnej* fragmentach) książkę „Banici” — rozmowy z czeskimi emigracyjnymi pisarzami; na nową powieść Jarosława Marka Rymkiewicza „Umschlagplatz” oraz drugi tom wspomnień Jana Nowaka „Wojna w eterze” (rozdziały drukuje *Arka*); wreszcie — na autobiografię Wałęsy, której kawałki znalazłem w *Przekładzie*, *Obrazie* i 21.

W odróżnieniu od podziemnych gazetek większość tekstów w periodykach sygnowana jest nazwiskami autorów, bywa, że nawet debiutanci nie kryją się za pseudonimami. Pisarze, historycy, ekonomiści, krytycy literaccy, dziennikarze — czołówka intelektualna kraju — publikuje dziś w drugim obiegu.

Jan KLINCZ

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 436 — JANUSZ ANDERMAN

KRAJ ŚWIATA

Opowiadania: Jakos' pusto. — Płonie teatr narodowy. — Jeszcze Polska? — Zwycięs... — Trzej królowie. — Łańcuch czystych serc. — Poczucie. — Świat światów.

Str. 80.

Cena F. 50,00.

TOM 438 — MICHAŁ HELLER

MASZYNA I ŚRUBKI

Michał Heller, dobrze znany czytelnikom z artykułów i przeglądów prasy sowieckiej w *Kulturze*, współautor (z Aleksandrem Niekriczem) historii ZSSR *Utopia u władzy*, jednej z najpoczytniejszych książek w drugim obiegu wydawniczym w Kraju, przeprowadził w swojej nowej książce drobiazgową i bogato udokumentowaną analizę systemu sowieckiego. W siedemdziesiąt rocznicę Rewolucji Październikowej, u progu „nowej ery” Gorbaczowa, czytelnik znajdzie w *Maszynie i śrubkach* odpowiedź na wiele nurtujących go pytań. Czy istnieje szansa „przebudowy” systemu sowieckiego? Czy wolno mówić o definitywnym ukształtowaniu „człowieka sowieckiego”? Lektura nieodzowna dla lepszego poznania naszego wschodniego sąsiada.

Str. 288.

Cena F. 120,00.

TOM 439 — JERZY KRZYŻANOWSKI

BANFF

Polak zamieszkały po wojnie w Kanadzie, dziennikarz sportowy telewizji kanadyjskiej, niegdyś żołnierz AK. Bohater powieści Krzyżanowskiego odcina się całkowicie od Polski rządzonej przez komunistów, z Krajem łączy go jedynie wspomnienia wojenne. Gwałtowny romans z młodą Polką z Warszawy staje się na krótko mostem przerzuconym między biografią emigranta i jego doświadczeniami z lat młodości. Temat nietknięty prawie w prozie polskiej, Krzyżanowski podejmuje go z sugestyjną brawurą narracyjną.

Str. 160.

Cena F. 75,00.

Sprawy i troski

Dwa listy z Iraku

Na wystawie polskiego malarstwa w bagdadzkim Centrum Sztuki mówiliśmy z panem Nuri al-Rawi o obrazach i o sztuce w Iraku. Mój rozmówca poruszał się w tym sprawnie, sam jest malarzem, fascynuje go ciągle ten sam bajkowo-senny pejzaż rodzinnej wioski: kopulaste, lepione z gliny domy na górskim zboczku. — Czasy tureckie to wegetacja, marazm. Dopiero w latach dwudziestych, trzydziestych coś zaczęło się zmieniać. A z prawdziwą sztuką zetknęliśmy się podczas wojny, gdy do Iraku przybyło wojsko. Polacy. Młodzi ludzie interesujący się malowaniem przyglądali się pracom malarzy-żołnierzy, podglądali techniki, próbowali własnych sił, słuchali ocen. W kręgach przyjaźni dyskutowano i oglądano obrazy. Nuri był kilkunastoletnim chłopakiem, był siłą rzeczy z daleka, lecz fascynował go kontakt ze sztuką, z malarzami, zaczynał właśnie rysować. Wymienił nazwiska: — Matuszczak, Jarema, Czapski — w tej kolejności. Podobno obraz Matuszczaka ma w swoich zbiorach profesor Faik z tutejszej Akademii Sztuk Pięknych. Pan Czapski maluje i pisze, jest w Paryżu, wielki malarz, wiadomo. Podtrzymywany jest związek z polską sztuką, przykładem jest wystawa. Tutejsi artyści przedstawiani są w Polsce. W Warszawie kształci się stypendystów, polscy profesorowie pracowali w Bagdadzie, mamy tu stale około 500 studentów. To bardzo dużo, a czy to ma wpływ na kulturę plastyczną w kraju? — Ocena jest sceptyczna. To proces długotrwały, na razie nie widać rezultatów, wszystko jest jeszcze zbyt świeże. Tutaj sztuka jest zaangażowana, służy jako ważne narzędzie propagandy. Działalność kulturalna ma poparcie oficjalne, co jednak bywa przyczyną dewiacji — ale tego Nuri już nie mówi.

Szczytowym objawem są spotykane na każdym kroku, na ulicy, w urzędach, w mieszkaniach afiszowo-jarmarczne portrety Wodza, był nawet taki konkurs, brali w nim udział poważni ludzie. W tym co jest godne uwagi mało widzę zabawy, swobody, spontanicznej oryginalności. W tym kręgu cywilizacyjnym — a

obserwuję to nie tylko w sztuce — ważnym czynnikiem jest potrzeba podporządkowania, naśladownictwa, poddania rygorom, autorytetu.

Tyle o polskiej tradycji artystycznej w Iraku. Materialnie prezentuje ją brązowa plakietka upamiętniająca pobyt Polskiej Armii na Wschodzie, u wejścia do ówczesnej katedry bagdadzkiej, dzieło rzeźbiarza Jerzego Młodnickiego: Matka Boska z Dzieciątkiem osłania polskiego żołnierza w angielskim hełmie. U góry lata przebywania Armii w Iraku: 1942-1943. Poniżej napis: MEMORIA MILITUM POLONORUM IN HAC ECCLESIA CUM EPISCOPO SUO IOSEPHO DEVOTIONES PERAGENTUM. Plakietka została odsłonięta i poświęcona przez biskupa polowego Armii, Józefa Gawlinę, w Pierwszy Dzień Zielonych Świątek, 13 czerwca 1943 — w kościelnej gablocie jest zdjęcie z tej uroczystości wraz z objaśnieniem po arabsku, polsku i angielsku — a w Wielki Czwartek 31 marca 1988, a więc prawie po 45-ciu latach, mszę św. odprawił w tym samym kościele drugi polski biskup, nowomianowany nuncjusz abp Marian Orłowski i w bardzo pięknym kazaniu przypomniał o tym zgromadzonym.

Z poruszeniem serca pochylamy się nad wojennymi śladami Polaków. Spotykamy je czasem w nieoczekiwanych miejscach. Daleko na południu, za Nassiriją, nasi budujący autostradę natrafili na polską mogiłę w pobliżu kamieniołomu Abu Ghar i dla wiecznej pamięci ufundowali tablicę:

1942 — 1945
WOJSKO POLSKIE
ODDALI POLSCE WSZYSTKO
CO MIELI

Ilu ich leży, skąd się wzięli, nie wiemy. Grób i tablicę poświęcił 10 czerwca 1985 ks. Stanisław Ułaszkiwicz, duszpasterz Polaków w Iraku.

Polskich moglił jest więcej. Utało się, że we Wszystkich Świętych Polacy przychodzą na brytyjski cmentarz wojskowy, który pochodzi jeszcze z pierwszej wojny, ale spoczywają na nim żołnierze zmarli podczas drugiej, wśród nich 23 naszych. Na centralnym miejscu stoi tablica przypominająca 438 Polaków pochowanych w niedostępnym dziś, przyfrontowym Kanakinie, gdzie podczas wojny stał przeniesiony z Aleksandrii polski szpital wojenny nr 1. Strasznie mało się o tym wie. W Iraku przebywała armia generała Andersa po wyjściu z Sowietów, to wiadomo, ale ileż razy jeździmy przez Bakubę do Sulejmaniji i mijamy po drodze Qizil Ribat i Dżalaulę i kto słyszał o tym, że tu właśnie stacjonował 12-ty Pułk Ułanów Podolskich odtworzony na obczyźnie, że tu nasi cierpieli spiekotę, chorowali na malarię, zostali nowoczesnie uzbrojeni. Oficjalna krajowa historiografia milczy lub podsuwa fałszerstwa, krążący po Bagdadzie film Poręby „Katastrofa w Gibraltarze” pozuje na dokument przez użycie sekwencji ze starych kronik, a jednocześnie — perfidnie manipulu-

jąc montażem — wskazuje Andersa jako winnego śmierci Sikorskiego.

W Czamczamal koło Kirkuku do polskiego samochodu podchodzi wielkie chłopisko w obwisłych szarawarach, automat na piersi, kindżał za pasem, jak to Kurdowie, i z błyszczącymi oczami pyta o polską panią kapitan, która opiekowała się małym wtedy chłopcem. Była z Poznania. Nazwiska nie zna. — Mówiłem na nią mama-Jeanne, mama-Jeanne — powtarza z nadzieją, a ja wyobrażam sobie jak ci Kurdowie po swojemu liczyli: — pięć-sześć, papiros, a ułani dziwili się, że tak daleko od Polski a słowa nasze, i Warka tu jest, i Rawa, i Jaremzcze. Bo nas to do tej pory ciągle jeszcze zdumiewa.

W 1942 roku Niemcy byli na Kaukazie. Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich osłaniała północ Iraku od Zacho do Rawanduz. W Mosulu było dowództwo, które po gen. Kopańskim przejął gen. Duch. Tamtejszy kościół dominikanów pod wezwaniem polskiego świętego Jacka Odrowąża był kościołem garnizonowym, a przeor, Francuz, nosił zakonne imię Czesław. I z tych czasów pochodzi kapliczka Matki Boskiej w Gajarze wyremontowana przez Polaków na początku lat siedemdziesiątych.

Mało tych pamiątek. W latach czterdziestych wychodziły tu polskie gazety: *Orzeł Biały*, *Kurier Polski w Bagdadzie*, inne. Mogłyby być źródłem wiadomości o życiu w tym kraju Polaków przed nami, ale w miejscowych bibliotekach są nieosiągalne. Nie ma w ogóle żadnych czasopism z czasów przed rewolucją. Takich czasów nikt nie pamięta, może ich w ogóle nie było, nie próbuj ich odtworzyć, to podejrzane. Czy władza jest w stanie ze świadomości społecznej usunąć historyczny czas? — Może zarządzić wiele, prawie wszystko, więc testuje czy ma do czynienia z nieokreśloną zbiorowością czy z narodem.

Oto podobieństwo sytuacji między tym krajem a Polską.

Ostatnio mamy w Bagdadzie do trzech rakiet dziennie. To nowość, do niedawna były to pojedyncze pociski co parę dni w seriach przedzielonych kilkumiesięcznymi okresami spokoju: interweniował ONZ, kraje Zatoki, któreś z państw niezaangażowanych czy jeszcze ktoś inny. Wygląda, że walą w tutejszą wielką rafinerię na Dorze, chociaż zdarza się, że trafiają w środek miasta albo poza jego obrębem. Miejsce wybuchu natychmiast szczelnym kordonem otacza policja, po czym ślady zostają wyrównane buldożerami tak szybko, że nawet nie przeszukuje się ruin. Nikt nie chce o tym mówić, nie jest to dobrze widziane, łatwo być posądzonym o defetyzm. Panuje atmosfera zrezygnowanej obojętności: — Nic nie poradzimy. Ludzie giną, tak, ale my jeszcze żyjemy, a jutro będzie jak Bóg da. Inszallah. Tymczasem rakiety padają też na Mosul i Kirkuk, a przyfrontowe miasta Qurne, Basrę, Mandali bombarduje artyleria.

Nie jest to akcja jednostronna. Komunikaty wojskowe w Bagdadzie podają, że na Teheran wysłała się do 9 pocisków dziennie w tym raketowym ping-pongu. Pociski nazywają się na cześć wodza „Hussein” i są jakoby miejscowej produkcji, ale w Teheranie sowieckiemu ambasadorowi pokazywano niewypały z jego kraju. Lotnictwo irackie wykonuje do 300 lotów bojowych dziennie, przy czym z naciskiem podkreśla się, że cele są wojskowe. Iran wszakże oskarża irackie lotnictwo o użycie bomb gazowych pod koniec marca w kurdyjskim mieście Marivan. Dziennikarze nazwali to wojną miast. Uderzenie — odwet — kolejny cios, aż nie wkroczy rozjemca, jak ostatnio turecki premier Ozal. Ataki irackie należy uważać za rozpaczliwe próby przełamania wojennej stagnacji. O powodzeniu na froncie trudno nawet marzyć. Armia ma już dosyć. Wojsko nie chce się bić. Bez walki padł przyczółek i port Fao u wejścia do Szatt-el-Arab dwa lata temu. Teraz znowu poddał się siedmiotysięczny garnizon w Halabce w pobliżu zalewu na rzece Dijali. Iran nie dysponuje dostateczną siłą, by rozprawić się z przeciwnikiem, którego osłaniają góry, bagna i Rzeka. Nie dysponuje dziś, ale jutro może być inaczej: ten żołnierz broni swego kraju, niesie płomień islamskiej rewolucji. W tym punkcie z reżimem zgadza się nawet opozycja: — Irakowi trzeba dać nauczkę.

Wojna trwa. Dwie armie stoją naprzeciw siebie. Jest im potrzebny sprzęt wojenny, amunicja, żywność, środki medyczne. Wojenna gospodarka stawia walczące strony w trudnej sytuacji. Obie nie są samowystarczalne pod względem produkcji żywności. Dla obu głównym źródłem dochodu jest ropa naftowa, w której eksporcie przeszkadzają sobie wzajemnie, jak tylko mogą. Trzeba liczyć, żeby nie być gołostównym:

	Irak	Iran
ludność — r. 1986	16,1 milionów	49,7 milionów
przyrost naturalny	3,4 %	3 %
zadłużenie — r. 1985	38.000 mln \$	38.000 mln \$
import żywności — r. 1984 ..	3.100 mln \$	3.670 mln \$
eksport ropy — szac. r. 1987	10.500 mln \$	11.740 mln \$
lotnictwo — r. 1985: samoloty	580	ok. 50
helikoptery uzbr.	130	—
armia — bez org. paramil. ...	845 tys.	705 tys.

(Źródło: *Middle East and North Africa 1988*, Europe Publications Ltd., London 1987).

Widać z tego porównania wyraźnie przewagę militarną Iraku, ale widać też, ile taki wysiłek musi go kosztować. Oblicza się, że około miliarda dolarów miesięcznie. Jaki kraj to wytrzyma?

To jest wojna na wyniszczenie i w tej wojnie Irak ma coraz mniej czasu. Atakuje terminale naftowe i tankowce płynące ku brzegom irańskim. Przeciwnik odpowiada minami morskimi i

nagłymi atakami szybkich łodzi bojowych. Prezydent Saddam Hussein ponawia swoje propozycje pokojowe: przerwanie ognia i wycofanie wojsk „na międzynarodowo uznane granice”, co oczywiście nic nie znaczy, gdyż wojna rozpoczęła się od zakwestionowania przebiegu granic i to właśnie przez Irak. Nic z tego. Irak żąda, by Irak przyjął odpowiedzialność za rozpoczęcie wojny, co rzecz jasna posadziłoby go przy stole obrad na stołku twardszym i niższym. Już to samo nie nadaje się do przyjęcia dla Saddama, który 22 września 1980 roku wydał rozkaz przekroczenia granicy Iranu. To jednak nie wszystko: podczas mediacji sekretarza ONZ w marcu 1985 Irak zażądał 35.000 milionów dolarów tytułem reparacji wojennych. Nie stawiał już nawet kwestii obalenia bagdadzkiego reżimu partii Baas i prezydenta Saddama, bo nie musiał: warunki są miażdżące, żaden rząd, żaden ustrój ich nie wytrzyma.

Bagdad ma więc powody, by obawiać się końca wojny. Ale i Teheran nie dąży do szybkiego zakończenia: — im później, tym bardziej druzgocąca będzie klęska wroga. Jak się rozejrzeć, to nikomu na tym nie zależy. Widocznie światu dobrze jest z tą wojną. Arabskie kraje Zatoki z niepokojem ją obserwują i popierają Irak, ale wiedzą, że jest ona piorunochronem ekspansywnej rewolucji islamskiej. Sytuacja jest na rękę Izraelowi, bo eliminuje z rozgrywki palestyńskiej czynnik iracki; Sowietom, gdyż brak stabilizacji ułatwia penetrację i stwarza możliwość ingerencji w rejonie, który jest przedmiotem marzeń politycznych od lat — nafta i Ocean Indyjski! — Amerykanom, ponieważ obawiają się zmiany układu sił po zakończeniu wojny (przecież reżim fundamentalistów w Iraku nie jest tak zupełnie nieprawdopodobny!). Producenci ropy są zadowoleni, że konflikt w Zatoce ograniczył podaż i utrzymują się jako takie ceny. Kraje dostarczające broni wiadomo, robią interes; kraje-wierzyciele, bo zakończenie wojny i załamanie gospodarcze dłużnika musi oznaczać stratę zaangażowanych kapitałów. Wojna ciągnie się już całe lata i nie wiadomo, kiedy się skończy. Tu na Środkowym Wschodzie takie długotrwałe wojny są czymś zwyczajnym, dość wspomnieć Egipt, Izrael, Liban, Kurdystan, Afganistan.

Irak też przyzwyczał się do wojny. Teraz problemem większym od niej jest nadmiar wody. Po zimowych deszczach i śniegach Tygrys i Eufrat szeroko wylały w dolnym biegu, pełne są górskie zbiorniki, a także tereny zalewowe i jeziora w środkowym Międzyrzeczu. Pod wodą są pola i wioski. W Bagdadzie woda zbliża się do poziomu nadbrzeżnych bulwarów. W gazetach o tym ani słowa, to znaczy lepiej o tym nie mówić, nie mamy kłopotów, idzie nam bardzo dobrze, właśnie zakończył się festiwal filmów telewizyjnych, mamy tu bogate życie kulturalne, a jak się o czymś nie mówi, to się to coś robi mniej ważne, przestaje istnieć, właściwie już go nie ma.

W porannym słońcu woda połyskuje jak roztopiona czekolada. Idzie powódź.

D. T.

Wstydlivy temat

„Ja sie czuja Niemiec!”

W opracowaniu Prymasowskiej Rady Społecznej „Emigracja młodych Polaków” czytamy: „Osobny problem stanowi emigracja do Republiki Federalnej Niemiec. W samym tylko roku 1985 wyjechało tam na stałe około 20 tysięcy osób. Popełniane przez dziesięciolecie błędy polityki władz wobec ludności dawnego pogranicza polsko-niemieckiego są tutaj jedną z istotnych przyczyn. Z bólem stwierdzić trzeba, że wśród ludności regionów, które pomimo pozostawania przez wieki w obrębie państw niemieckich i doświadczania nacisków germanizacyjnych utrzymały polskość lub dokonały świadomej opcji za polskością pojawiło się rozczarowanie do polskiej państwowości, identyfikowanej z systemem politycznym. Nigdy przedtem nie były podejmowane tak liczne decyzje opuszczenia ziemi ojców”.

Od miesiąca uczęszczam na kurs języka niemieckiego w Berlinie Zachodnim, stykam się niemal wyłącznie z ludźmi, którzy przyjechali tutaj jako Niemcy. Nie wiem czy istnieje na świecie wiele takich instytucji, jak w Republice Federalnej Niemiec i Berlinie Zachodnim, które mają za zadanie uczenie swych obywateli języka ojczyźnego. Tutaj jest to działalność rutynowa. Obóz na Marienfelde otoczony jest ostatnio grubym murem samochodów z polską rejestracją — większość właścicieli tych wozów to ludzie, którzy uznali, że warto stać się Niemcem: „— Ja sie czuja Niemiec!” to jedno z pierwszych zdań, które usłyszałem w szkole, do której uczęszczam. Słyszę tu wokół siebie ludzi mówiących gwarą śląską, bardzo piękną, melodyjną — i wbrew pozorom wcale tak bardzo nie zanieczyszczoną germanizmami.

Początkowo sądziłem, że ludzie ci zdecydowali się na wyjazd do swej nowej ojczyzny wyłącznie ze względów materialnych. Nie jest to jednak takie proste, choć — oczywiście — w obecnej sytuacji gospodarczej Polski ten powód odgrywa dość poważną rolę. Większość z nich ma się tu możliwość jakoś urządzić — głównie dzięki pomocy krewnych, do których wyjechali. Ponadto — o czym jeszcze będzie mowa — przysługują im, przynajmniej w pierwszym okresie, dość liczne ulgi: trzeba przyznać, że władze niemieckie stworzyły stosunkowo dobre warunki prawno-bytowe dla „odzysku” rodaków spoza Niemiec (dochodzi do tego spora grupa Niemców z ZSSR czy Rumunii). Przybysze są tu tym mile widziani, że w społeczeństwie zachodniemieckim obserwuje się ostatnio proces starzenia: mile zatem widziani są zwłaszcza ludzie młodzi. Nadto Polacy uznawani są tu za grupę szczególnie szybko się asymilującą — praktycznie w drugim pokoleniu są już Niemcami, z rzadka tylko kultywującymi jakieś tradycje polskie.

Dochodzi do tego wszystkiego przywiezione często z Polski poczucie krzywdy. Dotyczy to zwłaszcza ludzi przybywających ze Śląska czy z Mazur: polityka PRL wobec „autochtonów” (zjawisko mające swój dramatyczny dokument w poezji Erwina Krucka) była — a i jest często nadal — wyjątkowo brutalna. Do tego doszły w ostatnim okresie naciski wobec niektórych działaczy opozycyjno-solidarnościowych sugerujące im opuszczenie Polski w charakterze Niemców. Bodaj najbardziej brutalnym, a w każdym razie najbardziej znanym publicznie wypadkiem tego typu była i jest kampania przeciw Lotharowi Herbstowi: jej elementem jest powtarzany od pewnego czasu w prasie komunikat Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce o poszukiwaniu „osób, które w czasie drugiej wojny światowej znały lub miały kontakt z podoficerem policji niemieckiej Helmutem Adolfem Herbstem (...) względnie posiadają informacje o jego powojennych losach”. Poszukiwanie informacji o powojennych losach człowieka, który poległ na froncie wschodnim jest dość jaskrawym przykładem wyjątkowo brutalnej kampanii prowadzonej przeciw jego synowi. A jest to tylko jeden z przykładów nacisków wywieranych na „autochtonów” — zwłaszcza, jeśli angażują się w jakąkolwiek niezależną działalność.

Jest rzeczą wprost niewiarygodną, że opuszczają Polskę rodziny i ludzie, którzy w poprzednich okresach historycznych walczyli o zachowanie na porzucanych obecnie ziemiach języka i kultury polskiej. W chwili obecnej mamy do czynienia z dość częstymi przypadkami zmiany w Niemczech nazwisk przesiedleńców — bądź powrotu do „spolszczonych” po wojnie nazwisk rodzinnych, bądź po prostu zacieraniem śladów polskiego pochodzenia. To samo dotyczy imion, przy czym warto przypomnieć administracyjny zakaz nadawania dzieciom urodzonym na ziemiach zachodnich imion niemieckich.

Jak zostać Niemcem?

Pomijam tu przypadki nabycia obywatelstwa niemieckiego „normalną” drogą, taką, jaką nabywa się obywatelstwo amerykańskie czy jakiegokolwiek inne — choć w różnych krajach regulują to różne przepisy. Chodzi mi bowiem o to, jak zostać Niemcem niemal natychmiast po przyjeździe z Polski. Prawo niemieckie wyróżnia tu dwa warianty: uznanie kogoś za Niemca bez obywatelstwa i przyznanie obywatelstwa niemieckiego. Oba te warianty różnią się paroma szczegółami praktycznymi, których znaczenia jeszcze nie zdołałem poznać, nie ma to jednak specjalnego wpływu na przebieg całej procedury, której poddać się muszą przybywający tu uciekinierzy (przesiedleńcy). Przy czym zaznaczam, że pisać będę nie o tych, którzy w majestacie polskiego prawa ubiegają się o przesiedlenie w ramach akcji łączenia rodzin, lecz o tych, którzy czynią to jakby nielegalnie, na własną rękę. Cel jest w istocie jeden: zdobycie niemieckiego dowodu osobistego wraz z prawami, które się z tym łączą.

Większość przybyszów z Polski przyjeżdża tu z góry zakładając, że pozostaną. Większość też ma potrzebne do tego dokumenty. W zasadzie jedynym warunkiem pozostania w RFN czy Berlinie Zachodnim „na prawach Niemca” jest udowodnienie, że posiadało się przed 1945 rokiem obywatelstwo niemieckie, lub że posiadali je przodkowie w linii prostej (rodzice, dziadkowie). Teoretycznie ma takie możliwości bardzo wielu ludzi — stąd tak duże dane szacunkowe określające wielkość mniejszości niemieckiej w Polsce: wedle niemieckiego prawa wszyscy ludzie spełniający powyższe warunki są potencjalnie Niemcami. Swoją drogą interesujące czy dotyczy to także np. ludzi z pogranicza niemiecko-francuskiego czy niemiecko-belgijskiego, ale to problem osobny.

Przybysze z Polski muszą się zameldować w obozie dla uchodźców, gdzie poddawani są rutynowym „przesłuchaniom” — w Berlinie rzecz ma przebieg szczególny, gdyż wobec okupacyjnego statusu miasta nie dokonują tych przesłuchań urzędnicy niemieccy, lecz amerykańscy, angielscy i francuscy. Inny oczywiście przebieg ma ta procedura w wypadku ludzi ubiegających się o przyznanie im azylu politycznego, inny nieco w wypadku ubiegania się o uznanie niemieckiego pochodzenia. W tym drugim wypadku papiery przywiezione z Polski czasami nie wystarczają — zaczynają się zatem poszukiwania w archiwach niemieckich, zdobywanie zaświadczeń od bliższej i dalszej rodziny (z którą często z tej właśnie okazji nawiązuje się pierwszy kontakt). Reszta biegnie już automatycznie — po pewnym czasie otrzymuje się dowód osobisty i, na pewien okres, specjalne prawa (tzw. dowód A) uprawniające do uzyskania długoterminowej, niskoprocentowanej pożyczki, ulg podatkowych, ułatwień w załatwianiu spraw urzędowych itp.

Większość ludzi, z którymi się tu zetknąłem otrzymuje w dość krótkim czasie mieszkanie (przysługuje im w spółdzielniach, jako przesiedleńcom, pierwszeństwo), niemal natychmiast po uznaniu praw otrzymują skierowanie na trzystopniowy, bezpłatny (płacony przez urząd pracy) kurs języka ojczystego. W wypadku pracy przed wyjazdem w polskich przedsiębiorstwach państwowych uzyskuje się na pewnie czas zasiłek za bezrobocie, później zaś pomoc dla bezrobotnych — w każdym wypadku są to wypłaty wyższe niż pomoc socjalna. Tę ostatnią otrzymuje się w wypadku niemożności udokumentowania żadnej stałej pracy zarobkowej w Polsce w ciągu bodaj roku przed opuszczeniem kraju — wynosi ona, gdy wziąć pod uwagę dodatkowe wypłaty (na odzież, na umeblowanie mieszkania itp.) około 400 marek miesięcznie. Od momentu wygaśnięcia ważności polskiego paszportu przysługuje, na ogół zryczałtowane, odszkodowanie za mienie pozostawione w Polsce.

Tak to wygląda z grubsza — nie jest moim zamiarem pisanie poradnika dla ewentualnych przesiedleńców ze wskazywaniem szczegółowo wszystkich przysługujących im tu praw, wyliczaniem odpowiednich przepisów (których jest mnóstwo, i których trzeba

poszukiwać na własną rękę) ułatwiających życie. Przyjmując jednak nawet najgorszą ewentualność (pomoc socjalna) państwo stwarza tu bardzo dogodne warunki startu: wspomniana niskoprocentowana pożyczka, od której zaczynają tu niemal wszyscy przesiedleńcy, wynosi ok. 3.000 marek na osobę samotną i ok. 5.000 na rodzinę. Polacy znani są tu w urzędach socjalnych z tego, że podjeżdżają pod nie własnymi samochodami i udają się po zasiłek ubrani według najnowszej mody (praca na czarno, o którą wcale nie jest tak trudno, jakby się mogło wydawać).

Co mówią Niemcy?

Podtytuł zaczerpnąłem ze stałego felietonu Wilhelma Szewczyka w *Życiu Literackim* — pytanie dotyczy „polskich” Niemców. Z jednej strony mówią więc, jak już wspomniałem, „Ja się czują Niemiec”. Z drugiej zaś strony, idąc po odbiór pieniędzy do urzędu socjalnego, powiadają, że idą „do Gebbelsów” po swoje: „nam się, kurwa, należy” — „nam”, to znaczy, Polakom. Należy nam się za wojnę, za Oświęcim i tak w ogóle, bo jesteśmy.

Wyraźnie rozróżnia się w rozmowach między „u nas” (to jest „w Polsce”) i „tutaj” (to jest „w Niemczech”). Rozróżnia się też między „my” (Polacy: my to się tu umiemy urządzać) i „oni” (Niemcy: oni, co by nie mówić, to by u nas zginęli, nie daliby sobie rady). W odróżnieniu od Turków, Włochów czy Jugosłowian „nowi Niemcy” w publicznych miejscach wstydzą się mówić po polsku: to objaw może nie całkiem powszechny, ale bardzo częsty. Istnieją jednak i sytuacje jeszcze bardziej wyrafinowane: przyjęcia w domach „byłych Polaków”, w czasie których — choć wszyscy goście znają polski — mówi się wyłącznie fatalną na ogół niemczyzną (to dla wzajemnego utwierdzenia się w słuszności wyjazdu).

To wszystko, oczywiście, zanika w drugim pokoleniu. Przy czym dochodzi do dość dramatycznych sytuacji rodzinnych. Dzieci wstydzą się swoich rodziców — podświadomie dlatego, że wskazują na ich „nieczyste” pochodzenie, ale także dlatego, że ci źle mówią po niemiecku, przez co wydają się ich kolegom śmieszni. Dziecko w miarę dorastania coraz mniej przebywa w domu czując się lepiej w środowisku swoich kolegów i koleżanek. Narasta poczucie obcości, powstają napięcia, których rodzice na ogół nie potrafią i nie chcą zrozumieć. Napięcia są często powodowane i tym, że dziecko wyrasta w poczuciu ogólnej „gorszości” Polski od Niemiec — zwłaszcza w sferze materialnej: ta „gorszość” jest argumentem, który pojawia się w rozmowach z rodzicami na temat ich przeszłości i przyczyn wyjazdu. Wtedy znów „u nas” przeistacza się w „tam”, „tutaj” zaś nabiera znaczenia „u nas”.

Opisuję tu, oczywiście, sytuację bardzo ogólną, na pewno krzywdzącą dla tych, którzy z polskością zachowują więzy (polski kościół, organizacje polonijne czy emigracyjne) — tych jednak jest grupa stosunkowo nieliczna. Przeważa grupa, która nie ma

potrzeby specjalnego kultywowania więzów z Polską — czuje się Polakami przede wszystkim w chwilach zagrożenia i niepewności, na ogół nie odczuwa też żadnych silniejszych związków z Niemcami, jest jakby „zawieszona” pomiędzy.

Między Polską a Niemcami

Po raz pierwszy w powojennej historii mamy do czynienia z w miarę rozsądną reakcją władz PRL wobec podnoszącej się fali emigracyjnej. Nigdy dotąd nie przyznawano takiej ilości paszportów konsularnych uprawniających do legalnego pobytu za granicą przy jednoczesnym utrzymywaniu więzów z Polską. Ostatnio wprowadzono instytucję „klauzuli wielokrotnego przekroczenia granicy PRL” do zwykłych paszportów turystycznych, co wielu ludzi powstrzymuje od zgłaszania się po azyl. Powstaje możliwość życia „pomiędzy”: stosunkowo częstych przyjazdów do kraju i w miarę swobodnego — choć przecież wciąż nie zawsze pewnego — prawa wyjazdu. Jest to bez wątpienia fakt istotny.

W rozmowach „polskich Niemców” powraca bez przerwy jeden temat: możliwości uchwalenia przez sejm ustawy o podwójnym obywatelstwie. Jest to sprawa dla nich szczególnie ważna. Wielu bowiem wciąż nie jest do końca przekonanych o słuszności wyjazdu z Polski na stałe, chce mieć możliwość otwartego powrotu. Bez wątpienia uchwalenie podobnego prawa zmieniłoby sytuację psychiczną tych ludzi, ożywiło kontakty rodzinne (choćby przez wysyłanie dzieci na wakacje do Polski), zmniejszyło prawdopodobieństwo całkowitego zerwania z polskością. „Polscy Niemcy” jeżdżą w tej chwili po świecie „na personal” (Personal ausweis — dowód osobisty), zaś do Polski „na paszport”.

Jednak to życie między Polską i Niemcami musi się kiedyś zakończyć. O powrocie nie ma w zasadzie mowy. Życie wybiera za samych zainteresowanych — powolne obrastanie w dobra („tu to się odkuje”), praca, administracyjne więzy, szkoła do której uczęszczają dzieci, wszystko to przywiązuje coraz bardziej do nowego kraju. Dla posiadaczy paszportów konsularnych wakacje w Polsce są droższe niż choćby we Włoszech czy Hiszpanii — dzienna stawka wymiany poważnie przekracza sumy, za które można się nieźle utrzymać na Zachodzie (nawiasem mówiąc nigdy nie byłem w stanie zrozumieć istoty „wymiany dewizowej” — a pięć lat przepracowałem w instytucji zajmującej się turystyką: jest to poważny czynnik odstrasżający ewentualnych turystów od przyjazdu do Polski). Polak przekształcony w „Polaka dewizowego” i tym samym obciążony obowiązkiem wymiany pozabawiony zostaje motywacji przyjazdów do kraju, który opuścił.

Pozostaje formalne posiadanie obywatelstwa polskiego — oznacza to, że mimo braku odpowiednich przepisów prawnych władze PRL *de facto* podwójne obywatelstwo sankcjonują. Dobrze i to, choć prawdę mówiąc odgrywa to w życiu przesiedleńców coraz mniejszą rolę.

Instytucje emigracyjne

Instytucje emigracyjne w zasadzie nie oddziałują na przesiedleńców: brak jakichkolwiek form „przystępnego” działania. Przesiedleńcy nie są na ogół intelektualistami — to przede wszystkim robotnicy (często o wysokich kwalifikacjach) nie mający w zasadzie nawyku korzystania z dóbr kultury, a właśnie działalność kulturalna stanowi główne zajęcie centrów emigracyjnych (wydawnictwa, prasa — to wszystko jest poza sferą zainteresowań większości przybyszów z Polski: gazety polskie są dla nich „za drogie”, poza tym rzadko kto ma tu stały nawyk czytania). Jedyne kontakty z polską instytucją emigracyjną, jaki się tu nawiązuje, to coraz częstsze oglądanie nadawanego w Berlinie Zachodnim na „wolnym kanale” programu telewizyjnego robionego przez Ewę Marię Ślaską i Grzegorza Ziętkiewicza: zyskuje on coraz większą popularność, czego dowody znalazłem wśród moich współkursantów. Niestety: program ten nadawany jest tylko raz w miesiącu (plus dwie powtórki) przez nieco ponad pół godziny, robiony jest też przy użyciu więcej niż skromnych środków (autorzy pozbawieni są jakichkolwiek dotacji, więcej: także złudzeń o możliwości ich uzyskania od naszych emigracyjnych instytucji).

Być może wstępem do jakiegoś bardziej sensownie i nie tylko politycznie działającego centrum (przesiedleńcy od polityki raczej stronią) jest powołanie w Berlinie Zachodnim Klubu Inteligencji Katolickiej. Tu jednak też dominuje działalność kulturalno-wydawnicza (odczyty, własne pismo *Słowo* — obok istniejących już *Archipelagu* i *Poglądu* — także wystawy). Poza tym kompletna pustynia, brak prób dotarcia — choćby na terenie samej szkoły języka czy obozu — do ewentualnych odbiorców, emigracyjna rutyna.

Daleki jestem od jakiegokolwiek krytykowania — staram się po prostu opisać to, w czym tu uczestniczę, zebrać spostrzeżenia. Jednakże wydaje mi się, że warto obecnie zwrócić baczniejszą uwagę na Polaków w Niemczech, gdyż jest to grupa, której liczebność ostatnio coraz bardziej gwałtownie rośnie. Przytoczone na początku dane Prymasowskiej Rady Społecznej warto uzupełnić o dane z roku ubiegłego, w którym do Niemiec przybyło 60 tysięcy przesiedleńców i uciekinierów z kraju. Stają się oni klientelą organizacji polonijnych, popieraných przez władze, gdyż te przynajmniej jedno mają do zaoferowania — możliwość załatwienia obniżonej wymiany dewizowej przy podróżach do Polski.

Zapewne jest to teren dla działalności Kościoła — jest ona jednak wciąż zbyt mało widoczna, rutynowa, nieatrakcyjna.

Uwagi końcowe

Chciałem w tym artykule zasygnalizować istnienie ważnego problemu, jakim jest rozrastająca się grupa przybyszów z Pol-

ski na terenie Niemiec Zachodnich i Berlina. Grupa ta żyje w zasadzie w próżni politycznej, skazana jest na tworzenie własnego getta towarzyskiego i powolne rozmywanie się w społeczności niemieckiej. Jej związki z Polską coraz bardziej słabną, drugie pokolenie to już po prostu Niemcy.

Mamy do czynienia z „emigracją” dość specyficzną, dla której bardzo trudno znaleźć odpowiedni termin. Nie chodzi mi jedynie o to, by próbować się przeciwstawić procesowi zniemczania tych ludzi — w końcu przyjęcie obywatelstwa niemieckiego, choć w większości traktowane jedynie instrumentalnie, a zarazem zdeklarowanie narodowości niemieckiej jest ich własną decyzją (pamiętam tu całą sferę moralną tego problemu). Przyczyny tego stanu rzeczy znane są doskonale, zmieniać się ich już nie da — są uwarunkowane a historycznie, i politycznie. Można się jednak przeciwstawić procesowi dużo groźniejszemu: utrwalaniu się wśród dużej grupy przesiedleńców przekonania o tym, że Polska stanowi centrum zła, że należy się związków z krajem wypierać. A taki proces niestety tu zaobserwować. Jest on efektem negatywnych doświadczeń wywiezionych z PRL, ale też często skutkiem braku motywacji utrzymywania więzów z polskością — szerszej pojmowaną.

Leszek SZARUGA

Fałszywi Niemcy z Polski

Republika Federalna Niemiec należy do krajów europejskich o najniższym przyroście naturalnym. Nic więc dziwnego, iż władze RFN z radością witają wszelkie inne sposoby powiększenia liczby ludności, której średnia wieku, z braku noworodków, z roku na rok staje się coraz wyższa. Lukę w pokoleniach od lat zapełniali Niemcy przyjeżdżający z innych krajów i przyjmujący obywatelstwo RFN. Przybywają przede wszystkim ze wschodu Europy. W ubiegłym roku przyznano w RFN ponad 100.000 obywatelstw Niemcom urodzonym poza terenem dzisiejszych obu republik niemieckich — w tym 50.000 pochodzącym z Polski.

W latach poprzednich liczba „przesiedleńców” (*Umsiedler*) z Polski nie była duża. W Polsce żyło się jeszcze jako tako, a poza tym przyjęcie *Volkslisty*, jak w PRL jeszcze do niedawna nazywano tych, którzy mieli zamiar wyemigrować do *Vaterland'u*, nie było społecznie popularne i uchodziło za coś w rodzaju zdrady narodowej. Jednak w miarę upływu czasu i pogłębiania się kryzysu gospodarczego w PRL stosunek do emigracji przestał być negatywny, a zaczął nawet świadczyć o poczuciu zdrowego rozsądku. Głównym tematem spotkań towarzyskich w PRL przestało

być narzekanie na sytuację na rynku — koń jaki jest każdy widzi — a zaczęto bardzo dokładnie omawiać możliwości wyjazdu na Zachód. Także niedawni *Volksdeutsche* przestali być uważani za zdrajców, a coraz większa część społeczeństwa zaczęła im nawet zazdrościć w miarę bezproblemowej emigracji, bo wyjazdowi do RFN w charakterze przesiedleńca towarzyszą ogromne ulgi i przywileje w porównaniu na przykład do uchodźców politycznych, którzy obecnie latami walczyć muszą z biurokracją o uznanie prawa do stałego pobytu. „Nowi” obywatele RFN uzyskują bezpłatny kurs języka, mieszkanie, odszkodowanie za dobra pozostawione w kraju, emeryturę za lata przepracowane w PRL, bezzwrotną zapomogę „na zagospodarowanie” itp. Pomoc ta dochodzi niekiedy do 200.000 marek.

W tej sytuacji (katastrofalnej w PRL, więcej niż obiecującej w RFN) niektórzy rodacy szukać zaczęli możliwości uzyskania obywatelstwa niemieckiego inną drogą, niż wskazują przepisy prawa. Żeby zostać uznanym za przesiedleńca trzeba udowodnić, iż posiada się niemieckich przodków. Najczęściej przedstawia się stare metryki urodzenia dziadków, akty zgonu, ślubu itp. Polacy, którzy ku własnemu zmartwieniu posiadali w rodzinie jedynie jasnowłosych Słowian, zaczęli „produkować” na własną rękę germańskich przodków — fałszując dokumenty.

Niedawno w RFN władze kryminalne, zaalarmowane przez urzędników w Hamburgu, zaczęły dokładniej przyglądać się metrykom „niemieckich dziadków i babek” i doszli do sensacyjnych rezultatów. W samym Hamburgu stwierdzono, iż ponad tysiąc „polskich Niemców” Niemcami wcale nie jest, a dokumenty przez nich przedstawione są w większości przypadków bardzo prymitywne podrobione. Powołano specjalną komisję Urzędu Spraw Wewnętrznych do zbadania całej sprawy. Już pierwsze wyniki dochodzeń wskazują, iż jest to jedna z największych afer fałszerzskich w historii RFN. Ów tysiąc udowodnionych fałszywych Niemców w Hamburgu jest według specjalistów z regionalnych Urzędów Kryminalnych jedynie szczytem góry lodowej. Przepuszczalna liczba Polaków, którzy uzyskali obywatelstwo niemieckie na podstawie sfałszowanych dokumentów, wynosi najprawdopodobniej kilka do kilkunastu tysięcy. Policja wpadła już na trop czterech band, zajmujących się produkcją i sprzedażą sfałszowanych dokumentów. Zaczęto nawet mówić o „polsko-niemieckiej mafii”. Fałszywe poświadczenia niemieckiego pochodzenia to przede wszystkim stare metryki, w które wpisano nazwiska „nowych Niemców”. Dokumenty takie kupić można na polskim czarnym rynku (najwięcej jak dotychczas pochodzi z Gdańska). Następnie są one potwierdzane polskimi pieczęciami urzędowymi (także sfałszowanymi). W miarę rozwoju interesu pojawiły się także oryginalne polskie formularze stwierdzające pochodzenie, potwierdzone przez oryginalnych polskich urzędników przekupionych oryginalnymi zachodniemieckimi markami. Formularze te (*in blanco*) jak również oryginalne pieczęcie urzędowe znajdują się także na terenie RFN. Wystawienie dokumentu potwierdzającego np. służbę dziadka w szeregach Wehrmachtu czy

też ożenek babki z rodowitym Niemcem kosztuje ok. 10.000 marek. Jak widać, interes jest (był?) bardzo opłacalny. Niestety nie dla wszystkich. Co prawda nie wydano jeszcze decyzji stwierdzającej, co stanie się z owymi „fałszywymi Niemcami”, ale biorąc pod uwagę nowe tendencje polityki władz RFN wobec cudzoziemców (coraz realniejsze projekty wydalania obcokrajowców pochodzących z Europy Wschodniej, którym odmówiono azylu) a także wysokości sum, jakie „Niemcy” z Polski uzyskali w RFN, nie można chyba liczyć na pobłażliwość, jaką władze zwykle wykazywały w stosunku do osób przybywających z krajów komunistycznych. Same władze wspominają już o „drodze sądowej”, nie wykluczają także deportacji „fałszywych Niemców” do prawdziwej ojczyzny.

Wiktor GROTOWICZ

SKONFISKOWANE OŚWIADCZENIE

OŚWIADCZENIE RADY POLITYCZNEJ LIBERALNO-DEMOKRATYCZNEJ PARTII „NIEPODLEGŁOŚĆ”

Z początkiem maja 1988 roku nastąpił w PRL wybuch robotniczych akcji strajkowych. Są one wyrazem długo dotąd tłumionych i prześladowanych dążeń narodu polskiego do rozszerzenia zakresu wolności obywatelskich, a w tym wolności zrzeszania się w niezależne związki zawodowe i stowarzyszenia społeczne.

Akcja strajkowa rozwija się także w środowiskach akademickich. Wiele wskazuje na to, że władza komunistyczna szykuje się do stłumienia strajków siłą, a następnie do zrzucenia na strajkujących odpowiedzialności za wszelkie niewydolności systemu komunistycznego. *Jednocześnie reakcje światowe wskazują na kompletne niezrozumienie sytuacji Polaków; zamiast solidarności wyrażane są najczęściej obawy o wpływ wypadków w PRL na tzw. pierestrojkę w ZSRR. Następuje tu typowe odwrócenie pojęć. To właśnie sposób reakcji na żądania Polaków będzie pierwszym wiarygodnym testem uczciwości lub cynicznej obtędy leżącej u podstaw procesów zachodzących w ZSRR. Naszym zdaniem test ten wypadnie dla Polaków niepomyślnie.*

Rada Polityczna LDP „N” deklaruje swoje poparcie dla żądań pluralizmu związkowego będącego pierwszym krokiem na drodze ku wolności i demokracji. Jednocześnie przypominamy, że tylko konsekwentne obstawanie przy żądaniach politycznych daje szansę na naruszenie komunistycznej struktury rządów PRL, a tym samym na zbliżenie się do tak przez nas upragnionej wolności i niepodległości. Członkowie LDP „N” przystępują do akcji wspierających działania strajkowe.

Za Radę Polityczną LDP „N”
Robert PAWŁOWSKI

Warszawa, 4 maja 1988 r.

Tekst powyższy został ocenzurowany przez Radio Wolna Europa, które opuściło ustęp złożony kursywą. Musimy bardzo ostro zaprotestować przeciw takim metodom. Radio ma prawo nie zamieścić tekstu, który mu nie odpowiada ale nie może go deformować. (REDAKCJA).

9 maja 1988

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Najbardziej zmiennym tekstem ostatnich dwóch miesięcy był artykuł „Niny Andriejewej”, opublikowany 13 marca w *Sowieckiej Rossji*. Pisałem o nim i o replice *Prawdy* z 5 kwietnia w poprzednim przeglądzie prasy sowieckiej, ale i obecny wypada zacząć od „Andriejewej”, ponieważ gazety i czasopisma sowieckie nie przestają o niej pisać. Liczne artykuły, wypowiedzi i listy do redakcji, jakie zalały prasę po replice *Prawdy*, wyrażają przede wszystkim ulgę. Autorzy ich zgodnie twierdzą, że tekst „Andriejewej” ich przeraził: natychmiast uwierzyli, że wszystko stracone, skończyła się *glasnost*, spełniło się to, na co wszyscy czekali i czekają — powrót w utarte koleiny sowieckiego życia. Wszyscy zrozumieli, że — mówiąc słowami reżysera Aleksieja Germana — „zwykła nauczycielka chemii nie mogła napisać tego antypartyjnego manifestu” (*Sowiecka kultura* z 5 maja br.). Kierowniczką wydziału propagandy i agitacji leningradzkiego obwodowego komitetu partii, Galina Barinowa, oświadcza oficjalnie, że „nie ma żadnego stosunku do publikacji tego artykułu” (*Sowiecka kultura* z 5 maja br.). Jest to ciekawa informacja, bowiem „Nina Andriejewa” jakoby istnieje i wyklada w jednym z leningradzkich instytutów naukowych. *Sowiecka kultura* nie tłumaczy szczegółowo, w jaki sposób powstał artykuł, ale w ramach samokrytyki przedrukowała odpowiedź *Prawdy*, a 15 kwietnia przyznała, że ogłoszenie artykułu „Andriejewej” było błędem, ponieważ było to wezwanie do „rewolucyjnej odnowy społeczeństwa na bazie demokracji i jawności”.

Autorstwo artykułu pozostaje zagadką. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że gdyby „Nina Andriejewa” nie istniała, należałoby ją wymyślić. Replika *Prawdy* była sygnałem, w którym wszyscy usłyszeli znany głos Gospodarza, wskazujący, kto przyjaciel, a kto wróg. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Chwilowa niejasność została (prawie) wyjaśniona. Do redakcji gazet i czasopism zaczęły napływać potoki listów z zapewnieniami

niami o całkowitym oddaniu *pieriestrojce*. Nie byłoby w tym niczego dziwnego — *pieriestrojka* ma niemało zwolenników, zwłaszcza wśród inteligencji — gdyby nie zdumiewająca jednomyślność, z jaką wszyscy pochwalają *pieriestrojkę* i oburzają się na „Ninę Andriejewą”. Do *Prawdy* wpłynęły zbiorowe listy „twórców kultury”: muzycy, malarze, architekci itd. przysięgają na wierność *pieriestrojce*. Najbardziej spodobał mi się list pisarzy, bo pod tekstem zatytułowanym „Więcej jawności, więcej demokracji, więcej socjalizmu” podpisali się zgodnie wszyscy, niezależnie od ich prawdziwych poglądów. Jeszcze niedawno Jurij Bondariew krzyczał na plenum „Reichstag płonie!” — chodziło mu o rozpasanie jawności. Dziś stoi w jednym szeregu z Michaiłem Szatrowem. Proskurin i Granin, Załygin i Gribaczow, Markow i Wozniesienskij, wszyscy murem stoją „za”!

Jak bardzo przydatny był artykuł „Andriejewej”, dowodzi „pryncypialna odpowiedź” *Literaturnoj gazei* (4 maja br.) na „Apel koloński”, podpisany przez Bukowskiego, Gorbaniewską, Maksimowa, Zinowiewa, Ginzburga, Pluszcza i innych. Nie wiedząc, jak dziś znieważać dysydentów, autor podkreśla oszałamiający zbieg okoliczności: „Apel koloński” nosi datę 25 marca. Nie wiem, czy autorzy zdążyli przeczytać artykuł 'Andriejewej', który ukazał się 19 marca. Sądząc po ich tekście, zdążyli”. Należy z tego wyciągnąć wniosek, że albo „Apel koloński” został napisany w redakcji *Sowietskiej Rossiji*, albo tekst „Niny Andriejewej” w Kolonii...

Spośród listów, ogłaszanych teraz we wszystkich gazetach i czasopismach najbardziej zainteresował mnie list do *Izwestii* (6 kwietnia br.) niejakiego „M. Rudenki, wynalazcy”. Rudenko pisze o jawności, którą nazywa „zezwoleńiem na zrzucenie ucisku”, „słownym leczeniem zgagi społeczeństwa”. Obecna jawność przypomina Rudence „chwyt, który często stosują firmy japońskie: w każdym zakładzie istnieje pokój z gumowymi kukłami, wiernymi kopiami majstrów i w ogóle całego kierownictwa firmy. Zastosowanie ich jest następujące: nie podoba ci się majster? To podchodzisz do jego gumowej kopii i walisz ją w mordę”.

M. Rudenko dochodzi do wniosku, że *glasnost* jest mizerną imitacją japońskiego wynalazku: jeśli, drodzy obywatele, nie podobają wam się biurokraci, którzy omal nie doprowadzili społeczeństwa do katastrofy, to któż wam broni ich biczować, zaliczwszy ich z dnia na dzień w poczet „wrogów *pieriestrojki*”?

M. Rudenko ma świętą rację. Nie tylko nikt nie broni, ale wręcz przeciwnie, zaleca się walić w gumowe kukły. Nie byłoby w tym niczego złego, gdyby publikacje nie ograniczały się do losów „wiernych leninowców”, którzy padli ofiarą Stalina, i nie sprowadzały okresu terroru do lat 1937-1939. Gdyby wreszcie nie przypisywały całej winy Stalinowi, Jeżowowi i Berii oraz pomniejszonym wykonawcom, katom i śledczym. Zgodnie z tą „generalną linią”, Gorbaczow nie powstydział się w rozmowie z patriarchą Pimenem gnać, jakoby „błędy, popełnione pod adresem Cerkwi i wiernych w latach 30-tych i następnych, zostały naprawio-

ne” (*Prawda* z 30 kwietnia br.). Jak wiadomo błędy „lat 30-tych i następnych” poprzedziły „błędy lat 20-tych”...

Sensacyjne relacje o zbrodniach Stalina wnoszą do wiedzy zachodnich historyków trochę szczegółów. Należy jednak dodać, że wszystko, co dziś wchodzi na łamy prasy, zostało ustalone przez sowieckich prokuratorów w latach 50-tych, za Chruszczowa. Dziś publikuje się szczegóły zbrodni, które ogólnikowo wyjawili Chruszczow w „tajnym referacie” na XX Zjeździe, tenże Chruszczow i inni na XXII Zjeździe i na otwartych zebraniach partyjnych.

Spośród najnowszych publikacji największe zainteresowanie wzbudziły notatki prokuratora wojskowego Borisa Wiktorowa pt. „Spisek w Armii Czerwonej” (*Prawda* z 29 kwietnia br.) i artykuł Arkadego Waksberga pt. „Procesy” (*Literaturnaja gazeta* z 4 maja br.). Emerytowany generał-lejtnant sprawiedliwości Wiktorow zajmował się w 1956 roku rewizją sprawy Tuchaczewskiego. W sprawie tej 12 czerwca 1937 rozstrzelano Tuchaczewskiego i siedmiu najwybitniejszych sowieckich przywódców wojskowych. Wiktorow nie mówi niczego nowego o samej sprawie, o tym jak ją zmontowano ani o powodach, które skłoniły Stalina do wymierzenia Armii Czerwonej niemal śmiertelnego ciosu. Między majem 1937 a wrześniem 1938 roku aresztowano lub aresztowano i zamordowano około połowy dowódców pułków, prawie wszystkich dowódców brygad i dywizji, wszystkich dowódców korpusów, wszystkich dowódców okręgów wojskowych, członków rad wojennych i naczelników okręgowych wojskowych rządów politycznych, większość politruków korpusów, dywizji i brygad, około jednej trzeciej komisarzy pułkowych, licznych wykładawców wyższych i średnich szkół wojskowych. Powtarzam, to wszystko dokonało się w czasie niewiele dłuższym niż rok. Armia Czerwona straciła nieporównanie mniej dowódców przez całe cztery lata wojny. Nowością są w tekście Wiktorowa cytaty — niestety bardzo krótkie — z zeznań oskarżonych, a także informacja, że oskarżycielem swych towarzyszy broni był Witali Primakow, bohater wojny domowej, dowódca korpusu Czerwonych Kozaków, w chwili aresztowania zastępca głównodowodzącego leningradzkiego obwodu wojskowego. Niewykluczone, że Primakowa szczególnie ciężko torturowali. Z zeznań śledczych, które Wiktorow również cytuje, wynika, że wszystkich oskarżonych nieludsko katowano.

„Procesy” Arkadego Waksberga to opowieść o tym, jak rozprawiono się z Michaiłem Kolcowem, Wsjewołodem Meyerholdem i Izaakiem Bablem. Waksberg także cytuje zeznania oskarżonych oraz (późniejsze, z lat 50-tych) zeznania ich katów. Uwagę zwraca fakt, że śledczy nie mieli pojęcia, kogo torturują i komu wyrwają z gardła „przyznanie się do winy”. W 1956 postawiono przed sądem jednego z nich, Rodosa. „Czym zajmował się niejaki Babel, którego oskarżony tak męczył?” — zapytał go sędzia. „Powiedziano mi, że był pisarzem” — odpowiedział Rodos. „Czy oskarżony przeczytał choć jedno jego zdanie?” — „Po co?” — zdziwił się podsądny.

Arkadij Waksberg uważa, że na liście rozstrzelanych lub przeznaczonych do rozstrzału znaleźli się wszyscy, „którzy mieli nieostrożność tak czy inaczej rozgniewać wodza”. Na początku lat 50-tych Boris Suwarin napisał artykuł pod tytułem „Kremłowski Kaligula”. Obłąd tyрана jest wy tłumaczeniem, ale moim zdaniem niepełnym i niewystarczającym.

Pewien szczegół w artykule Waksberga na pewno zainteresuje Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. W swym znanym eseju „Siedem śmierci Maksyma Gorkiego” Grudziński cytuje w *post-scriptum* artykuł niemieckiej socjaldemokratki, Brigitty Gerland, zwolnionej w 1953 roku z łagru na Workucie, w którym siedziała od 1948 roku. Brigitte Gerland opisała, że spotkała w obozie profesora Pletniewa, jednego z największych rosyjskich kardiologów — m.in. lekarza Gorkiego — który w 1938 roku skazany został za „zabójstwo Gorkiego”. Pletniew jakoby opowiadał jej, jak Gorkiego otruto czekoladkami. Wersję tę przyjęli historycy. Powtarza się ją zresztą w komentarzach do „Wspomnień o sprawie lekarzy” J. Rappaporta (*Družba narodow* nr 4, 1988). Arkadij Waksberg twierdzi w oparciu o dokumenty, że profesora Pletniewa rozstrzelano 11 września 1941 roku w piwnicach ortowskiego więzienia. Z kim więc rozmawiała Brigitte Gerland?

Walenie „stalinowskiej kukły” nie wszystkim odpowiada. W prasie sowieckiej można znaleźć także wyrazy innego stosunku do byłego ojca narodów. Pułkownik W. Fiłatow nalega w *Krasnoj wiewdzie* z 26 marca br., że 37-my rok, „ten ciężki rok”, „niejedno miał imię”: chodzi mu o Magnitogorsk, Dnieproges, Turkсіб... Płk Fiłatow szczególnie wysoko ceni sobie działalność Stalina w latach wojny. W przypadku wojskowego miłość do Stalina można zrozumieć. Ciekawszy jest przypadek Konstantina Simonowa, którego wspomnienia pt. „Oczyrna człowieka mojego pokolenia” ukazały się w piśmie *Znamia* (nr 3-5/1988). Jest to ostatni jego utwór, nagrany na taśmę (przez ostatnich dwadzieścia lat życia Simonow wszystkie swoje utwory dyktował i oddawał do opracowania E. Worobiowowi). Głównym tematem wspomnień jest Stalin. Simonow usiłuje opowiedzieć — na tyle uczciwie, na ile to możliwe bez wyznania, że był ulubieńcem wodza — jaki był stosunek jego pokolenia do Stalina. Opowiadanie naturalnie sprowadza się do sprawy „Stalin a literatura”. Simonow jest świadom zbrodni Stalina, nie może jednak zapomnieć jego charaktery i jego zainteresowania dla literatury.

Dziesięć lat temu napisałem artykuł „Poeta i wódz”, w którym analizowałem głośno w owym czasie informacje o stosunkach między tow. Stalinem a literaturą. Przytaczałem przykłady osobistych interwencji wodza w pracę pisarzy — poprawianie tekstów, wskazówki, jak mają pisać — przypominałem słynną rozmowę Stalina z Pasternakiem o Mandelsztamie, podczas której wódz dopytywał się, czy Mandelsztam naprawdę jest wielkim poetą. Na zakończenie wysunąłem supozycję, że być może Stalin uważał się za zapoznanego poetę i cierpiał nad tym, że nie osiągnął szczytów dostępnej ludziom sławy — sławy wielkiego poety. Simonow przytacza dalsze przykłady współautorstwa Stalina, w

szczegółności jego własnych tekstów. Rzecz charakterystyczna, podczas rozmowy z Fadiejewem i Simonowem w przerwie zebrania Biura Politycznego Stalin powtarzał wciąż to samo pytanie, które go najwidoczniej gnębiło. „Co myślicie o Wandzie Wasilewskiej jako o pisarce?” — spytał Fadiejewa... — Jak w ogóle oceniacie ją w swoim środowisku jako pisarkę?”. Simonow pisze, że kiedy Fadiejew odparł, iż Wanda Wasilewska uchodzi za średnią pisarkę, wódz był rozgoryczony, choć nie dał temu wyrazu.

Simonow chce być bezstronny i obiektywny: „Za jego rządów były procesy, w których daleko nie wszystko rozumiałem... Za jego rządów była Wielka Wojna Patriotyczna... którą jak by nie było wygraliśmy... Za jego rządów nie schyliliśmy karku przed spasioną w lata wojny Ameryką, kiedy wisiła nam nad głową ich bomba atomowa, a własnej jeszcze nie mieliśmy. Za jego rządów były... nowe aresztowania w latach powojennych, i za jego rządów w tych samych powojennych latach powstał ruch pokojowy, w którym brałem udział...”.

Zdanie na temat Stalina jest głównym kryterium, pozwalającym odróżnić swoich od obcych i od chwiejnych. Drugim, nie mniej ważnym kryterium podziału są opcje ekonomiczne. Istnieją dziś dwa główne nurty — „towarowców” i „anty-towarowców”. Kandydat nauk technicznych Michaił Antonow (artykuł „Na przelocie” w *Moskwie* nr 3/1988) definiuje ich następująco: „anty-towarowcy” stawiają na porządek, dyscyplinę, powrót do entuzjazmu lat 30-tych, chociaż psychika człowieka sowieckiego i warunki zewnętrzne w całym kraju się zmieniły. Nic innego im w duszy nie gra. Towarowcy’ nęcą nas perspektywami zwiększenia rentowności przedsiębiorstw i w ślad za tym wzrostem dobrobytu robotników poprzez premiowanie dobrej pracy i karamanie za złą. Poza tym jednak nawet na dzień dzisiejszy tak naprawdę też niczego nie mają do zaproponowania”. Zręcznie krytykując innych, Antonow wysuwa własną, zaskakującą propozycję: „Dla człowieka wolnego od trwogi i chciwości, świadomego swojego zadania i swojego uniwersalnego posłannictwa, głównym bodźcem do pracy jest miłość”. Tłumacząc zacofanie sowieckich socjologów ich ignorancją, a zwłaszcza niezajomością „idei rosyjskich myślicieli, odznaczających się wszechstronnym światopoglądem”, Antonow cytuje nazwiska rosyjskich słowianofilów Kiriejewskiego, Chomiakowa i innych. Proponuje zaś coś w rodzaju powrotu do rosyjskiej XIX-wiecznej wspólnoty.

Artykuł Antonowa nie wzbudził szczególnego echa, w przeciwieństwie do artykułu Szmieliewa „Nowe obawy” (*Nowyj mir* nr 4/1988), który stał się przedmiotem ożywionej dyskusji. Doktor nauk ekonomicznych Nikołaj Szmieliew jest najbardziej znanym przedstawicielem „towarników”, przede wszystkim jednak jest utalentowanym publicystą, pierwszym, który zwrócił na siebie uwagę artykułem „Awanse i długi” (*Nowyj mir* nr 6/1987). Przedstawił w nim po raz pierwszy jasno, żywo i przekonująco głęboki kryzys gospodarki sowieckiej. Tę część artykułu zaakceptował sam generalny sekretarz, któremu jednak nie po-

dołała się druga część, zawierająca propozycje, jak walczyć z kryzysem, między innymi poprzez stworzenie armii bezrobotnych.

Minęło dziesięć miesięcy i ekonomista podsumowuje wyniki dotychczasowej *pieriestrojki*. Rezultaty są jego zdaniem optykane. Żadna z nowych ustaw — podstaw reformy — nie jest przestrzegana, żadnych zmian (w każdym razie na lepsze) nie widać. Szmielew podkreśla — jako najbardziej spektakularny dowód na krach reformy — porażkę w walce z alkoholizmem: „Państwo wciąga się krok za krokiem w samogonową wojnę ze społeczeństwem”. Szmielew uprzedza, że wojny tej nie sposób wygrać, i dodaje: „Znajdujemy się już dziś na progu masowego, podziemnego wyrobu alkoholu na przemysłową skalę (jak w Ameryce lat 20-tych) a to oznacza, że stoimy być może także u progu poważnego wzrostu zorganizowanej przestępczości, ponieważ dzisiejsze zyski z produkcji samogony uzasadniają — nawet czysto statystycznie — największe nawet ryzyko”.

Wrogami *pieriestrojki* są — zdaniem Szmielewa — niektóre obwodowe i rejonowe komitety partyjne, wielu spośród 18 milionów niższych i wyższych działaczy pionu zarządzania, którzy boją się zwolnienia z pracy, a także zwykli ludzie, którzy boją się podwyżek cen.

Nikołaj Szmielew proponuje program. Przede wszystkim uważa, że „Moskwa i KC KPZS” powinny koniecznie pokazać, że są silniejsze od lokalnych władz i ministerstw. Jest to jeden z paradoksów sowieckich reformatorów: Szmielew, zagorzały „towarnik”, zwolennik wprowadzenia pełną parą mechanizmów rynkowych, równocześnie uważa, że należy wzmocnić władzę Moskwy i KC KPZS (co zresztą należy uważać za synonimy). Siła władzy centralnej ma złamać opór, a dalej — sędzi Szmielew — wszystko pójdzie gładko. Najpierw jednak siła. Ze współzuciem cytuje rozpaczliwy głos pewnego dyrektora fabryki, apelującego o stworzenie WCzK dla obrony *pieriestrojki*. Stalin zresztą tak właśnie postąpił, mianując Dzierżyńskiego przewodniczącym WSNCh — Rady Najwyższej Gospodarki Sowieckiej.

Szmielew domaga się zastosowania natychmiast środków dla polepszenia doli obywateli sowieckich, w tym radykalnego zwiększenia importu towarów codziennego użytku. Proponuje też, aby zezwolić przedsiębiorstwom na wypuszczanie i sprzedawanie akcji, rozszerzyć system pożyczek zaciąganych wprost u ludności, przede wszystkim jednak zwiększyć pożyczki zagraniczne. Zadłużenie Związku Sowieckiego wynosi jego zdaniem 20 miliardów dolarów, wobec na przykład 35 miliardów Polski. Szmielew proponuje, aby stworzyć zachodnim biznesmenom bardziej zachęcające warunki pracy w ZSSR: zrezygnować na przykład z zasady stosunku własności 51 : 49, zmniejszyć podatek od ich dochodów itp. O nieuchronnym w wyniku reformy bezrobociu mówi w nowym artykule ostrożniej niż w poprzednim, nadal jednak uważa, że inaczej reforma nie może się udać.

W zakończeniu Nikołaj Szmielew formułuje główną zasadę swojej filozofii ekonomicznej: „Powinniśmy, musimy wdrożyć we wszystkich dziedzinach życia publicznego zrozumienie dla fak-

tu, że wszystko, co jest ekonomicznie niewydajne — jest niemoralne, a wszystko, co wydajne — jest moralne”. Nie wiem, czy to właśnie miał na myśli sowiecki ekonomista, jeśli jednak pójść za jego rozumowaniem, to można powiedzieć, że skoro kapitalizm jest gospodarczo nieporównanie bardziej wydajny od socjalizmu, to jest on moralny, podczas gdy socjalizm jest niemoralny...

Jak dotąd formuła Szmielewa nie została jeszcze wprowadzona, w szczególności jeśli chodzi o wydarzenia w Polsce. Dzisiejsze komunikaty prasy sowieckiej podobne są jak dwie krople wody do informacji z pierwszych tygodni sierpnia 1980 roku. Pierwsza informacja ukazała się w *Prawdzie* 28 kwietnia. Był to komunikat TASS-a i zaczynał się następująco: „Jak oświadczyła Polska Agencja Prasowa, wrogie Polsce siły na Zachodzie rozpetaly, podobnie jak bywało w przeszłości, propagandową wrzawę wokół strajków w niektórych wydziałach kombinatu hutniczego w Nowej Hucie w pobliżu Krakowa”. 3 maja TASS opublikował informację pod tytułem „Odpór podżegaczom”, streszczającą relację Urbana o demonstracjach pierwszomajowych w Polsce. 4 maja *Prawda* opublikowała — poza komunikatem TASS-a, ponownie streszczającym słowa Urbana z konferencji prasowej — artykuł swojego korespondenta w Polsce, A. Staruchina. Tłumaczy on, że przyczyną strajków jest „podwyżka cen żywności i praktycznie wszystkich towarów konsumpcyjnych” w ramach „zachodnie ośrodki antypolskie i opozycja wewnętrzna natychmiast postanowiły skorzystać z okazji... Zachodnie radiostacje w tych dniach dosłownie i w przenośni nie spały... Wyleźli na światło dzienne samozwańczy przywódcy byłej 'Solidarności', raz po raz rozlegał się głos Lecha Wałęsy...”. Na zakończenie Staruchin z zadowoleniem stwierdza: „W Warszawie i innych miastach PRL uroczystości pierwszomajowe przebiegły jak zazwyczaj. Rachuby nieprzyjaznych socjalistycznej Polsce sił na to, że uda im się zepsuć święto, spaliły na panewce. Smutnej sławy 'Solidarność' próbowała już grać na nastrojach Polaków. Co z tego wynikło, wszyscy wiedzą”.

Adam KRUCZEK

9 maja 1988

Kronika niemiecka

Wspaniała poniemiecka klasycystyczna transformatorownia w Szczecinie została w ostatniej chwili uratowana przed rozbiórką. Zabytkowy, modernistyczny obiekt miał pójść pod kilof za zgodą... władz konserwatorskich. Po rewaloryzacji budynek zostanie przekazany artystom-plastykom na różnego rodzaju wystawy. ■ Polska jest drugim co do wielkości importerem kos-

metyków produkowanych w NRD. Wschodniobierlińska Florena dostarcza do PRL wyroby za ok. 5,4 mln rubli. ■ W warszawskim Teatrze Wielkim wystawiono *Piersień Nibelungów* Richarda Wagnera w reżyserii wybitnego inscenizatora niemieckiego, prof. Augusta Everdinga (kierownictwo muzyczne Roberta Satanowskiego, kostiumy Andrzeja Majewskiego). Już się odbyły premiery pierwszej i drugiej części dzieła: *Złota Renu* i *Walkirii*. ■ Początki na emigracji nigdy nie są najłatwiejsze. Najgorszym okresem dla każdego emigranta jest załatwianie formalności związanych z wyjazdem. Krajem „prześciowym” jest najczęściej RFN. Krajem docelowym Stany Zjednoczone. W Niemczech Zachodnich najbardziej znaną organizacją zajmującą się załatwianiem spraw związanych z dalszą emigracją jest *Polish American Immigration and Relief Committee (P.A.I.R.C.)* z centralą europejską w Monachium (od 1945 r.). W kwietniu tego roku P.A.I.R.C. „zrezygnował z pośredniczenia w procesach emigracyjnych do Kanady” (sformułowanie podawane w listach do emigrantów). Na placu boju jako jedyny cel podróży P.A.I.R.C. pozostały więc USA. Ograniczenie to spowodowało natłok podań do Ameryki, a tym samym wydłużyło czas oczekiwania na wizę wjazdową. Jednak główne kłopoty emigrantów są najczęściej innej natury. Przede wszystkim zaostrenie przepisów w stosunku do obcokrajowców w RFN zmieniło sytuację chętnych na wyjazd do USA. Dawniej (przed majem zeszłego roku) emigrant otrzymywał niewielki zasiłek od *Urzędu Socjalnego* oraz zakwaterowanie w hotelu. Od roku władze niemieckie zniosły tzw. *Duldung*, czyli „pobyt tolerowany” i wizy pobytowe na dłuższy czas wydają jedynie starającym się o azyl oraz tym, którzy podejmują stałą pracę. Sytuacja ludzi mających zamiar wyjechać do innych krajów jest dotąd niejasna. Podanie o azyl składają jednak wszyscy: inaczej nie otrzymają prawa pobytu, ani środków do życia. Dla władz niemieckich jest to o tyle wygodne, iż mają wszystkich obcokrajowców o nieuregulowanym statusie pod kontrolą (kandydaci na azylantów przebywają w obozach z zakazem ich opuszczania). Jednak dla ludzi chcących wyjechać na stałe do ciotki w Chicago jest to niezrozumiałe. Zmusza się ich po prostu do podejmowania decyzji (azyl), której nie chcą. Niezrozumiałe jest również postępowanie P.A.I.R.C., który przyjmuje wyłącznie podania od osób, które „złożyły wniosek o udzielenie azylu politycznego”. Organizacja ta nie wydaje również zaświadczeń o przyjęciu podania o wyjazd, co umożliwiłoby zapewne uzyskanie prawa tymczasowego pobytu bez potrzeby wędrowania do obozu (o ile oczywiście kandydat na emigranta jest w stanie zapewnić sobie środki do życia). P.A.I.R.C. zastania się w tym przypadku „nieuczciwością” emigrantów, którzy brali kiedyś takie zaświadczenie tylko po to, by móc pracować w RFN „na czarno”. Ale czy jest to powód by wszystkim utrudniać życie? Jednak najbardziej dotkliwe dla wszystkich emigrantów wybierających się za ocean jest oczekiwanie. Ostatnio czas ten wydłużył się bardzo znacznie. W listopadzie ub. roku władze USA wstrzymały „aż do odwołania” (mówi się o co najmniej roku) przyjmowanie podań o wyjazd od Polaków. Czekają więc na wszystko: — na przyjęcie podania — około roku; — na *interview* w konsulacie USA we Frankfurcie — około dziesięciu miesięcy; — na wyjazd (po pozytywnej decyzji władz USA) — od roku do lat dwóch. W sumie od momentu zarejestrowania się w P.A.I.R.C. do chwili wyjazdu upływają 3-4 lata. Na około 2.000 złożonych podań do Ameryki wyjeżdża jedynie około 200 emigrantów. Reszta pozostaje na tzw. lodzie. Osobną kwestią całej sprawy jest przymus złożenia podania o azyl do władz RFN. Często zdarza się, że kandydat na obywatela USA jeszcze przed ostateczną decyzją władz amerykańskich otrzymuje pozytywną na prośbę o azyl. W ciągu dwóch tygodni musi się zdecydować na przyjęcie azylu bądź jego odrzucenie. Z azylem politycznym uzyskanym w innym kraju nie można emigrować do USA. Z drugiej strony, ktoś kto odmówi przyjęcia azylu nie otrzyma pozwolenia na dalszy pobyt w RFN. A na decyzję władz amerykańskich cze-

kać można jeszcze długo — z niewiadomym wynikiem oczywiście. Kółko się zamyka. Na szczęśliwców, którzy dotrą do amerykańskich przedstawicielstw P.A.I.R.C. nie czeka jednak koniec kłopotów. Obecnie organizacja ta zajmuje się (jak powiedział dyrektor centrali monachijskiej p. Grabowski) załatwianiem zakwaterowań w pierwszym okresie pobytu emigranta w USA oraz szukaniem dla niego pracy. Nie wiem jak wygląda to teraz w praktyce, ale jeszcze kilka lat temu, na początku lat 80-tych, emigranci przybywający do Nowego Jorku pozostawiani byli samym sobie, i bardzo rzadko otrzymywali należne im jednorazowo 350 dolarów. Przyjmowano także tylko tych emigrantów, którzy posiadali w USA rodzinę, lub znaleźli sponsora gotowego utrzymywać ich przez pierwszy okres. Na papierze P.A.I.R.C. funkcjonował jako główny sponsor — praktycznie sponsorował kto inny. Jeżeli wyjątkowo otrzymał ktoś pieniądze (prawie nigdy nie była to cała suma) pracownicy nowojorskiego P.A.I.R.C. żądali od niego zwrotu zapomogi w ciągu dwóch lat, grożąc niekiedy nawet donosem do władz amerykańskich w razie nie oddania całej sumy. Podobno teraz sytuacja w samym P.A.I.R.C. wygląda dużo lepiej. Jednak nadal pozostają wątpliwości. Po wstrzymaniu przez władze USA przyjmowania podań od Polaków, P.A.I.R.C. postanowił „rejestrować” chętnych. Biorąc pod uwagę brak ostatecznego terminu zmiany decyzji władz USA w sprawie polskich emigrantów można zapytać o sensowność takiej „rejestracji”. Czy nie lepiej byłoby po prostu zamknąć biuro do chwili gdy Amerykanie odblokują wizy dla Polaków chcących osiedlić się na stałe w USA? Zaoszczędziłoby to wielu emigrantom niepotrzebnych złudzeń, oraz czekania bez końca na zmianę sytuacji* ■ W Loccum (Dolna Saksonia) odbyło się sympozjum na temat „przyszłości stosunków polsko-niemieckich”, w którym wzięli udział dziennikarze i politycy z RFN i PRL. Po raz pierwszy zaproszeni zostali przez stronę niemiecką (*Akademia Ewangelicka*) przedstawiciele polskiej prasy katolickiej: Andrzej Krajewski (*Gość Niedzielny*), Andrzej Kostarczyk (*Królowa Apostołów*), Janusz Reiter (*Przegląd Katolicki*) oraz Kazimierz Wóycicki (*Więź*). Nie było nikogo z *Tygodnika Powszechnego* — a szkoda. Obecność młodych dziennikarzy ożywiła nieco prowadzone w grupach roboczych dyskusje. W czasie sympozjum prezentowana była również książka Waldemara Kuwaczki pt. *Entspannung von unten — Möglichkeiten und Grenzen des deutsch-polnischen Dialogs (Odpężenie od dołu. Możliwości i granice polsko-niemieckiego dialogu)*, prezentująca niezależne polskie głosy (wprowadzenie napisał Władysław Bartoszewski) wobec kwestii stosunków między sąsiadującymi ze sobą narodami. Spotkała się ona z żywym zainteresowaniem uczestników również tych reżymowych z PRL. Ci ostatni (Daniel Luliński i Ryszard Drecki z *Trybuny Ludu*) zwrócili się do gospodarza sympozjum dr. Hartmuta Reicharda z protestem, żądając usunięcia w/w książki oraz osoby samego autora. H. Reichard nie uległ jednak tym naciskom (najostrzej występował Stanisław Cholewiak, *attaché* prasowy ambasady PRL w Kolonii), zezwalając na dalsze kontynuowanie prezentacji książki. Nadziejemy może napawać fakt, iż w ostatnim czasie strona zachodniemiecka coraz częściej stosuje zasadę „podwójnego dialogu”, tzn. rozmawia nie tylko z przedstawicielami reżymu, lecz również z reprezentantami środowisk niezależnych. ■ W *Pfalz-Akademie* w Lamprecht (Nadrenia-Palatynat) odbyła się pierwsza sesja — zainicjowanych przez prof. prof. Wilfreda Schlaua i Gottholda Rhode z *Uniwersytetu im. Jana Gutenberga* w Moguncji — spotkanie młodzieży polskiej i niemieckiej o nazwie *Hambacher Gespräche*. W jej trakcie wygłoszono szereg referatów stanowiących podstawę dyskusji: prof. G. Rhode mówił o stereotypach Polaków i Niemców, A. Ocacek wygłosił odczyt o tradycjach zamku w Hambach, w którym po Powstaniu Listopadowym odbyło się spotkanie niemieckich liberałów z polskimi emigrantami; Andrzej Wirga omówił

* A dlaczego o tych sprawach nie mówi Wolna Europa?

problemy związane z najnowszą polską emigracją w RFN, dr hab. A. Kneip niezwykle interesująco przedstawił problemy recepcji polskiej literatury w krajach zasięgu niemieckiego języka po roku 1945, wreszcie dr W. Oshlies zreferował zagadnienia katastrofy ekologicznej w Polsce. Inne wystąpienia: wieczór autorski Leszka Szarugi i dr. Lothara Herbsta; Jadwiga i Wacław Stawni opowiadali o swoich doświadczeniach w RFN i pracy radiowej; małżeństwo Ciesielczyków z Monachium mówiło o swoich kontaktach ze studentami niemieckimi oraz o trudnościach w rozumieniu przez tych ostatnich istoty trudności skomplikowanego życia w systemie komunistycznym. Spotkanie było zaledwie wstępem do wzajemnego poznania się, w żadnej mierze — choćby ze względu na zbyt krótki czas — nie pozwoliło rozwinąć dyskusji tak, by mogła ona wyczerpać przedstawione problemy. Niewątpliwie jednak doszło do nawiązania ważnych kontaktów, które pozwolą w przyszłości — następną sesją zaplanowana jest na jesień — skoncentrować się na kilku wybranych zagadnieniach. Spotkania te są ważne również ze względu na możliwość zbliżenia nowej polskiej emigracji do środowisk niemieckich zainteresowanych rzeczywistym, nie ograniczonym do sfery oficjalnej, dialogiem polsko-niemieckim. Grupa polskich uczestników sesji w Lambrecht była stosunkowo zróżnicowana, zarówno wiekiem jak i światopoglądem. ■ W NRD ukazał się podziemny almanach — *Oder. Literarische Texte* poświęcony w całości literaturze polskiej i stosunkom polsko-niemieckim. Na zawartość almanachu składają się teksty autorów polskich (Miłosz, Zagajewski, Krall, J. Baran, Mirski, Barańczak, B. Maj, Hartwig, Lipska, Brożek) oraz niemieckich (K. Weiss, G. Kunert, M. Bartoszek, O. Olszewski, M. Schütz, E. M. Ullam-Goertz, B. Petras, M. Jankowski, A. Mecklenburg, W. M. Bon-sack, R. Rosenthal, U. Kolbe, L. Rathenow, S. Bickhardt, L. Mehlhorn). Niezwykle interesujące są rozważania Bartoszka o temacie polskim w liryce NRD-owskiej, świetny jest też tekst prozatorski Jankowskiego o splocie polsko-niemieckich wątków w życiu narratora. Numer zamykają omówienia wyboru szkiców Michnika (zredagowanego przez Helgę Hirsch) — *Polnischer Frieden* oraz pierwszych numerów *Res Publici* Marcina Króla (zakon-czenie recenzji na temat tego pisma mówi, że jest to dla obywateli NRD jedna z inicjatyw, o których mogą tylko marzyć — naszym zdaniem *Oder* jest inicjatywą o wiele donioślejszą). Numer zredagowali, jak wynika ze wstępu, chemik i pisarz Michael Bartoszek (rocznik 1949), matematyk Lud-wig Mehlhorn (ur. w 1950 r.) oraz slawista Joachim Zeller (rocznik 1952). Wszyscy autorzy NRD-owscy, wyjąwszy Kunerta i Weissa, to ludzie urodzeni po wojnie, w latach 1947-1967. *Oder* uznać należy za jedno z najważniej-szych wydarzeń kulturalnych i chyba także politycznych w stosunkach pol-sko-niemieckich ostatnich lat. Autorzy almanachu nie tylko dokonali nie-zwykle wnikliwego i szerokiego wyboru polskiej literatury, ale także udowod-nili, że po drugiej stronie Odry istnieją dla Polaków autentyczne środowiska partnerskie. ■ Edmund Dmitrów wydał w *Czytelniku* solidną pracę pt. *Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków. Poglądy i opinie z lat 1945-1948*. Liczne przypisy, bibliografia i indeks nazwisk. Autor urodził się w 1949 roku. Książka, będąca debiutem wydawniczym autora, jest oparta na jego rozprawie doktorskiej. Praca ta miała dobre recenzje w polskiej prasie katolickiej. ■ Kolońska rozgłośnia *WDR 2* nadała audycję Jadwigi i Wacława Stawnych z okazji 155-tej rocznicy śmierci księcia Antoniego Radziwiłła. Autorzy przypomnieli w niej, że Radziwiłł był nie tylko pierw-szym kompozytorem, który skomponował muzykę do *Fausta* Goethego, ale w ogóle pierwszą osobą, która wystawiła *Fausta* na scenie. Audycja pp. Staw-nych została nadana jednocześnie w Kolonii, Hamburgu i Berlinie Zachod-nim. ■ Od kilku miesięcy działa *Wschodnioeuropejskie Seminarium Poli-tologiczne przy Wolnym Uniwersytecie (FU)* w Berlinie, którym kieruje prof. dr Helmut Wagner. Ostatnio odbyło się kolejne posiedzenie *Semina-rium*. Organizatorzy zaprosili goszczącego w tym semestrze na *FU* prof.

dr. Leszka Nowaka z Poznania (pozbawiony przez reżym kilka lat temu prawa do działalności naukowej i dydaktycznej na *Universytecie im. Ada-ma Mickiewicza* w Poznaniu). Prof. Nowak wygłosił niezwykle interesujący wykład, prezentujący jego wieloletnie przemyslenia, dotyczące teorii władzy. Jego prelekcja wywołała w zaproszonym gronie burzliwą dyskusję. Stroną organizacyjną *Wschodnioeuropejskiego Seminarium* zajmuje się asystent prof. Helmuta Wagnera — dr Waldemar M. Głogowski. ■ Jadwiga Janus, artysta-plastyk z Łodzi, uczennica prof. Xawerego Dunikowskiego, wysta-wiała swoje płótna olejne we *Wschodnioeuropejskim Centrum Kulturalnym IGNIS* w Kolonii. ■ Stanisław Kociołek, b. członek *Biura Politycznego KC PZPR*, działacz państwowy i dyplomata, wyładował bezszelestnie na stanowisku redaktora naczelnego kwartalnika *Polnische Perspektiven*, który na nowo ukazuje się po różnych zabiegach reanimacyjnych. ■ *Ziom-kostwo Ślązaków* wybrało ponownie na przewodniczącego Herberta Hupkę, który piastuje to stanowisko od 1968 roku. Wybór — jak mówi dokument zjazdowy — jest dowodem pełnego zaufania Ślązaków do Hupki. W rzeczy-wistości polityczna kariera przywódcy Ślązaków załamała się już kilka lat temu. Najpierw *CDU* nie umieściła go na centralnej liście wyborczej i Hup-ka utracił mandat w *Bundestagu*. Następnie nie wybrano go do prezydium partii ze względu na podeszły wiek — jak głosił komunikat oficjalny. ■ Józef Czyrek, członek *Biura Politycznego*, przebywał w Bonn na zaproszenie przewodniczącego *Komisji Zagranicznej Bundestagu*, Hansa Sterckena. Czy-rek w wywiadzie dla konserwatywnej *Die Welt*: „Reforma wymaga dopa-sowania standardu życia do możliwości ekonomicznych, życia na własny ra-chunek, co wywołuje niezadowolenie szerokich mas społeczeństwa w związku ze strukturą cen i płac; PRL poniosła straty w wysokości 15 mld dolarów na skutek zachodnich sankcji. (...) Polska życzy sobie nowych kredytów z RFN”. Ich wysokość nie była jeszcze dyskutowana, ale podobno mają to być wyłącznie kredyty inwestycyjne, a nie konsumpcyjne. Tymczasem kane-lerz Kohl uzależnił swoją podróż do Polski od wypełnienia przez Warszawę zobowiązań kredytowych i zagwarantowania praw dla mniejszości niemieckiej w PRL.

Andrzej J. CHILECKI

ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM

Pani M.U. (Oberursel, RFN). — Firma Aesculap z Krefeld zamieściła w *Kulturze* płatne ogłoszenie. W żaden sposób nie jesteśmy z tą firmą związani i nie ponosimy odpowiedzialności za rzetelność załatwianych przez nią transakcji handlowych.

A. J. Chilecki

Kronika litewska

W nielegalnym polskim krajowym wydawnictwie *ABC* znajdujemy wnik-liwe uwagi o życiu Polaków na Litwie, których liczba powoli się tam zmniej-sza. Zdarzają się wypadki polonizacji Litwinów, ale rzadko. Polscy inteli-genci litwinizują się, pracując w instytucjach litewskich, natomiast robotni-cy i wieśniacy rusyfikują się. Wieś na Wileńszczyźnie miała mało Litwi-

nów, a wywiezionych i repatriowanych Polaków zastąpili Rosjanie, toteż wieśniacy mało mieli okazji do litwinizowania się. Nieliczna polska inteligencja różni się od dawnej kresowej (pańskiej). Są to inteligenci w pierwszym pokoleniu. W Kościele nie ma żadnej polskiej propagandy. Małe możliwości działania ledwo wystarczają na podtrzymywanie wiary. Coraz więcej polskich parafii jest obsadzanych przez księży litewskich, a do seminarium kowieńskiego Polakom trudno się dostać, bo potrzebna jest litewska matura i przełamanie oporu Litwinów, także odczuwających dotkliwy brak księży. Litewscy księża w polskich parafiach przeważnie język polski znają bardzo słabo, a ich stosunek do Polaków bywa rozmaity: poprawny lub nacjonalistyczny.

W listopadzie ub. roku występował w Warszawie zespół folklorystyczny „Wilnia”, przybyły z Wilna. W programie wykonywane były polskie tańce regionalne, gdyż Polacy litewscy nie mają swojego tańca regionalnego. Były też piosenki w językach białoruskim i litewskim.

W styczniu br. występował w Warszawie Wileński Teatr Opery i Baletu, dając z wielkim powodzeniem osiem przedstawień. Na przedstawieniu był gen. Jaruzelski. Na uroczystości 600-lecia chrztu Litwy w Wilnie litewscy dziennikarze z wolnego świata nie zostali dopuszczeni, natomiast z bratniej PRL mogli przybyć, toteż zdjęcia z tych uroczystości można znaleźć w polskiej prasie krajowej, a nie w litewskiej, ani na wschodzie, ani na zachodzie.

Pomimo uchwał organizacji amerykańskich Litwinów o ograniczeniu stosunków z Litwą do kontaktów osobistych, kulturalne więzy z krajem znacznie się ożywiły. W kraju ukazały się wydawnictwa autorów emigracyjnych, intelektualiści z kraju przyjeżdżają na zjazdy postępowej inteligencji w USA. Odbywają się wymienne wystawy obrazów oraz wymiana wizyt śpiewaków z oper w Chicago i w Wilnie. Na kursy lituanistyki w Wilnie jest więcej kandydatów ze świata niż miejsc.

Według oficjalnych statystyk ludność Republiki Litewskiej wzrosła w latach 1984-1987 z 3.539 tys. do 3.641 tys., czyli o 102 tys., na co złożyło się 62 tys. przyrostu naturalnego i 40 tys. imigracji słowiańskiej. W procentach trzyletni wzrost zaludnienia wyniósł 2,9 %, czyli prawie 1 % rocznie. Statystyka wykazywała, że w roku 1979 większość Litwinów — 52 % — znała dobrze język rosyjski, a 37 % Rosjan osiadłych na Litwie znało język litewski. Napływ imigrantów jest częściowo neutralizowany przez wysoki przyrost naturalny ludności litewskiej, przy mniejszym napływowej ludności rosyjskiej, która w znacznej mierze rekrutuje się z pracowników nie osiedlających się tu na stałe. Do Estonii np. przybywa rocznie około 50 tys. Rosjan, a wyjeżdża około 40 tys., toteż tam tylko 13 % Rosjan zna język estoński. Na Litwie mieszkają oni przeciętnie dłużej, a więc procent mówiących po litewsku jest większy.

Zakończono budowę autostrady Wilno-Kowno-Kłajpeda. Do Kłajpedy przyjeżdża co roku kilka tysięcy turystów z Niemiec Wschodnich, a ostatnio także kilkuset z Niemiec Zachodnich. Nie mają oni wstępu do okręgu kaliningradzkiego (dawne Prusy Wschodnie). Dla turystów mają być udostępnione ośrodki w Wilnie, Kownie, Kłajpedzie, Trokach, Druskiennikach, Połdze i Poniewieżu. W Kownie polska firma ma zbudować wielki hotel.

W Wilnie powstał w 1983 roku pierwszy w Związku Sowieckim korpus kadetów, z czarnymi mundurami i czerwonych wyłogach, takich jakie noszono w korpusie założonym przez Suworowa. W tym roku przyjęto stu kadetów spośród 300 kandydatów. Pierwsi absolwenci rozjechali się do rozmaitych szkół oficerskich.

A. Gureckas, przedstawiciel jednej z konkurujących z VLIK-iem grup, powiada, że litewskie organizacje w kraju mają pewien kontakt z bojownikami o wolność w Łotwie, Estonii i na Ukrainie. Białorusini domagają się

Wilna, więc z nimi współpraca jest niemożliwa, zaś Polacy nie są wymieniani wśród ewentualnych sojuszników. Emigracja może działać na tym odcinku, toteż były prowadzone nieobowiązujące rozmowy z czterema polskimi organizacjami, które uznały obecne granice PRL z jej wschodnimi sąsiadami. Należy uzyskać poparcie tych polskich organizacji celem wywarcia nacisku na Watykan, aby archidiecezja wileńska została włączona do prowincji litewskiej. Dalej rzecznik „Światowej Litewskiej Społeczności” oświadczył, że interesy litewskie są zgodne z Niemcami w sprawie Prus Wschodnich i Małej Litwy. Litwini chcieliby powrotu Niemców do Królewca.

Fala demonstracji w krajach bałtyckich rozpoczęła 23 sierpnia 1987 wciąż trwa. Okazji do tego dostarczyły: święto Matki Boskiej w Szydłowie dnia 8 sierpnia 1987, następnie obchody 125-lecia litewskiego poety Maironisa w kowieńskiej katedrze i wokół niej, gdzie zebrali się w dniu 1 listopada 1987 ponoć osmiotysięczne tłumy (gdzie dygnitarz komunistyczny, próbujący tam dyskutować z tłumem, został wygwizdany). Wkrótce potem nadeszła rocznica niepodległości Łotwy i wreszcie, w lutym, rocznice niepodległości Litwy i Estonii. Litewscy dysydenci przestali się bać i oficjalnie informują telefonicznie ośrodek w Strasburgu o zamiarach protestowania, więc sowieckie środki przekazu nie mogą tego przemilczeć. Bałtowie korzystają z tego, że surowe represje skompromitowałyby Gorbaczowa, jego *glasnost* i rzekome złagodzenie kursu. Prawie we wszystkich kościołach na Litwie odbyły się w 70-tą rocznicę ogłoszenia niepodległości nabożeństwa „za Ojczyznę”. Rocznicą przypadła we wtorek 16-tego, a w kościołach akcenty polityczne, jak śpiewanie starego hymnu litewskiego, były po nabożeństwach w obie niedziele 14-go i 21-go. W czasie ostatnich manifestacji powiewały litewskie flagi narodowe (ciekawe, że na dwóch gmachach szkół technicznych policja pospiesznie je zrywała).

Sowieckie sposoby walki z tymi manifestacjami: nękanie uczestników, zwłaszcza przywódców, nie w czasie demonstracji, a później. Uczestnicy są fotografowani i później wyłapywani, aresztowani, straszeni, bici, albo w komisariatach, albo przez nieznaną sprawców. Najczęściej kończy się na kilkudniowych aresztach, na dozorce policji, wzywaniu na przesłuchania w dniu przewidzianej demonstracji. Zdarza się i tak, że niesfornych dysydentów wyprawia się za granicę. Studenci są usuwani z uniwersytetów. Zajmujący odpowiedzialne stanowiska — usuwani z posad.

W odróżnieniu od Łotwy, gdzie nawet sekretarz łotewskiej partii komunistycznej nie mówi po łotewsku, na Litwie biurokracja rekrutuje się przeważnie z Litwinów. Tylko obiekty ciężkiego przemysłu (podporządkowane Moskwie) i transport mają znaczną przewagę rosyjską.

Ostrożni Litwini odnoszą się do *glasnosti* na ogół nieufnie i wyczekująco. Większość uważa, że zmiany struktury gospodarczej i powiązania z rosyjskim zapleczem czynią powstanie niepodległej i kapitalistycznej Litwy mało prawdopodobne i niewykonalne.

Zacytujmy relację o obchodach niepodległości Litwy, w dniach 14-16 lutego 1988. W sobotę 13 lutego 1988 wieczorem paryska centrala podała, że Moskwa czasowo przerwała komunikację telefoniczną z Paryżem. W niedzielę rano zostały wyłączone telefony w mieszkaniach czołowych dysydentów wileńskich, jak Nijole Sadunaite, Cidzikas, Bogušis, Terleckis i in., a oni sami umieszczeni w osobnych celach urzędu bezpieczeństwa, przesłuchiwani i znacznie później wypuszczeni. We wtorek rano autobusy przywoziły do Wilna z prowincji paruset młodych ludzi w cywilu do robienia spontanicznych odruchów lojalnego tłumy.

W Kownie było więcej aresztowań — m.in. popularnej pieśniarki Sibonienė oraz Borisa Ražasa. Ražasa został skazany na 12 dni aresztu, gdzie rozpoczął głodówkę. W następną niedzielę zebrano się około 250 osób przed katedrą kowieńską, głosząc swą solidarność z Ražasem.

Manifestacje na Litwie obejmują już i mniejsze miasta. W Szawlach

dn. 14 lutego 1988 odprawione zostało w kościele parafialnym nabożeństwo za Ojczyznę, w czasie którego ks. Grażulis (brat skazanego dysydenta) wygłosił patriotyczne kazanie, pod koniec przy wyłączonym mikrofonie i wygaszonych światłach (ostrożny proboszcz bał się narazić władzom). Po nabożeństwie złożono wiązanki kwiatów na grobach ochotników walk o niepodległość, p. Poskienie z Komitetu Helsińskiego (niegdyś komunistki, później nawróconej), jej ojca (działacza katolickiego) i powstańców 1863 roku. Jest to symptomatyczne, gdyż w okresie międzywojnia nigdy nie nawracano do tradycji „za naszą i waszą wolność”, a okres powstania nazywano „polskimi czasami”.

W roku 1987 zarejestrowano na Litwie 378 tys. prywatnych samochodów, czyli 104 na tysiąc mieszkańców. Pod względem stopnia motoryzacji pierwsze miejsce w Związku Sowieckim zajmuje Estonia, drugie Litwa, trzecie Łotwa i czwarte Gruzja.

Z okazji 70-lecia niepodległości litewskie „czynniki” otrzymały wyrazy poparcia podpisane „Liberalno-Demokratyczna Partia Niepodległość. Kolektyw wydawnictwa Nowa Koalicja. Warszawa 1988”. Pełny tekst został w litewskim tłumaczeniu podany w litewskiej prasie na emigracji.

W Kownie nadal istnieje niegdyś szwedzka papiernia, obecnie zarezerwowana do wyrobu najlepszych gatunków papieru, np. na encyklopedie. Dostała ona zamówienie na dostawę najlepszego papieru na polskie wydanie dzieł Lenina.

Presja zainteresowania historią „bez białych plam” odnosi pewne sukcesy. Od roku 1959 wykładano w szkołach jedynie historię Rosji i Związku Sowieckiego. O tym, że carska polityka była russyfikacyjna nie było ani wzmianki. Pewien uczestnik wycieczki do Polski po raz pierwszy na Wawelu zobaczył litewską „Pogoń” i dokumentację, że wielki książę Witold, to nie postać mityczna. Po latach wprowadzono dodatkowo historię Litwy, ale tylko od czasu opanowania jej przez rządy komunistyczne. Wykłady w szkołach odbywały się dwa razy na tydzień, a obecnie mają być trzy razy. Jak opracować nowe podręczniki? Przecie nie można się obejść bez Rosjan? Trzeba więc ustalić teksty po rosyjsku i następnie przetłumaczyć na litewski.

E. ŻAGIELL

Kronika czeska i słowacka

Nowymi rzecznikami Karty 77 zostali Stanislav Deváty (36 lat, robotnik z Gotvaldova, członek VONS-u, Miloš Hájek (67 lat, historyk ruchu robotniczego, w latach 1941-1970 członek partii komunistycznej) i Bohumir Janát (39 lat, filozof i psycholog, pracuje jako robotnik). Zastąpili oni Jana Litomiskiego, Libušu Silhanová i Josefa Vohryzka, którzy pełnili te funkcje w roku ubiegłym.

W dalszym ciągu zbierane są podpisy pod petycją do władz czeskosłowackich, domagającą się poszanowania swobód religijnych i rozdzielenia Kościoła od państwa. Ich liczba zbliża się już do pół miliona. 25 marca w godzinach popołudniowych na Hvězdoslavovym náměstí w Bratysławie zgromadziło się kilka tysięcy wiernych, by demonstrować w imię swobód

religijnych i poszanowania praw ludzkich. Gdy o godz. 18-tej zebrani zapalili świece i zaczęli śpiewać pieśni, zostali brutalnie zaatakowani przez słowacką milicję. Kilkaset osób zostało aresztowanych, pomiędzy nimi również dziennikarze austriacy i Niemiec. Prymas Czechosłowacji, kardynał Tomašek, który nie oczekiwał tak ostrej reakcji władz, stwierdził, iż tego rodzaju postępowanie umacnia tylko wiernych w ich przekonaniach.

10 kwietnia rozpoczęły się w Rzymie rozmowy władz czeskosłowackich i watykańskich. Jednym z najważniejszych omawianych problemów była kwestia obsadzenia wakujących siedzib biskupich. Dotyczy to 10-ciu z 13-tu diecezji w Czechosłowacji. Pod koniec miesiąca władze zgodziły się wreszcie na nominację administratora apostołowskiego słowackiej archidiecezji w Trnawie oraz dwóch biskupów sufraganów w archidiecezji praskiej. Od 29 kwietnia rozmowy są kontynuowane w Pradze.

26 kwietnia w więzieniu w Hradec-Kralove zmarł w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach Pavel Wonka, 35-letni mechanik samochodowy, który w roku 1985 za próbę kandydowania do czeskosłowackiego parlamentu skazany został na 21 miesięcy więzienia i trzy lata milicyjnego nadzoru. Wonka wyszedł z więzienia 26 lutego br., ale już 5 kwietnia został ponownie aresztowany i 20 kwietnia skazany na pięć miesięcy pozbawienia wolności. Tydzień później jego matka została poinformowana o śmierci syna. Międzynarodowa Federacja Helsińska Praw Człowieka stwierdza, iż Pavel Wonka nie cierpiał na żadną chorobę mogącą prowadzić do śmierci i domaga się od władz Czechosłowacji obiektywnego zbadania okoliczności jego zgonu, w których mógłby uczestniczyć również prof. Rainer Henn z Innsbrucka.

Karta 77 zwróciła się z apelem do społeczeństw pięciu krajów, których wojska brały udział w agresji na Czechosłowację w sierpniu 1968 roku o przeprowadzenie akcji (dyskusji publicznych, zbierania podpisów pod oświadczeniami itp.), które miałyby zwrócić uwagę władzom tych państw na bezprawność ich poczynań sprzed dwudziestu lat.

W Jeleniej Górze spotkali się 1 marca wicepremierzy PRL, CSRS i NRD odpowiedzialni za ochronę środowiska. Dyskutowali o dramatycznej sytuacji ekologicznej tych państw, a w szczególności Sudetów i sąsiadujących z nimi obszarów. Z tej okazji Solidarność Polsko-Czechosłowacka wystosowała apel do wicepremiera Józefa Koziołka o zaniechanie wspólnej polsko-czeskiej inwestycji na szczycie Śnieżki: budowy kolejki linowej i rozbudowy schroniska, która może pociągnąć za sobą katastrofalne skutki dla całego przylegającego terenu Karkonoskiego Parku Narodowego.

Przebywający z wizytą w Czechosłowacji David Radford z brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych chciał się 4 marca spotkać z przedstawicielami Karty 77 i innych ugrupowań niezależnych. Spośród kilkunastu zaproszonych na przyjęcie do domu jednego z pracowników brytyjskiej ambasady dotarło tylko dwóch, Stanislav Devaty i Peter Uhl. Pozostali zostali

aresztowani w domach lub w drodze na przyjęcie. Devatego i Uhla aresztowano natomiast po przyjęciu, w chwili gdy wysiadali z samochodów należących do ambasady brytyjskiej. Wielka Brytania stanowczo zaprostestowała przeciw takiemu postępowaniu władz CSRS.

Peter Pilz, deputowany do parlamentu austriackiego z ramienia partii Zielonych, spotkał się z przedstawicielami Karty 77 podczas swego pobytu w Pradze 16 i 17 marca. Zieloni zainteresowani są współpracą z czechosłowacką opozycją, a w szczególności pdjęciem wspólnych działań przeciw budowie węgiersko-czechosłowackiej elektrowni wodnej na Dunaju Gabčíkovo-Nagymaros.


„Niedozwolone opuszczenie Republiki”, czyli pozostanie poza granicami CSRS bez zgody władz czechosłowackich nie będzie w przyszłości czynem zagrożonym z paragrafu 109 kodeksu karnego wyrokiem do trzech lat pozbawienia wolności. Takie pogłoski pojawiły się po ostatnim plenum KC. Rząd czechosłowacki zamierza rzekomo wprowadzić także ułatwienia w podróżach na Zachód. Już teraz każdy obywatel CSRS może zostać zaproszony przez kogoś mieszkającego na Zachodzie, nawet jeśli nie jest z nim spokrewniony. „Jedynym” warunkiem jest, że osoba zapraszająca musi uprzednio wpłacić na konto zapraszanego 20 dolarów za każdy dzień pobytu za granicą.

Po raz pierwszy władze czechosłowackie zrezygnowały z realizacji jakiegos zamierzenia gospodarczego ze względów ekologicznych. Elektrownia wodna na rzece Berounka, na zachód od Pragi, nie będzie budowana, gdyż w ten sposób uległyby zniszczeniu zachowane od epoki lodowcowej flora i fauna doliny tej rzeki.

Teatr 38 w Krakowie wystawił sztukę „Audjencia” Vaclava Havla w przekładzie Andrzeja Jagodzińskiego i realizacji Piotra Szczerskiego.

A. M. P.

We Wiedniu, 3 maja 1988 r.



**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU PKO
BONY DOLAROWE -
KONTA „A” DEWIZOWE**
Zwykłe i Telegraficzne
**LEKARSTWA - SAMOCHODY -
ŻYWNOSĆ - TELEWIZORY - VIDEO**
**EMERYTURY - SPADKI -
REPATRIACJE**

42 LATA DOŚWIADCZENIA
81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919

HASKOBA Ltd.

Kronika kulturalna

Jakby na opak

Kiedy czytałem Gombrowicza dzienniki w latach pięćdziesiątych, przyjmowałem je inaczej niż większość polskich czytelników, którzy albo oburzali się, albo bawili się doskonale, bo takie dzikie rzeczy wygaduje, tak błazenuje, z przesady robiąc metodę swoich figłów. Jednak coś polskiego było wtedy w moim odbiorze. Jego *Diary** (obejmujący pierwszy tom *Dziennika*) przeczytany teraz w wiernym przekładzie z polskiego oryginału pióra Lillian Vallee, jest zupełnie innym doświadczeniem i dzięki dystansowi lat i dystansowi angielskiego języka. Co byłem wtedy skłonny odliczać na nakazy szczególnej formy, pół-wyznań i pół-konstruowania samego siebie, ukazało mi się jako mówienie wprost, do potomnych czy, wyrażając się górnio, w obliczu wieczności, jako wysiłek zdobycia się na nagą prawdę. I przyznam się, ta książka mnie przeraziła. Zapytałem siebie, jak to możliwe, żeby taki pisarz trafił do Polski, żeby wystawiano jego sztuki, żeby poświęcano mu setki studiów i artykułów? A może Rita nie powinna była w ogóle pozwolić na druk jego książek tam? Choć niewiele by to pomogło, schwycili go już, jako idealny materiał do roztrząsań profesorskich, strukturalistycznych, psychoanalitycznych, bachtinowskich itd. Rita Labrosse-Gombrowicz jest dla mnie dowodem, że jego intuicja i wyczucie stylu były błędne, również kiedy chodziło o dobór ludzi mu bliskich. I zamiast grzebać się w jego rzeczywistych czy urojonych dewiacjach erotycznych, wypadałoby po prostu stwierdzić, że na towarzyszkę życia wybrał kobietę o wielkim uroku i inteligencji i że jej w testamencie przekazał opiekę nad swoim dziełem. Nie zawiódł

* Witold Gombrowicz, *Diary*. Volume I. General editor Jan Kott, translated by Lillian Vallee, Northwestern University Press, 1988.

się. Dbała o to żeby został spełniony jego warunek: albo wydadzą wszystkie jego książki w całości, łącznie z *Dziennikiem* albo żadnej. Kiedy wreszcie doszło do umowy z Wydawnictwem Literackim, umowa nie została dotrzymana, bo *Dziennik* ukazał się z pewnymi cięciami cenzury. Ja jednak nie jestem pewien czy sam autor, gdyby mógł wiedzieć czym jest dzisiaj kraj do którego pośmiertnie wrócił i co w jego dziele znajdują, czy ten autor nie wolałby żeby Polacy go nie czytali.

A może mnie jest sądzone wystąpić w obronie mego nieśczęsnego kolegi? Przed, jak to nazywał, upupieniem i przeklętym zdrobnieniem, czyli przed wrywaniem mu zębów i pozabawianiem jadu. Gombrowicz dla mas? W wielkich nakładach urzędowych (cenzurowanych) i podziemnych (bez cenzury)? Tam, gdzie głupia zabawa w cenzora i czytelnika nadal zaprzęta uwagę, gdzie pokazanie języka władzy uchodzi za akt umysłu? Gombrowicz dla mas, wśród bicia dzwonów, pobożnych pień, procesji z feretronami, pałek milicji, powszechnej niemożności, stylu życia ni z pierza ni z mięsa? Jak, do czego może tam służyć taki prorok?

Kiedy przeczytałem uczone dzieło z mnóstwem przypisów pt. *Gra w Gombrowicza* Jerzego Jarzębskiego, powiedziałem sobie: musiał być wielkim pisarzem, jeżeli trzeba było aż 500 stron, żeby go unieszkodliwić. Nie kwestionuję wcale ogromnej erudycji tego badacza literatury ani trafnego wydobywania elementów ciągłej gry, rzeczywiście w dziele Gombrowicza obecnych. I ostatecznie lepsze takie, z natchnień strukturalistycznych poczęte, rozbiory, niż pożał się Boże psychoanalizy dla ubogich duchem. A przecie nie o taki swój obraz Gombrowiczowi chodziło.

Jeżeli sądy wypowiedane w *Dzienniku*, ostre i kategoryczne, weźmiemy dosłownie — a nic nas nie upoważnia dzisiaj do rozbicia z nich żartów — wynikną z tego konsekwencje.

Dwadzieścia bez mała lat po swojej śmierci Gombrowicz swoim *Diary* wyrusza na podbój Ameryki. Trzeba bowiem szczerze powiedzieć, że jego powieści nie chwyciły, czego powodem były i przekłady — nie z oryginału, przez tłumaczy polskiego nie znających — i trudność czającej się w tych powieściach filozofii, jak o tym przekonałem się sam, dostarczając moim studentom do nich klucza. Tym bardziej sztuki — *Ślub* i *Operetka*, choć pięknie przełożone przez Louis Iribarne'a, ale trudne do wystawienia, pozostały prawie nieznanne. *Diary* ma szansę trafienia do całej Ameryki uniwersyteckich kampusów i artystycznych środowisk, co razem liczbowo jest sporo. Pewne przemiany świadomości w ciągu ostatnich dekad powinny mu sprzyjać, a zaliczyłbym tutaj na przykład ślady pozostawione przez rebelię młodzieży lat sześćdziesiątych, lekturę Marcuse'a i w ogóle marksizowanie tamtego

pokolenia, które wtedy było studentami. Prawdopodobnie Gombrowicz włącza się tutaj gładko w znajomy nihilizujący proces, który towarzyszy na Zachodzie wspaniałym postępowi nauki i techniki. Przypuszczalny wpływ *Diary* widziałbym w jego zaraźliwej i przez to wyzwalającej śmiałości, zwłaszcza wobec tak zwanej kultury traktowanej trochę jak święta krowa, czy będą to koncerty, wystawy malarskie, czy mnożące się choć nie czytane przez nikogo tomiki wierszy. Innymi słowy, tam gdzie publiczność jest onieśmielona, pokorna wobec twórców i odtwórców, Gombrowicza wezwanie do oparcia się na własnym smaku może — tutaj też — wzmacniać jednostkę w jej zmaganiach z różnymi wysokiego kalibru konformizmami i snobizmami, przyczyniając się w ten sposób do swobodniejszego obcowania z literaturą i sztuką. Czy i jak myśl głębsza, tej śmiałości w *Diary* patronująca, będzie przyjęta (a w kraju socjologów może ująć za oczywistość) trudno wyrokować.

Ale połowa chyba książki poświęcona jest polskiej literaturze czy wręcz Polsce i powinni zaryczeć z bólu Polacy, bo przecież Gombrowicz załatwia swoje porachunki przed cudzoziemcami, na oku wszystkich, nie zostawiając na polskości suchej nitki. Znęcając się nad Sienkiewiczem, a nawet podgryzając Mickiewicza, odpisując na straty Żeromskiego, Wyspiańskiego, Kasprowicza, wzdurliwy zarówno wobec Skamandra jako grupy bez znaczenia dla duchowego rozwoju kraju jak wobec potworkowatych jego zdaniem awangard, pozbawia swoich współplemieńców literatury godnej tego imienia, znajdując w niej tylko samoułudeż zwyciężonych potrzebujących pociechy. Twierdzi, że zacczarowani przez Sienkiewicza, który stworzył wzór polskiego piękna i polskiej cnoty, uchronili się Polacy od kontaktu z fermentem umysłowym, który poruszał Zachodnią Europę i Rosję. Tym też tłumaczy się, że nigdy nie przeżyli marksizmu. Został on im z zewnątrz narzucony, ale jak notuje Gombrowicz w 1956 roku, Francja i Włochy silniej go przeżyły niż Polska, „najmniej marksistowski kraj na świecie”.

Polska lat 1918-1939 nigdzie nie znalazła równie ponurego świadectwa jak w *Diary*. Klasy społeczne z „sarkastycznego snu”, powszechna niemożność spełnienia się, „diaboliczne dysonanse” na wsi, a w mieście kawiarnie pełne ludzi porównanych do rachitycznych drzewek na piasku, razem „orgia nierzeczywistości”. I pisarze nie umiejący dotrzeć do tej Polski prawdziwej, przymierzający ideologie, która bardziej do twarzy, powieść pisana przez kobiety, babia w kształtach i sentymentach, Witkacy zgubiony przez wzięty poważnie swój demonizm, tak jak przedtem zgubił się w swoim demonizmie Przybyszewski. A później, kiedy się dokonało, pisarze polscy nagle ocknęli się w klatce, nie rozumiejąc co się z nimi dzieje. I nie da się o nich powiedzieć nic więcej

ponad to, że mają słabe, ledwo-ledwo uchwytnie istnienie, podczas kiedy tylko on, Gombrowicz, może być pewny: istnieje.

Mało? Rodzinne wstydlive sekrety wywleczone przed publikę, która nie odznacza się sympatią do tego kraju, a nawet jest zawsze skłonna brać stronę jego nieprzyjaciół. „Polska... kraj w którym trudno sobie wyobrazić albo przesadzić rozmiary oraz rozmaitość ludzkiej nędzy (*wretchedness*)”, (Sir N. W. Wraxall *Memoirs of the Courts of Berlin*, 1779). „Polacy są najgorszym i najbardziej niebezpiecznym rodzajem oszustów, bo umieją oszukiwać samych siebie”, (Sir Robert Bruce Lockhart, *Diary*, 6 January, 1944).

Pokazują jak Gombrowicz maluje Polskę wcale nie po to żeby rozedrzeć szaty i nazwać go ptakiem, który własne gniazdo kala. Późno na zegarze świata i koniec na zawsze przywdziewaniu wytwornych kostiumów dla cudzoziemskich oczu, chwaleńcu siebie, bo nikt nas nie chce chwalić, obnoszeniu się z genialnymi dziełami, o których wie się, że nie są tak znowu bardzo genialne. Kiedy dosięga się dna, trzeba wiedzieć, że jest się blisko dna albo na dnie i że nie ma się wiele do stracenia prócz prawdy. Ale też nie wypada niczego łagodzić, uważając, że takie obnażanie jak jego nie jest okrutne.

Gombrowicz obnażał żeby reformować. Chciał przerobić Polaków, wyzwolić ich od zupełnej zależności od bogini, tej „która zdycha, zdycha i zdechnąć nie może”, postawić każdego z nich wobec podstawowych zagadnień ludzkiego istnienia, zmusić do spotęgowania w sobie indywidualium przeciwko cywilizacji z gruntu towarzyskiej, kolektywistycznej, w której jednostka jest słaba. Trudno uniknąć pytania czym jest taki jego program dzisiaj, po katastrofie, której rozmiary nie przeniknęły jeszcze do naszej świadomości. A katastrofa ta przypomina nieco przygodę z *Ferdynandem* kiedy to dorosły człowiek jeszcze raz jest zmieniony w dziecko i posłany do szkoły. Do grudnia 1981 roku nie posługiwano się na ogół pojęciem narodu walczącego przez dwieście lat żeby wybić się na niepodległość. Było to, słusznie czy niesłusznie, zostawione „niezłomnym”. W półmroku, na ni to czarnym ni białym polu, działały jako tako emocjonalne wezwania socjalizmu i jakby wiara w suwerenne, choć tylko cząstkowo, państwo. Powszechne przyjęcie terminologii narodu (albo Narodu) uciemienzonego — bo przecież i rząd zaczął powoływać się już nie na socjalizm, ale, niby Pétain, na „rację stanu” — oznaczało regres do czasu rozbiorów i powstań, podkreślam, regres świadomości. Czyli znów pora rozpaczy, beznadziei i szukania za wszelką cenę pociechy: w wizytach papieża, w pielgrzymkach do Częstochowy, w Sienkiewiczzu zapewne skoro literatura nie umie już krzepić serc. Polacy znowu „żywcem zapeklowani” i gdzież ich tam wy-

dobywać spod nacisków kolektywu, kiedy znają tylko jedno: swoją polskość.

Spotkanie jednostki ze swoim losem, ze swoją śmiercią. Gombrowicz był ateistą ale miał uznanie dla katolicyzmu za jego pesymistyczną wizję człowieka, którego natura jest zła i którego uratować może tylko Łaska. Do polskiego katolicyzmu natomiast odnosił się niechętnie. Jest to jego zdaniem religia dzieci chroniących się pod opiekę Ojca, bo bez opieki straszno, odmowa zobaczenia zła w świecie, ogrodzie Pana Boga, czyli odsunięcie zła *na zewnątrz*. Niezależnie od Gombrowicza nieraz o tych cechach polskiej religijności pisałem. Ale istnieje też pod pokrywką religijności polska anty-metafizyczność, która skłoniła pewnego amerykańskiego profesora do określenia: „kraj niewierzących ale praktykujących”. Dla Gombrowicza wartości religii jako absolutne nie powinny być poddawane celom doraźnym. „Bóg jako pistolet z którego chcecie zastrzelić Marksa” nie będzie Bogiem prawdziwym.

Można smakować w Gombrowiczu, w jego języku, w jego humorze, w jego niezwyklej inteligencji, w kunszcie z jakim są skomponowane jego utwory. A przecież są one wsparte na jego światopoglądzie, wywodzą się z jego filozofii, której nie przekazywał w terminach specjalistycznych, świadomy, że nie jest człowiekiem teorii ale stylu. Kto go czyta, kupuje jego myśl o świecie, świadomie albo nieświadomie. I trudno się zgodzić z tymi, którzy chcieliby odciąć od *Dziennika* jego sztuki i powieści.

Gombrowicz w *Diary* ukazuje się jako pesymista integralny. Jego stronice przejmują jako obraz walki, którą prowadził ze swoim strachem, nie strachem śmierci ale starzenia się i bólu. Stąd jego tragiczne przeciwstawienie: z jednej strony brzydota i wiedza dojrzałości, z drugiej piękno i naiwność młodości. Jego pogląd na istnienie jako ból, jako *natura devorans* i *natura devorata*, pochodzi od Schopenhauera, któremu hołd nieraz składał. Jemu też zawdzięczał myzoginiczny pogląd na miłość — powab kobiety jako podstęp gatunku — jak również swoją teorię sztuki — geniusz przeciwstawiony umysłom niższemu, kontemplacja bezinteresowna, „obiektywizacja”. Można by cytować całe stronice Schopenhauera jako komentarz do *Diary*. Ale Schopenhauer w dwudziestym wieku to również jego uczeń Nietzsche, z linią przedłużającą się do Tomasza Manna, przynajmniej gdzie mowa o geniuszu. W Polsce te nazwiska były dobrze znane, ale nie ma w piśmiennictwie śladów wskazujących, że ich ziarno padło na podatny grunt, że ktoś naprawdę te problemy przeżył. Z wyjątkiem jednego poety — Bolesława Leśmiana. Gombrowicza można wywieść z Schopenhauera, Nietzschego ale też Dostojewskiego, a ci trzej symbolizują świadomość straszliwego kryzysu, który dotknął cywilizację białego człowieka w wieku dziewiętnastym,

zapowiadając, być może, koniec chrześcijaństwa. Kiedy Gombrowicz zachwala temperatury średnie, ani za zimne ani za gorące, kiedy przedstawia siebie jako szlachcica na swojej zagrodzie, nieufnego wobec zachodnich nowalii, wypada to uznać za jedną z jego licznych sprzeczności czy też za gest obronny, skoro miał ostrą świadomość kryzysu i skoro ubolewał nad upupieniem Polaków przez Sienkiewicza, który ich zamknął w kręgu pojęć złagodzonych i odgradził od myśli niebezpiecznej.

Nie wiem czy ktoś czytał uważnie co Gombrowicz pisze o marksizmie i o pokrewieństwie z nim swego „kościółka międzyludzkiego”, w którym bogiem dla człowieka jest tylko inny człowiek. Ostatecznie to nic innego jak Ludwika Feuerbacha *O istocie chrześcijaństwa*, dzieło które miało zasadniczy wpływ na dzieje inteligencji rosyjskiej. Zastanawiając się dlaczego mimo filozoficznego pokrewieństwa nie został komunistą, Gombrowicz przyjmuje materialistyczną analizę rzeczywistości i odrzuca tylko jej zastosowanie do rewolucyjnej przemiany kierowanej przez Partię: nieuczciwa gra, najpierw pełna swoboda burzenia, ale z chwilą kiedy powiem tak, zapada klamka, jestem w dogmacie.

Zdumiewająca łatwość z jaką Polska wypłynęła marksizm bywa przytaczana z dumą jako dowód moralnego zdrowia jak też odporności narodu na doktrynę najeźdźców. Być może jednak, że stało się to wskutek „polskiej specyfiki” odróżniającej Polskę od innych krajów w ciągu stuleci, np. kiedy demokracja i anarchia szlachecka rozwijały się w sąsiedztwie monarchii absolutnych, i kiedy rewolucja naukowa siedemnastego wieku Polskę ominęła. Niestety, marksizm należy do dwudziestego wieku i jest jedynie odwrotną stroną „nihilizmu europejskiego”, który zapowiadał Nietzsche. Jak też Dostojewski.

Wydaje mi się, że to głównie Dostojewski skłonił mnie do wzięcia tych spraw poważnie, bo mówiąc słowami Anny Achmatowej ten „Omski katorżanin wszystko zrozumiał i na wszystkim postawił krzyżyk”. Dla wielu jednak ludzi takie zainteresowania są chorobliwe i nie bez rozrzewnienia myślę dzisiaj o polskiej broszurze wydanej w latach pięćdziesiątych bodaj w Ameryce, gdzie roztrząsano, posługując się obficie cytatami, wypowiedzi trzech kryptomarksistów: Gombrowicza, Miłosza i Orwella.

Jean Paul Sartre nigdy nie był w Polsce lubiany, a to z powodu swojej śmieszkiej kurzej ślepoty, która uniemożliwiała mu zobaczenie rzeczywistości krajów komunistycznych. Jeżeli jednak jeden z najwybitniejszych umysłów Europy borykał się z tzw. rozumem dialektycznym, zasługuje to na chwilę refleksji. W swoim eseju „Sartre i Dostojewski” wysunąłem tezę, że rozkład tradycyjnych wierzeń wskutek rewolucji naukowo-technicznej odbywał się w Zachodniej Europie względnie powoli, znajdując przeciwwagę w sile i Kościoła katolickiego i Kościołów protestanckich,

oraz w niesłuchanie złożonej strukturze społeczeństw. Natomiast Rosję ten sam proces dosięgnął w zbitce czasowej, w ściągnięciu paru wieków do dziesięcioleci, i natrafił na społeczną pustkę oraz słabość prawosławnej cerkwi, tak że inteligencja rosyjska galopowała ku rozwiązaniom coraz bardziej radykalnym. Bohaterowie Dostojewskiego *wyprzedzają* inteligentów Zachodu, którzy radykalne wnioski wyciągną dopiero w dwudziestym wieku. Toteż jeden z bohaterów Dostojewskiego, ostatni i najbardziej okazowy z całej serii zbuntowanych inteligentów, może być z powodzeniem przeniesiony do któregoś z krajów Zachodniej Europy czy Ameryki żeby działał tam sto lat później. Jest to Iwan Karamazow. W powieści *Biesy* oficer, który przypadkiem znalazł się w kółku rewolucjonistów i usłyszał tam o różnych nowych ideach pyta zdumiony: „Jeżeli Boga nie ma, to jakiz ja kapitan?”. W *Braciach Karamazow* ateista Iwan układa „poemat”, Legendę o Wielkim Inkwizytorze, a sam tylko ten tekst zawiera, moim zdaniem, wszystko co miało się zdarzyć za naszych czasów. Gdyż Wielki Inkwizytor jest postacią nowoczesnego Prometeusza, który bierze władzę z moralnego obowiązku, jako że nie istnieją bogowie i tylko człowiek jest swoim własnym sprawcą. Bierze władzę żeby zbawić ludzkość. Co prawda u Dostojewskiego cena jest wysoka, jest nią współpraca z Księciem Tego Świata. Wzmianka o tej cenie byłaby Sartre'owi nie do smaku, ale poza tym ogólne zarisy jego i Iwana rozumowań są identyczne, tak że ów francuski luminarz mógłby wystąpić na stronicach rosyjskiej powieści.

To dygresja, choć nie pozbawiona sensu, zważywszy na pokrewieństwa pomiędzy Sartrem a Gombrowiczem, zwłaszcza w przeprowadzanych przez nich obu analizach roli, którą gramy w społecznym teatrze czyli bezustannego tworzenia człowieka przez człowieka, bez żadnych wartości stałych, poza takim wzajemnym oddziaływaniem poczętych. Niewykluczone, że jesteśmy już tak przyzwyczajeni do względności wszelkich miar, przenikającej w nas drogą osmozy, że ta propozycja Gombrowicza wcale nie wydaje się nam niezwykła. Może jednak warto rozważyć konsekwencje takiego stanowiska w zastosowaniu do podniosłych, jak z Grottgera, zmagani i poświęceń w Polsce, też do jej tragedii, którym żadna literatura nie umiała i nie umie sprostać. Wierność imponderabiliom zmienia się w służbę obrazowi samych siebie, który powstał poprzez wzajemne zagrzewanie się, szczepianie się i wymuszanie, aż do całopalenia na ołtarzu bóstwa napompowanego boskością przez nas samych. W niewłączonej do *Ferdynurke* opowieści o Piekosińskim i Pietrasińskim Gombrowicz obrzydza przedwojenne gry w ideolo, ale może nie tylko przedwojenne, i tak jak Fryderyk w *Pornografii* „zepsuł mszę” w wiejskim kościółku, tak on zabiera się do psucia mszy narodowej.

Dla mnie osobiście gombrowiczowski „kościół międzyludzki”

jest przyparciem do muru, bo np. wobec *Diary* nie można odkładać pewnych okropnych pytań. Ja jednak mam nieco łatwiej, żyjąc poniekąd na innej planecie, tak że pozostaje jedynie niczym nie złagodzona dotkliwość istnienia poszczególnego. Co prawda jestem o kilka dziesiątków lat starszy niż Gombrowicz kiedy pisał o trwodze powolnego umierania, i tym bardziej muszę w sobie badać czy przeciwstawiam jego jadom moją wiarę w esencje, w byty wezwane przed początkiem świata, w metafizyczny fundament wartości, w wodę Lety, która obmywa z nas pamięć bólu i pozwala zmartwychwstać. Ale nie myślę żeby tam w Polsce Gombrowicz, jeżeli jest rozumiany, nie przypierał do muru dwakroć silniej, a nawet w sposób trudny do zniesienia, skoro podważa ufność w siebie całej wspólnoty.

Może jakąś karą na naród katolicki jest ten pisarz który nie zna modlitwy? Przypomnijmy jak widzi Polaków. Pograżyli się oni według niego za Sasów w świństwo, w brzydotę obżartuchów i opojów, tuczając się na nędzy chłopów, na ciemnocie i zabobonie. Ale każdy naród potrzebuje swego piękna które mógłby kochać i do którego mógłby dążyć. Tego piękna dostarczył Mickiewicz, proponując bohatera cnotliwego, obdarzonego jako naczelną cnotą, miłością ojczyzny. Później, jak się dało, trochę pokraccznie, wychowawczo, lepił to piękno Kraszewski. Aż przyszedł czarodziej, Sienkiewicz i zakochali się ludzie w Kmicicach, Oleńkach i Skrzetuskach.

No, a teraz? Jakież to piękno proponuje Gombrowicz? Zamiast niezłomnych patriotów, bitnych, jurnych ale pobożnych, rycerskich, zanoszących modły do jednego absolutu, czyli polskości, jakieś intelektuały świadome swojej brzydoty, a co więcej, świadome, że jeżeli przed czymś klęczą to przed dziełem własnych wzajemnych skrzykiwań się i zachęceń, i że muszą coś zrobić z napierającą na nich niższością, która nie zawsze jest piękna. Niższością, która jest ich własna, choć ukazuje się pod postacią ludową Ciumkały i Pyckala, niższością ich kraju wobec Zachodu ale także, przez wyjątkową niezdarność ich rodzimej biurokracji, wobec innych krajów socjalistycznych. Kiedy czytają swoją prasę, oglądają swoją telewizję, zdają sobie sprawę z dławiącego absurdu, kiedy wyjdą z domu, idą nad rzekę, która jest zatruta, oddychają powietrzem, od którego rozpadają się mury ich miast.

Gombrowicz w *Diary* wyraża wątpliwość czy dobrze było, że Polska miała Mickiewicza. Bo gdyby nie on, musieliby Polacy zostać sam na sam ze swoją brzydotą utrwaloną w epoce saskiej i zmagając się z nią, pokazując sobie samych siebie, takimi jak są, może by dopracowali się innego, trudniejszego piękna. Gdyby dzisiaj książki Gombrowicza mogły działać w taki przed-mickiewiczowski sposób, może ich wkroczenie nad Wisłę nie byłoby bez pożytku. Bo właściwie biorąc do ręki utwory tam piszących literatów

pełne obrzydzenia, wyraźnie albo okólnie odwołujące się do podziału własnego narodu na niewolników i więziennych nadzorców, trudno sobie wyobrazić co w słowie pisanym przejść by tam nie mogło. A Gombrowicz wnosi inną perspektywę, obszar, dystans do samych siebie, jak też klasyczną powściągliwość w traktowaniu spraw tam najwulgarniej traktowanych, przede wszystkim erotyki. Choć może się okazać, że jego dawka jest za silna i że Polacy, jak nieraz w ciężkich obiecach, wracają do romantycznego wzorca *Polonus unus defensor Mariae*, szlachetnego chrześcijańskiego narodu walczącego przeciwko nieczystej sile. W takim przypadku obecność Gombrowicza musi tylko dodać do ogólnego myślowego chaosu. Odnotować muszę tutaj dziwny dualizm. Intelektualna konfraternia, obejmująca zastępy polonistów i krytyków literackich, wychwała tego pisarza, nie słysząc prawie wcale głosów mu wrogich i wygląda na to, że zwyciężyło prawo formy czyli nikt nie ośmielił się rzec czegoś przeciwnego niż wszyscy, złaczeni we wspólnej delectacji. Ale przecież, zakładam, większa ich część to katolicy a w każdym razie zwolennicy zupełnie innych pojęć o miejscu człowieka we wszechświecie niż te, które zawarte są w dziele Gombrowicza. I nic? Jakież tedy jest związku tych wytwornych umysłów z ogółem, w kraju w którym co niedziela kościoły są pełne? Czyżby udziałem Gombrowicza stało się to samo co według niego stało się udziałem Borgesa i innych argentyńskich literatów, to znaczy: nos w książkę i żadnej uwagi na otaczającą ich Argentynę rzeczywistość? A ta książka dla polskich wyszukanych gustów to teraz Borges albo Gombrowicz.

Może przesadzam, może lekkość, gra, jasny ton jego stylu, wbrew ponurości jego sądów, może rozkosz nurzania się w polszczyźnie (tak szkodząca jego sukcesom wśród cudzoziemców) do tego stopnia uwodzą polskich czytelników, że biorą z niego co im potrzebne, omijając co im niemiłe. Włączałby się więc w pewien nurt nowatorski nieśmiało zapowiadający „koniec wieku ideologii” jak to przedwcześnie nazwał Raymond Aron. Krasnoludki „Pomarańczowej alternatywy” byłyby wtedy switą tego twórcy, który postawił żebraka z zieloną gałązką w gębie przed oknami Młodziaków, żeby podgryźć ich racjonalistyczną postępowość.

Nigdy nie działałem przeciw interesom Gombrowicza i nie działałem teraz. W jego interesie leży żeby właściwie oceniono jego odwagę i nie zatrzymywano się w pół myśli. Próbował narzucić Polakom inny, bardziej swobodny stosunek do własnej polskości, jej ocenę spoza własnego podwórka — a ktokolwiek zna chępliwość i pogardę z jaką odnoszą się oni do innych narodów, wie, że nie byle jakie to zadanie. Proponował też im, jakkolwiek doceniał zalety polskiej niedojrzałości i niedoformy w porównaniu z naddojrzałością i przerostem formy u Francuzów, żeby spotkali

się oko w oko z przekłętymi ale nieuniknionymi problemami nowoczesnej ludzkości. W naszych rozmowach o polskich literatach zarzucał im wszystkim brak filozoficznego wykształcenia. W *Diary* powtarza się nawoływanie do szacunku wobec rzeczywistości, ta rzeczywistość zawiera jednak także całą myślową tkaninę, którą ludzie na złe czy dobre upletli w ciągu ostatnich kilku stuleci i w której okach tkwią. Średniowieczny poeta mógł pisać o dziejach dusz, potępionych, zbawionych albo czekających na zbawienie. Któż dzisiaj potrafi przedstawiać sobie dusze jako rodzaj monad czy też planet poruszających się każda po swoim torze? Jeżeli człowieczeństwo to robienie min czyli bezustanne reagowanie na innego człowieka, a także na wspólnie wytwarzane temperatury, słabnie odpowiedzialność jednostki, bo należałoby ją winić czy chwalić za urodzenie się w danej rodzinie, plemienu, kraju i czasie. I niestety aż nadto dosyć w naszym stuleciu przykładać tak dużej zależności indywidualum od otoczenia, tak niewinnego udziału w hasłach, absurdalnych wiarach, masowych wiecach i pochodach, że moralistyka, choć sprzyja jej nasz zmysł moralny, brzmi jakoś zbyt abstrakcyjnie. Nie wiemy nawet jak odnieść się do tej niemieckiej damy, która rok 1942 wspominała jako najszczęśliwszy rok życia, bo mąż był stacjonowany w Poznaniu, a tam te bale, te koncerty, to życie towarzyskie. Skoro raz została odkryta zasada zależności (od pochodzenia klasowego, od podszeptów *libido*, od zbiorowych zacharowań), trudno odzyskać niewinność. Bo ostatecznie jest to system samo-uzupełniający się bez przerwy: im bardziej upierasz się twierdząc, że nie jesteś zależny, tym bardziej jesteś zależny.

Nikt chyba nie poszedł dalej w demaskowaniu władzy Wielkiego Zwierzęcia (jak, idąc za Platonem, nazywała społeczeństwo), niż Simone Weil. W uległości wobec Wielkiego Zwierzęcia widziała źródło wszelkiego zła: „diabeł jest społeczny”, pisała, „to bóstwo Durkheima”. Ciężeniu społecznemu przeciwstawiała Łaskę unoszącą człowieka w górę. Ale i na nią Gombrowicz znalazł radę. Notuje w *Diary* swoje przeżycia wobec oceanu i przyznaje, że życie w swojej potworności pcha go ku metafizyce, ale czytając tam Simone Weil czuje obecność nie Boga, tylko jej Boga. Według niego czystej fikcji, jej własną siłą stworzonej. Co mi przypomniało rozprawkę francuskiego marksisty, który zastosował społeczną receptę czyli wpływ Wielkiego Zwierzęcia, żeby całą jej filozofię uczenie a wrogo wytłumaczyć. Według Gombrowicza Weil nie tyle uwierzyła w Boga ile zakochała się w nim, ponieważ nie mogła znieść siebie, swojej samotności, jest więc „metafizycznym karpim w sosie własnego wyrobu”. Jeżeli ktoś oburzy się na takie dictum (choć Gombrowicz przyznaje jej wielkość do której sam nie jest zdolny), radzę wniknąć w siebie i sprawdzić czy tego rodzaju krytyce łatwo się oprzeć.

Kto wie czy Gombrowicz nie jest, i dla poszczególnego czytelnika i dla zbiorowości, czyścem, czy ten ogień nie jest potrzebny żeby nas zahartować i uczynić nas zdolnymi do pozbycia się tego co nas myślowo i uczuciowo ociąża a więc balastu, tłuszczu, zamiast którego powinny zostać same mięśnie, tak abyśmy mogli zmierzyć się z jego wyzwaniem nie odwołując się już do autorytetów minionych. W swoich sądach prawie zawsze ma rację — z wyjątkiem. Z wyjątkiem podstawowego swego twierdzenia, swego obsesyjnie powtarzanego wykładu o wzajemnym sczepianiu się i determinowaniu się ludzi, jako *jedynym* gruncie wartości, który to wykład nie tylko unicestwia pojęcie prawdy obiektywnej, także odbiera sens jego, Witolda Gombrowicza, walce z deformującą go formą.

Czesław MIŁOSZ

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Książki

Nowy gniewny

Ostatnie lata przyniosły sporo interesujących książek krytyczno-literackich, co zdaje się przeczyć tezie o zastoju w tej dziedzinie literatury. Niestety większość wartościowych prac nie miała szans ukazania się w „obiegu oficjalnym” — prace Tomasa Burka, Stanisława Barańczaka, Jana Józefa Lipskiego, Romana Zimanda, Andrzeja Wernera, Tadeusza Nyczka, Jerzego Malewskiego, Jana Prokopa, Tadeusza Komendanta ujrzały światło dzienne bądź w oficynach emigracyjnych, bądź w wydawnictwach podziemnych. Czy tak musi być? Zapewne nie, choć trzeba podkreślić, że mimo relatywnego zmniejszenia się nacisku cenzury, w dalszym ciągu swobodne mówienie o stanie naszej literatury jest w oficjalnym życiu kulturalnym niemożliwe. Szkoda.

Trudności te widoczne są także w przypadku tomu, z którym chciałem tu polemizować, a który został dość znacznie posiekany przez cenzurę. Książkowy debiut Marka Zielińskiego* jest kolejną próbą diagnozy stanu polskiej literatury i wskazania jej zadań, których dotąd nie potrafiła podjąć. Ma tu autor wielu wybitnych poprzedników — od uczniów „szkoły Wyki” (Błońskiego, Kwiatkowskiego, Flaszena, Puzyny i związanego z nimi Łukasiewicza) poprzez Burka po Barańczaka, Kornhausera i Zagajewskiego. Zakorzenie tej linii krytyki literackiej widzieć należy w twórczości Stanisława Brzozowskiego, nic zatem dziwnego, że szkic poświęcony jego pisarstwu jest jednym z najważniejszych w tomie. „Brzozowski — pisze Zieliński — chciał zakończyć wiek XIX i pchnąć Polskę w wiek XX. Dzisiaj jednego można być pewnym, że przegrał”. Jedynym z dowodów na to jest — paradoksalnie — także tom Zielińskiego.

Dwa punkty odniesienia wyznaczają kierunek poszukiwań autora — „Legenda Młodej Polski” Brzozowskiego (szkic „Brzozowski

* Marek Zieliński, *Kilka niewzruszonych przekonań*, Biblioteka „Więzi”, tom 55, Warszawa 1987, str. 232.

i przekłętę problemy”) oraz „Zmiana warty” Błońskiego (szkic „Walka o świat”). Odwołując się do ich ustaleń, ale także samodzielnie analizując stan aktualny naszej literatury, zauważa Zieliński, że jest ona naznaczona wewnętrznym pęknięciem: „Krań nierozwiązanych polskich alternatyw powoduje, że pisarz bądź ogranicza siebie do roli moralisty wypełniającego nakazy patriotyczne i pokrzepia tylko sztuką serca bliźnich, bądź ucieka od zobowiązań w domniemaną sferę wolności i akcydentalne fascynacje. Nie potrafi scalić tych dwóch perspektyw”. Diagnoza ta powtarza się ostatnio dość często — czy to w szkicu Miłosza „Szlachetność, niestety...”, czy w eseju Michnika o „Rudinie”, czy wreszcie w uwagach Zagajewskiego. Zieliński receptę na pokonanie owego rozdarcia widzi we „wzięciu na siebie zadań rozumienia i pokazania zła świata, grzechów rzeczywistości”. Taka postawa „jest nadzieją wielkości sztuki i uzasadnieniem jej istnienia”. Osobiście jestem przekonany, że bardziej niż „zło świata” na uwagę zasługuje zło tkwiące w nas samych — zło, którego nauczyliśmy się nie dostrzegać.

Podobnie jak wielu polskich krytyków Marek Zieliński jest przekonany o tym, że „literatura nie uzasadnia sama siebie, a jej prawą są poza nią, w rzeczywistości”. Teza ta, bardzo silnie utrwalona w naszej świadomości, nie jest bynajmniej bezsporna. Jej bezdyskusyjne przyjęcie stawało się nieraz przyczyną drastycznej redukcji literatury. Podobnie, jak w przypadku innej tezy, wypowiedzianej w tym samym akapicie otwierającego książkę Zielińskiego szkicu „Kuszenie na pustyni”: „Konkretnie opcje polityczne i moralne są — o ile tylko wnikliwie ukazują reguły zachowań i gry społecznej — przepustką do nieśmiertelności pisarskiej”. Mocno powiedziane.

O prawdziwości obu cytowanych twierdzeń wcale nie jestem przekonany. Obawiam się nawet, że stanowią one podstawową konstrukcję pułapki, w jakiej od dawna miota się nasza literatura. Pisarstwo, które samo siebie nie uzasadnia, nie może ani skutecznie pełnić funkcji moralizatorskich, ani budować sfery wolności (nie bardzo rozumiem użytego przy tej okazji przez Zielińskiego określenia „domniemana wolność”). Inaczej mówiąc: literatura poszukująca dla siebie uzasadnień poza literaturą nie może — jako literatura właśnie — podjąć jakichkolwiek zobowiązań. Wiedziało o tym doskonale wynoszony przez Zielińskiego pod niebiosa Gombrowicz.

Bliski jest Zielińskiemu ideał „przekraczania literatury” — pisze o nim przy okazji omówienia twórczości Tołstoja. Żądanie od literatury, by stała się czymś więcej niż jest pojawiało się w naszej powojennej krytyce przy wielu bardzo odmiennych okazjach. Z jednej strony towarzyszyło socrealizmowi, z drugiej dochodziło do głosu w „Świecie nie przedstawionym” Kornhausera i Zagajewskiego. Zakorzenie jest, oczywiście, głębiej — właśnie w XIX stuleciu: można je odnaleźć choćby w postulatach pozytywistycznych, ale też i wcześniej, w micie o Czynie literackim ucieleśniającym Słowo. Kryzys literatury, z którym

mamy do czynienia w ostatnich dziesięcioleciach, ma jednak zupełnie inny charakter. Pisał o tym Tomasz Burek przy okazji wyjaśnienia znaczenia terminu „antyliteratura”: „W optymalnym, teoretycznie wyostrzonym modelu antyliteratury (...) problematyzuje się więc przede wszystkim akt pisania, samą możność i potrzebę mówienia, kwestionuje się w ogóle zasadność tudzież prawdomówność mowy literackiej, demaskuje zwodniczość i zawodność języka”.

Postulat „przekraczania literatury” tak właśnie pojęty jest, jak trafnie podkreśla Burek, odsłonięciem „choroby Słowa trwającej dzisiejszy świat”. Jest to wszelako problem nie tylko literacki. A — być może — właśnie na gruncie literatury dążącej do ocalenia swej suwerenności możliwe jest jego rozwiązanie. Byłbym zatem bardzo ostrożny w formułowaniu tez o tym, że „literatura nie uzasadnia sama siebie”. Być może trafniejsza okaże się teza, że tylko literatura sama siebie uzasadniająca może przezwyciężyć kryzys Słowa, przywrócić sens wartościom, ugruntować znaczenie tych „kilku niewzruszonych przekonañ”, na jakie powołuje się w tytule swej książki Zieliński, a które przyswiecały nie tylko autorowi motto do tego tomu, Ignazio Silone, lecz także Conradowi, jednemu z głównych bohaterów powojennej literatury polskiej (od dyskusji między Janem Kottem i Marią Dąbrowską po książki Najdera i Komara). Być może właśnie literatura, która wreszcie potrafi uzasadnić samą siebie, będzie też w stanie uzasadnić świat naszych działań — nie odwrotnie.

Powiada Zieliński, że „mit Syzyfa w gruncie rzeczy stoi u podstaw ontologii dzieła sztuki”. Ta arcytrafna uwaga zdaje się potwierdzać dążenie do przezwyciężenia kryzysu Słowa właśnie na gruncie literackim, na gruncie Księgi. I przeczy ona twierdzeniu autora wypowiedzianemu przy okazji omawiania powieści Aleksandra Kamińskiego, gdy mówi: „Były na miarę myśli i przeżyć, skonstruowane na podobnej zasadzie co starogreckie tragedie, gdzie widzów, aktorów i autora łączyła tożsama wiara w przeznaczenie i wiedza pozasceniczna, pozatekstowa. Być może jest to szczególna właściwość literatury małych narodów doświadczanych przez historię, być może dlatego staje się ona nieczytelna poza danym językiem, poza obrębem kultury i rasy, w której powstała”. Przyznam, że nie do końca chyba rozumiem wymowę tych zdań: w końcu niezależnie od pozatekstowej wiedzy widzów starogreckich tragedii stanowią one jeden z fundamentów całej europejskiej literatury, są czytelne poza językiem starogreckim, stanowią wciąż żywe i od nowa dyskutowane teksty — właśnie literackie.

Spółeczny i polityczny kontekst literatury wydaje się Zielińskiemu ważniejszy od niej samej. Taka postawa grozi dość niebezpieczną redukcją, w której literatura staje się jedynie dodatkiem, jakimś uzupełnieniem działań polityczno-społecznych. Można by się zastanowić, czy współczesny kryzys naszej literatury nie jest w dużej mierze — choć zapewne nie wyłącznie — spowodowany rozpowszechnieniem się takiej redukcjonistycznej postawy. Charakterystyczne przy tym, że prowadzi ona w krytyce —

obok rozbudowywania alarmujących diagnoz — do pomijania wielu wartościowych i przeczących owym diagnozom zjawisk. Marek Zieliński niewiele widzi godnych uwagi dokonań w naszej literaturze powojennej — jego prawo. Ale obraz, który kreśli, wydaje się mocno przerysowany. Może to zresztą i dobrze, że krytyk stara się o „podnoszenie poprzeczki”, że stawia przed literaturą wysokie wymagania. Ale jednocześnie postawa taka prowadzi do zachwiania proporcji. Z grubsza zgadzam się z twierdzeniem, że współczesne polskie piśmarstwo (przede wszystkim proza, zwłaszcza najmłodsza — interesująca wydaje się dyskusja na ten temat, rozpoczęta wystąpieniem Błońskiego) znajduje się w stanie kryzysu. Zastanawia jednak, że opinia ta powraca jak bumerang w całym okresie powojennym, stanowi jedną z podstawowych tez krytyki — jakby nie było arcydzieła Vincenza, wielkiej prozy Herlinga-Grudzińskiego, znakomitych powieści Kuśniewicza, Bocheńskiego, Buczkowskiego, świetnej prozy Białoszewskiego, Krzysztonia, Konwickiego. To — oczywiście — tylko wybór nazwisk.

Książka Zielińskiego proponuje jako pozytywne punkty odniesienia prozę Aleksandra Kamińskiego, Juliana Strykowski, Jana Józefa Szczepańskiego, Adolfa Rudnickiego, Antoniego Gołubiewa, Stanisława Zielińskiego. Dość to, przyznam, przypadkowy zestaw nazwisk (z wyraźną dominacją kryteriów pozaliterackich) — być może uzupełnienie zestawu szkiców o tych autorach przez esej o stanie polskiej prozy mogłoby przywrócić zwichnięte proporcje, jednakże takiego właśnie eseju w książce Zielińskiego niestety nie ma. Podobnie zresztą rzecz wygląda w ocenie stanu poezji. Ostaje się pod piórem krytyka jedynie Herbert, może także Miłosz. To dość niesprawiedliwe — wydaje się, że raczej rację ma Artur Międzyrzeczki, gdy pisze, że nasza „współczesna poezja należy do kilku liczących się poezji na świecie”, zaś „każde pokolenie poszczycić się może elitą poetycką pierwszego blasku”.

Zieliński ze stanu naszej literatury zadowolony nie jest. Uważa, że nie potrafi ona „sprostać wyzwaniu zła”, które niesie świat współczesny. Można by spytać, czy takie określenie zadań literatury przypadkiem jej nie ogranicza, czy nie zamyka jej możliwości twórczych. I czy nie jest pewnym złudzeniem — odziedziczonym zresztą po wieku dziewiętnastym, a utrwalonym w okresie powojennym. Literatura to w końcu przede wszystkim tworzenie wartości, zaś wartości tworzy się dla nich samych, w istocie więc bezinteresownie. I może tylko w ten sposób da się rzeczywiście „sprostać wyzwaniu zła”... Autor zresztą jakby przeczuwa ten stan rzeczy — choćby wówczas, gdy przy okazji omawiania twórczości Gołubiewa formułuje świetną i głęboką tezę: „W tak rewolucyjnych epokach jak nasza nie ma nic bardziej rewolucyjnego niż mądry, konsekwentny konserwatyzm”. Ale tak formułowanym przemyśleniom zdają się przeczy przytaczane już oskarżenia o „ucieczkach” literatury od jej pozaliterackich „zobowiązań”.

Wydaje się, że Marek Zieliński wpadł w pułapkę, jaką skon-

struowała nasza tradycja, nakazująca w literaturze widzieć coś więcej niż „tylko literaturę”. W końcu nie on pierwszy, zapewne też nie ostatni — słabą pociechą być może dla mnie fakt, że i ja w początkach swej krytyczno-literackiej drogi wpakowałem się w to bagno. Literatura nasza, jak rzadko która w świecie, uwikłana jest w życie społeczne i polityczne — jest też przez to uwikłana często traktowana instrumentalnie. Uniknęła tego losu wielka literatura rosyjska, której Zieliński poświęcił kilka szkiców. Może też i dlatego jest ona, jak trafnie pisze autor, „polskim wyrzutem sumienia” — oczywiście literackiego. Jest nim dlatego, że — tak sądzę — zawierzyła prawdzie literackiej, nie szukając swych uzasadnień poza literaturą: to właśnie jest jej siłą.

„Kilka niewzruszonych przekonań” to tom, którym wszedł do naszej literatury krytyk niezwykle wrażliwy i odważny. Wiele jego diagnoz i twierdzeń prowokuje do dyskusji, budzi nawet żywiołową niezgodę — ale to także jest świadectwem talentu autora i wyrazistości jego postawy, nie tylko literackiej. Nie chodzi w końcu o to, byśmy się ze sobą zgadzali, ale byśmy mogli dyskutować o sprawach naprawdę istotnych — a do nich należy choćby problem społecznego statusu literatury, będący jednym z głównych zagadnień książki Zielińskiego. Żąda on literatury serio — silnej i samoświadomej, jak literatura rosyjska. W przeciwieństwie do niej — pisze — my „wciąż nie czujemy smaku naszego domu, nie czujemy siły własnych dusz, nie widzimy siebie prawdziwie”. Tak źle, oczywiście, nie jest. Wierzę, że i sam autor się o tym przekona, gdy siądzie do pisania książki nie będącej jedynie zbiorem okazjonalnie pisanych szkiców i recenzji, lecz stanowiącej próbę oceny całego dorobku naszej powojennej literatury. A jest to bez wątpienia autor, który jest w stanie podjąć takie właśnie, trudne i ryzykowne zadanie.

Leszek SZARUGA

Nuda powagi i nuda zabawy

Z ogromnej paki książek, które dostarczono mi z Polski — szarość papieru harmonijnie współgrająca z szarością zawartości — wybrałam dwie: Piotra Szewca *Zagłada*¹ i Krzysztofa Bieleckiego *Fistaszka*². Autorzy: obydwaj urodzeni w roku 1961, obydwaj po studiach polonistycznych, obydwaj debiutanci w gatunku

1. Piotr Szewc, *Zagłada*, „Czytelnik”, Warszawa 1987, str. 140.

2. Krzysztof Bielecki, *Fistaszek*, „Czytelnik”, Warszawa 1987, str. 144.

powieściowym. I obydwaj sprawili mi zawód. *Zagłada* urzekła mnie melodią pierwszych zdań i obietnicą treści: „Jesteśmy na Listopadowej. To druga przecznica, idąc Lwowską. Na jednym z maleńkich podwórek, blisko zresztą Lwowskiej, stoi przed ścianą pan Hersze Blaum. Karmi uczone ramienia gołębie. Nazywa się je tu pięknie motylami perskimi — prawdopodobnie przywieziono je niegdyś z Persji. Czy na pewno? Brak jakichkolwiek danych, dokumentów, wiarygodnych wyjaśnień”. Zapewne już dwa ostatnie zdania winny mnie były ostrzec, podobnie jak niewiedomego autorstwa streszczenie na obwolucie książki; idealny przykład na krytykę literacką posługującą się językiem swojego przedmiotu: „Świat w powieści Szewca jest jakby delikatną zawiesziną, falującą w upalny, letni dzień, kiedy powietrze ‘aż gęste’ od nawiedzających je widm kurczy się i rozpręża barwą dnia; jest jak gdyby kawałkiem bursztynu, w którym zastygło coś prowincjonalnego, peryferyjnego, lecz pięknego w całej urodzie nadchodzącego zmięzchu. Czy jest to zmięzch Świata? Bez wątplenia”.

Wątpliwości winny mnie były ogarnąć na widok „świata” pisane z dużej litery. Duże litery z reguły pachną teorią, i faktycznie, *Zagłada* oparta jest na teorii. Teorii braku fabuły, braku charakterów i braku losów postaci, zastąpionych tu pozorną akcją, pozorami postaci i niczym losem. Akcja książki, którą młody autor bez żenady nazywa *Księgą* lub *Księgą Dnia*, toczy się od wieczora do zmięzchu, w miasteczku bez nazwy, ale o dokładnej topografii. Ze wzmianki o pociągu zmierzającym do Lwowa i z nazw ulic domyślić się możemy, że miasteczko leży na Kresach.

Z dużej litery pisane jest także w tej książce słowo „centrum”. Centra są różne: każdy z „bohaterów” — których główne zadanie polega tu na powolnym poruszaniu się z miejsca na miejsce lub zastyganiu w bezruchu — ma swoje własne centrum. Centrum życia ustalonego zawodem i codziennym obyczajem. Inne, bardziej nadrzędne centrum, to oczywiście samo miasteczko: rodzaj powiększonego domu, środek świata, kosmosu. Zwolennicy wiecznego powrotu archetypów w literaturze lubią takie symbole. Jeszcze inne centrum, to kopia Magstratu zwana w książce także drugim słońcem. Powieść ma budowę kolistą, zaczyna się i kończy tym samym zdaniem, a jej ostatni akapit brzmi: „Zapięła się Księga Dnia. Gwiazdy migocą w skórkach wisien. Gasną jedne, następne wschodzą. Jeśli by ktoś chciał spisać ich Księgę, mógłby ją jak i my zacząć od słów: ‘Jesteśmy na Listopadowej’”. Na ostatniej stronie dowiadujemy się również, że akcja Księgi toczyła się pewnego upalnego lipcowego dnia w roku 1934. Informacja w tym wypadku pozbawiona znaczenia.

Mnie urzekł początek tej książki z przyczyn osobistych. Przypomniał mi się fragment trzeciego tomu *Miesiący*, ten, którym Brandys kończy swoje medytacje nad wielowiekową, tragicznie zakończoną egzystencją Żydów w Polsce: „Przypuszczam, i chciałbym, aby tak było, że zgładzony świat polskich Żydów będzie z czasem nabierał cech osobliwych, zagadkowych i kiedyś w przy-

szości tajemnica jego istnienia i zagłady rzuci urok na polską wyobraźnię. Jacyś nie narodzeni jeszcze poeci będą pisać wiersze o dawnym życiu tej wygastej gwiazdy i może nad zetlałą księgą znowu się pochyli ktoś młody i urzeczony". Pobożne życzenia często się spełniają, ale nie zawsze w tej formie, w jakiej sobie je wyobrażamy.

Ktoś może powiedzieć, że nie ma znaczenia, co stało się z Herszem Blaumem, właścicielem sklepu bławatnego, jego żoną Gertrudą i ich pięciorgiem dzieci. Albo po prostu, że ich późniejsze losy należą do innych powieści. Każdy może sobie łatwo wyobrazić, co się później stało z państwem Blaum, ale biorąc do ręki powieść pod tytułem *Zagłada*, chcielibyśmy wiedzieć, jak to się stało, kiedy i gdzie. Tym bardziej że w trakcie książki ledwie ich poznajemy. Inaczej tytuł jest nadużyciem. Moją ciekawość wzbudzili także chasydzi tańczący przed Magistratem i spacerujący później po kirkucie, ale ta ciekawość ostygła, kiedy autor po raz dziesiąty zapewnił mnie, że nie jest wiadome, czy rzeczywiście byli tam chasydzi i czy rzeczywiście tańczyli przed Magistratem (w co ja też wątpię). Nie mówiąc już o rozczarowaniu, kiedy autor powiadamia, że lokalna kurtyzana, rudowłosa Kazimiera M., opuściła miasteczko, a nie pisze, dokąd się udała, po co, i co się z nią później stało. Inne pytanie: co zrobił ze swoim życiem mecenas Walenty Danilowski (szczególnie po wyjeździe pani Kazimiery), o którym Szewc miał ogromną ochotę napisać prawdziwą powieść i uczynić go pełnokrwistym bohaterem *Zagłady* — pozwolił mu na retrospekcję w dzieciństwo i wczesną młodość, co dało parę fragmentów wielkiej urody stylistycznej i psychologicznej wnikliwości — ale najwidoczniej zląkł się, że wtedy nici z teorii powieści jako aparatu fotograficznego, któremu wolno oglądać, ale nie wolno dotykać. Starzeję się i coraz częściej ogarnia mnie ponura złość człowieka oszukanego, kiedy na przykład czytam takie zdanie: „Wszystko to na rynku, my zaś jesteśmy na Hrubieszowskiej. Przed nami kobieta z koszem, którego zawartości nie znamy. Jeszcze przed nami. Będzie szła prosto — dokąd? — czy skręci? Skręciła w prawo... Kobieta jest już w mieszkaniu i z miejsca, gdzie się znajdujemy, widać jej postać za otwartym oknem. Kwiaty w jej oknie kwitną. Co to za kwiaty?” Ja chciałabym wiedzieć, co ona miała w koszu, i nie lubię jak pisarz *mnie* się pyta, co to za kwiaty w oknie.

Bystry czytelnik rozpoznał zapewne, że Szewc napisał swoją niepowieść — z wiekiem zrobiłam się także alergiczna na słowo „antypowieść” — mieszając koncepcje narracyjne wczesnych książek Nathalie Sarraute z naszym rodzimym (i genialnym) Leopoldem Buczkowskim. Mieszanka jest niestrawna, choć trzeba przyznać, że książka napisana została nie tylko konsekwentnie według przyjętej metody, lecz także ładnym, obrazowym językiem, nie tylko z gustem do misternych opisów, ale i z wielką wprawą w opisywaniu rzeczy, zapachów i wyglądów. I właśnie kontrast między zamiłowaniem do konkretności, a całkowitą niekonkretnością, niematerialnością, niezmaterializowaniem się tego świata, który, oczywiście, uległ zagładzie, i który, oczywiście, choćby dlatego

należało opisać, jest szczególnie irytujący. To trochę tak, jakby czuć wspaniałe zapachy idące z kuchni i nie móc skosztować jedzenia. Szewc jest na pewno utalentowanym prozaikiem, ale nie wie, co z tym wszystkim zrobić: z formą powieści, kryzysem powieści, własną wiarygodnością. Tego, który nie widział i nie przeżył, ale — jak powiada Brandys — został urzeczony. Odnosi się to naturalnie nie tylko do Żydów; przede wszystkim do przeszłości, „kresowości”, specyfiki małych miasteczek.

Bieleckiego *Fistaszek* zaintrygował mnie dlatego, że odkąd *Puls* wydał *Donosy* Mrożka, nic zabawnego nie zdarzyło się w polskiej literaturze. (Może z wyjątkiem nostalgicznych i smutnych w gruncie rzeczy wspomnień Agnieszki Osieckiej — *Szpetni czterdziestoletni*). Trudno mieć pretensje do polskich pisarzy, że mało co ich bawi. Jak powiadano niegdyś w Piwnicy pod Baranami: „Jest albo idealizm albo materializm albo nie ma nic śmiesznego”. Pokusa była silna: młody debiutant, który najoczywiej — widać to już po okładce zrobionej na wzór kajetu szkolnego — postanowił zacząć z innej beczki: beczki śmiechu, z beczki Gombrowicza. Więc znów przymknęłam oczy (stare murzyńskie przysłowie powiada: „*cheat me once — shame on you, cheat me twice — shame on me*”) na treść informacji na obwolucie książki: „*Fistaszek*”... to zabawna i przewrotna księga żartobliwie traktowanych przygód tytułowej postaci. Jednak właściwym tematem utworu pozostaje raczej samo demonstrowanie możliwości fikcji literackiej i jednocześnie parodia szerokiego repertuaru konwencji pisarskich...”. Tu oszczędzę czytelnikowi nader imponującego zestawu nazwisk autorów, którzy posłużyli Bieleckiemu za wzór. *Fistaszek* jest równie nudny jak *Zagłada* i z tych samych powodów: przeuczenie w historii i teorii rozwoju powieści. Być może takie winny być od czasu do czasu tematy prac magisterskich na polonistyce i wtedy autor zasłużyłby na piątkę.

Wydaje się, że w powieści właśnie pastisz i parodia winny służyć czemuś więcej niż zabawie, ćwiczeniu pamięci i ręki. Wiedział o tym Gombrowicz, pisząc *Transatlantyk* i *Ślub*. Bielecki miesza, pastiszuje i parodiuje wszystkie możliwe gatunki powieści, nie dochodząc na szczęście do Balzaka, Flauberta i Prousta. (Wymieniony w prezentacji Joyce jest oczywistą pomyłką, bo ani matka bohatera, Cizia, nie przypomina Molly, ani on sam nie jest Blumem). Najbardziej udana część książki, to pastisz *Ferdynurke* — przygody *Fistaszka* w szkole. Jakie gatunki zostały tu spastiszowane? Powieść łotrzykowska, powieść awanturnicza, hollywoodzka powieść kryminalna (najnudniejsza w całej książce historia Pupy Pieszczochy wykradzonej z prosektorium), romans rycerski i wreszcie *Bildungsroman*. Dodajmy, że cała książka zbudowana jest na zasadzie powieści szkatułkowej i że powieść awanturnicza zamienia się w pewnym momencie w pastisz osiemnastowiecznej angielskiej powieści sentymentalnej.

Trzej główni patroni to jednak Gombrowicz, Fielding i Sterne, co brzmi niemal jak ideał powieści współczesnej według recepty Kundery, ale parafrazując powiedzenie Marksa: można zbudować teorię z powieści, ale nie można zbudować powieści z teorii. Najbardziej szwankują w *Fistaszku* stylizacje, co mnie nie dziwi, bo jak można umiejętnie stylizować tyle powieściowych języków. Szwankuje również cała historia: czytelnik gubi się w przygodach bohatera, bo autor — w pogoni za kolejnym wzorem pastiszu czy parodii — ciągle je przerywa i książka bardzo prędko przestaje i zaciekawiać i bawić. *Fistaszek* — domyślam się — miał być i bohaterem powieści, i parodią bohatera powieściowego. Nie stał się ani jednym ani drugim, bo Bielecki za wiele chciał, za bardzo skomplikował życie sobie i swojemu bohaterowi i, podobnie jak Szewc, za wiele teoretyzuje. Trzeba mu przyznać, że najczęściej teoretyzuje w tym samym stylu i języku, w którym opowiada dzieje swoich przeróżnych postaci. Jest to styl śmieszny, ironiczny, momentami nawet autoironiczny. Tyle że już po paru stronach ma się go dość. Autorowi nie brak fantazji, zdrowej nonszalancji, zamiłowania do wygłupu i swobody w stwarzaniu absurdalnych sytuacji. Ale tak się bawią dzieci i co zdolniejsi gimnazjaliści. Nie brak tu również ładnych fragmentów pisanych niemal poważnie, ale kiedy odczytuje się je uważniej, zjeje z nich także pustka: sentymentalna paplanina, święta wiara we własne zdolności improwizatorskie, w absolutną wolność pisarza i w dowolność kompozycji i treści. Fielding i Sterne też porzucali swojego bohatera po paru stronach i zajmowali się innymi sprawami, niemniej jednak zawsze umieli do niego powrócić. Oto próbka rozważań teoretyczno-lirycznych z tej części książki, która jest mieszaniną powieści awanturkowej, angielskiej powieści sentymentalnej i rycerskiego romansu. *Fistaszek* znajduje się na statku Dominika, który płynie do Wyspy Pomarańczowej. (Na tej to wyspie odnajdzie później swój powieściowy rodowód, wypisany przez ojca, barona Napluwaja, w drzewie baobabu). O jego przygodach opowiada matce bohatera, Cizi, niegdyś pierwszej gwiazdzie burdelu Szkarłatna pupcia wędrownego poeta Gloryana. W punkcie piątym argumentów Gloryana na temat, dlaczego *Fistaszek* obawiał zakochać się w pięknej Julietcie, którą spotkał na statku, czytamy: „... Powieść ta jest niczym innym jak tylko snem wyrwanym z dziesiątka innych snów jej autora, wyrwanym z rzeczywistości, która jest albo zawsze i wszędzie, albo jej wcale nie ma — tego autor jeszcze nie wie. Powieść jest chwilą, ale nie przebrzmiała, jest snem, ale odczytanym. Dlatego nie będzie ulotna. Ona już pozostanie — to jest piękne. Powieść jest snem, który chciał być snem i niczym więcej. Bo tak jest dalej, dalej od wszystkiego, od ciebie, ode mnie, od twojego domu, ulicy, twojego i mojego słońca i nieba, twojej i mojej matki i... ziemi”. Inaczej mówiąc powieść jest, winna być, fikcją, która odrywa nas od życia, obdarza fantazją, daje nam wiele innych, upragnionych istnień, których w życiu nie możemy zrealizować. Z tym można się tylko zgodzić, choć ja osobiście lubię także inne powieści. Tyle że *Fistaszek* nie jest

tą powieścią. To znaczy może być nią dla autora, który w trakcie pisania pewnie dobrze się bawił, ale nie jest dla czytelnika.

W *Epilogu* Bielecki — pomny, że należy być także ironicznym w stosunku do zakończeń tradycyjnych powieści, do zamykania wątków — streszcza swoją książkę (co jest o tyle słuszne, że czytelnik dawno się w niej zgubił) i jeszcze raz, do końca suwerenny, dowodzi, że wszystko to dokonało się z jego własnej woli: „Zresztą to wszystko za sprawą autora rozeszło się, choć przecież raczej zbiec się powinno, jak w każdej innej przyzwoitej powieści. Toteż zbiec się może, naturalnie”. Następuje krótkie streszczenie wątków. Pupa *Pieszczocho* doflynęła szczęśliwie do Wyspy Pomarańczy i pisze pamiętniki. *Fistaszek* powrócił w boską niedojrzałość. Zachorował na żółtaczkę zakaźną, potem choroby jego stawały się coraz bardziej dziecinne i czytelnik myśli sobie, że to ukłon w stronę Gombrowicza, ale autor wyjaśnia, że w ten sposób do wszystkich parodii literackich dorzucił jeszcze jedną: „... aż wreszcie, by chyba uczynić zadość Carlosa Fuentes'a teorii o kolistości czasu, wróciła żółtaczka zakaźna i zniecierpliwiony *Fistaszek* umarł”.

Niemniej na samym końcu wraca Gombrowicz i to w towarzystwie samego Rabelais. Teraz już możemy odczytać pobożne, a niespełnione, życzenie Bieleckiego: mieliśmy się, czytelnicy, zdrowo śmiać... i zdziwił: „Więc stał bohater obnażony i wszystko stało obnażone, i ja - ty byliśmy obnażeni i śmialiśmy się zdrowo i serdecznie, bo wszystko było takie niekształtne, bo wszyscy tacy byli niekształtni, że aż strach. Ale już strach w absurdalny śmiech się zmieniał, a śmiech to był właśnie zdrowy i serdeczny. A potem znowu strach, przerażenie odżyło, po czym śmiech wielki i rubaszny, i strach, i śmiech, i strach i śmiech, strach, śmiech, i tak już zawsze. By wszystko stało się Nadzwyczajnością”. Dodaję z lojalności, że książka, choć wydana w ubiegłym roku, nosi datę: 31 października 1982. Czyli autor, kończąc ją, miał lat 21. A *Czytelnik* wydał ją teraz, bo tam znowu jest w modzie wydawanie wszystkiego co popadnie.

Janina KATZ HEWETSON

Tomasz Burek - kartograf dziwnych podróży

Najnowszą książkę Tomasza Burka pt. „Żadnych marzeń”*, poświęconą pamięci Andrzeja Kijowskiego, uważam za jedną z najważniejszych prac krytycznoliterackich ostatnich lat. Tomasz

* Tomasz Burek, *Żadnych marzeń*, Londyn 1987, „Polonia Book Fund”, Seria: „Wokół literatury”, tom 6, str. 242.

Burek nawiązał w niej do tradycji najwybitniejszej polskiej myśli krytycznej, traktującej literaturę jako wygłos procesów kulturowych obejmujących życie zbiorowe i przenikających każdą jednostkę ludzką w sposób jej właściwy.

Stanisław Brzozowski upatrywał w nowoczesnej krytyce literackiej możliwość uchwycenia złożonej prawdy o współczesności: „Krytyk myśliciel i krytyk wizjoner — pisał Brzozowski — może pogłębić linie psychiczne twórczości, aż złączą się one i zleją w niebywałe dotąd dzieło”. Stanisław Brzozowski i jego wizja „nieistniejącego, lecz możliwego dzieła syntetyzującego wszystkie punkty widzenia i racje w prawdę epoki” patronują poczynaniom pisarskim Tomasza Burka. Od dawna. Poprzedni zbiór esejów pt. „Dalej aktualne”, wydanych na poślizgu pogrudniowej odwilży w „Czytelniku”, Tomasz Burek poprzedził następującym mottem z Brzozowskiego: „każdy z nas w swym świadomym życiu wybiera sobie historię, do której należy, i nie tylko wybiera, lecz tworzy ją (...). To, co nazywamy historią w obiektywnym znaczeniu tego wyrazu jest zawsze twórczością, nie tylko nie dopełnioną, lecz nawet nieokreśloną”.

Tomasz Burek jest uważnym czytelnikiem Brzozowskiego; potrafił jak niewielu innych zrozumieć przesłanie wynikające z setek stron zapisanych ręką samotnika i wygnańca. „Brzozowski — pisał Tomasz Burek — w swoich późnych studiach nazywał krytyka 'kartografem dziwnych podróży', przeczuwając i zapowiadając osobliwe *stopienie rodzajów* — stopienie myśli krytycznej z poezją i filozofią zarówno. Zadaniem krytyki literackiej — wywodził — jest kreślić poetycką geografii ducha, rekonstruować z pyłków nawet i okruchów filozoficzną samowiedzę kultury, afirmować jej złożoność i wielogłosowość, uprzytamniać całą różnorodność form, w jakich wypowiada się natura ludzka”.

Tomasz Burek tak właśnie postępuje: widząc fragmenty mozaiki, szuka jej ukrytej logiki; śledząc zawite losy polskiej inteligencji wśród wydarzeń historii, nie zapomina o czułości strofy i tajemnicach rytmu przemysłanej prozy. Uprawia trudną sztukę współmyślenia o zbiorowości z perspektywy indywidualnej, przypominając o związkach estetyki i etyki przenikających się w krytycznoliterackim dyskursie. Mówiąc o literaturze — rozprawia o przebiegach całych formacji kulturalnych, mówiąc o przełomowych w dziejach Polski powojennej wydarzeniach: Październik 1956 roku, Marcu 1968 roku, Sierpniu 1980 roku — analizuje utwory literackie wyrażające ów czas. Utwory napisane i potencjalne, skończone i tylko fragmentaryczne, pełne i ułomne. Bo jednym z najważniejszych rysów pisarstwa Tomasza Burka jest przekonanie o potrzebie filozofii literatury polskiej poprzedzającej jej historię.

Witold Gombrowicz zauważył w „Dzienniku”: „Gdybym pisał historię literatury tego czasu, nie pytałbym, dlaczego ci pisarze byli wybitni, ale dlaczego będąc wybitni, nie mogli być w pełni wybitni. Historię tej literatury należy pisać na opak, to znaczy jako historię tego, co nie zostało dokonane”. Burek powołując się na Gombrowicza, Miłozza, Norwida i Brzozowskiego doszedł do

wniosku, że zadaniem historyka i krytyka polskiej literatury współczesnej jest rekonstrukcja hipotetycznej całości na podstawie tego, co istnieje i tego, co istnieć mogło. Burka interesuje „owa (...) specyficznie polska tkanka literacka, o poszarpanych, postrzępionych konturach, jakby rozerwana czy przedziurawiona wielokrotnymi wstrząsami, skaleczona i zrastająca się z trudem w kształty nowe, dziwne, hybrydyczne, które potrafią jednocześnie odpychać i fascynować. Jeszcze inaczej: duchowa substancja literatury, wpisujące się w nią układy obsesyjnych zagadnień i tematów do przerobienia, jej żywe idearium, jej (wyrażenie Irzykowskiego) materia poetica”.

Postępując się swą metodą krytyczną, dokonał w poszczególnych esejach zamieszczonych w tomie „Zadnych marzeń” analizy wielu zjawisk z zakresu współczesnej literatury polskiej, przewyciężając wiele schematów. W szkicu pt. „Zapomniana literatura polskiego Października” udowodnił jak poszczególne utwory Marii Dąbrowskiej, Jerzego Andrzejewskiego, Adolfa Rudnickiego, Pawła Hertza, Kazimierza Brandysa, Adama Ważyka; działalność publicystyczna nie tylko dziennikarzy *Po prostu*, ale także *Przeglądu Kulturalnego*, *Nowej Kultury*, *Twórczości*; tłumaczenia poezji francuskiej; studia socjologiczne Czerwińskiego, Dżwanowskiego; nigdy później nie przedrukowane artykuły Wyki, Flaszana, Puzyny, Błońskiego — jak to wszystko układa się w nadrzędną całość. Nienapisane, choć — o paradoksie — istniejące dzieło prozatorskie: „Dokonując nowego odkrycia rzeczywistości — stwierdza Burek w zakończeniu swego eseju — wchodziło się wszak nieuchronnie w konflikt z obowiązującymi hipostazami pojęciowymi i tak czy inaczej łamało bariery doktrynalnych i cenzuralnych ograniczeń. Podejmując natomiast obrachunek z zafałszowanymi, zmistyfikowanymi i wyobcowanymi ideami, konfrontowało się je właśnie z realiami życia, z doświadczeniem jako moralną instancją ostateczną. Zjawisko to miało miejsce w felietonie i reportażu, w polemice i parabolach, w opowiadaniu i wierszu. W całej ówczesnej literaturze. Powtórzmy czyjś paradoks: wielkiej literaturze małych form”.

Z wielkiej literatury małych form powstało — zdaniem Burka — swoiste arcydzieło nieznanne, niedokończone, ułomne, ale „wielce rzeczywiste”. To przecież poprzednia epoka lansowała pusty mit wielkiej politycznej powieści współczesnej. Literatura polska otrząsając się ze stalinizmu, wybrała formy drobne, gatunki ulotne, notatki, fragmenty, felieton, opowiadanie, dziennik, esej. „Na dobrą sprawę — podkreśla Burek — literatura omawianego okresu przygotowuje wszystkie niezbędne elementy dla wielkiej powieści współczesnej, której tworzywem polityka, polityczne doświadczenie i polityczna moralność. Ale przygotowuje te elementy nie tyle w prozie fabularnej, ile przede wszystkim w esejistyce i poezji”.

Metoda Tomasza Burka wydaje się w stosunku do nowszego polskiego piśmiennictwa skuteczna. Dzięki odwadze widzenia fragmentów rozsypanej całości, przypomnieniu utworów zapom-

nianych i odkrywczej lekturze tekstów znanych, Tomasz Burek rekonstruuje historię polskiej literatury współczesnej w jej podwójnym wymiarze: spełnionym i potencjalnym, wyznaczając w ten sposób obszary domagające się wygłosu.

Tomasz Burek z uporem i konsekwencją nie tylko odkrywa znaczenia zapisane przez innych, ale udowadnia doniosłość uprawianych przez siebie gatunków literackich: eseju, szkicu, felietonu krytycznego. W eseju otwierającym książkę „Zadnych marzeń”, Burek tak pisał o współczesnym stanie krytyki literackiej: „Badacz uzbrojony w aparaturę literaturoznawczą, zakuty w pancerz metodologicznej poprawności, wsparty autorytetem którejś z wpływowych teorii naukowych, góruje dziś zdecydowanie nad staromodną postawą filozofującego dyletanta, intuicjonisty i improwizatora, szamana, wróża, malkontenta, wynajdywacza dziury w całym, to znów entuzjasty idei niewczesnych, mądrości podejrzanych, książek dwuznacznych albo wręcz nieistniejących. Jednym słowem, stateczny uczony jakoby słusznie zawstydzona wiecznego hazardzistę i uzurpatora w świecie intelektu. Ale wraz z pokonanym w krytyku poszukiwaczem arcydzieł nieznanymi giną pierwiastki w życiu umysłowym i literackim bezcenne. Zatraca się swoisty *elan vital* literatury, zdolność iluminacji, przeczucie dreszczu nowego, przepada fantazja, temperament, styl, przepada to wszystko, co Andrzej Kijowski nazwał pewnego razu 'poezją krytyków'”.

Pisarstwo krytyczne Tomasza Burka uczestniczy w grze intelektu i odpowiedzialności z intuicją i wizją, wspierane wiedzą oraz pasją. Jest wersją „poezji-krytyki”, o której wspominał, i o której marzył Andrzej Kijowski.

Krzysztof RUTKOWSKI

Przedstawiania ciąg dalszy

Przeczytałem „Pustą szkołę”* trochę ze względu na lokalny patriotyzm (autorka jest poznanianką i trzy — z czterech zawartych w książce — opowiadania-relacje usytuowane są w moim grodzie rodzinnym), ale recenzuję tę rzecz z przekonania, że jest godna uwagi i literacko i jako symptom. Zacznę od tego drugiego punktu. Proza krajowa, nawet po wyzwoleniu z przymusu „sorealizowania” cierpiała długo na objawy pochorobowe wtór-

ne, z których główny można by nazwać arealizmem (od *a-* „nie” i *realis* „rzeczywisty”, nie zaś od potworka „areal”!). Jako jeden z pierwszych zwrócił na to uwagę w swoim czasie „Staliński”, tzn. Stefan Kisielewski, pisząc w swych „Cieniach w pieczarze” (1971) co następuje: „Wielkie to złudzenie..., że o dzisiejszej Polsce pisać można pomijając sprawę komunizmu. Komunizm... jest tu w różnych zabawnych powieściach wstydliwie a pieczołowicie przemilczany, tymczasem samo nawet tło krajobrazowe nieodparcie nasuwać musi myśl o... Polsce... uzyskującej... nową w swych dziejach jakość” (str. 288). Trzy lata później powtórzyli to stwierdzenie dwaj młodzi naówczas krytycy, Julian Kornhauser i Adam Zagajewski, w zbiorze esejów pt. „Świat nieprzedstawiony”; z racji „legalnego” charakteru tej publikacji ich terminologia była mniej jaskrawa, ale teza podobna: że polska proza rozmija się z rzeczywistością i że nie jest to wyłącznie winą cenzury. Nie wdając się w rozwlekłości historyczno-literackie stwierdzenie można, że zarzuty te były dość słuszne. Wśród licznych „terenów ucieczkowych” tamtych lat wymienić można takie jak: psychologia, historia, „romantyczny” margines społeczny, nostalgiczna wiejskość oraz rozmaite eksperymenty „oniryczno”-formalne. Ucieczki na nie owocowały nawet dobrymi utworami, a słowo „ucieczka” nie ma tu charakteru oskarżycielskiego — były to często ucieczki z niesmaku, a nie z braku odwagi — lecz fakt pozostawał faktem, że mało było książek zawierających wspomniane przez Kisielewskiego „tło krajobrazowe” rozumiane w szerokim sensie jako wierny obraz całości.

Zwiększone zainteresowanie współczesną codziennością zaznażyło się wyraźniej dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych. Bodźcami w tym kierunku były gniewno-drwiące wiersze poetów „Nowej Fali”, które w pewnym sensie wytknęły prozie jej brak prozaiczności, a także nacisk utworów „podziemnych”, demaskatorskich, zasilających krążący coraz żywiej „drugi obieg”; niewątpliwie jednak najsilniejszym bodźcem było zwyczajne poczucie niedosytu — by nie rzec: zniecierpliwienie — poważnych autorów startujących w owych latach. Tendencja ku pisaniu *like it is* stała się tak silna, że polscy krytycy krajowi (np. Henryk Berezka w *Twórczości*, nr 5/1979) zaczęli mówić o „rewolucji artystycznej”. Krytyka zwracała uwagę głównie na cechy formalne tych „rewolucyjnych” utworów, takie jak zwrot ku językowi (naprawdę) mówionemu, grę stylistyczną i zmiany „stanowisk narracyjnych”, ale co najmniej równie ważnym *novum* była tematyka i sposób jej traktowania. Pojawiło się dużo utworów, które można by określić jako poczęte z ducha Stalińskiego czy Orłosa. Wymieńmy kilka znaczących nazwisk z tego (a i późniejszego) okresu: Janusz Anderman, Józef Łoziński, Ryszard Schubert, Julian Kornhauser, Piotr Müldner-Nieckowski, Wit Jaworski, Jan Komolka. Autorzy ci musieli liczyć się z cenzurą, ale liczenie się nie było w tym wypadku uleganiem, lecz raczej walką; ich utwory wyrażały codzienne i powszechne nastroje społeczeństwa zde gustowanego i sfrustrowanego puszczającą wciąż w szwach polską rzeczywistością. Do tej nowej literatury należy

* Bogusława Latawiec, *Pusta szkoła*, Iskry, Warszawa 1987, str. 207.

też „Pusta szkoła” Bogusławy Latawiec. Trzy „poznaiskie” opowiadania napisane zostały w latach 1979-1983, pierwsze — niedatowane — jest zapewne wcześniejsze. To, że ukazują się dopiero teraz niewątpliwie dzieje się za sprawą „cyklu wydawniczego” — ale także i cyklu politycznego, czyli względnego rozluźnienia cenzury w ostatnich 2-3 latach.

Opowiadanie tytułowe jest narracją w 1-ej osobie. Narratorka jest nauczycielką w gimnazjum, w którym „ktoś” (czyli grupa uczniów) w nocy w dosłownym znaczeniu „poprzestawiał meble”: brudne i połamane stoły i krzesła ułożono w stosy na brudnych i obdrapanych korytarzach; ten demonstracyjny wandalizm jest demonstracją przeciwko pełzającemu wandalizmowi „powszedniego dnia” szkoły (autorka nazywa ją Gmaszyskiem). Dwie godziny poranne, w czasie których uczniowie muszą czekać na dworze, nim Dyrekcja (czyli Dyrektor) zadecyduje czy sprawę uczynić Sprawą czy też ją zatuzować (tuszują) stanowią punkt wyjścia do wybudowanego obrazu podupadania, spłaszczania się i właśnie „puszczenia w szwach” nie tylko Gmaszyska, ale i samej idei szkoły w dawnym znaczeniu. Rutyna, wazelina i „cudowna melina” pedagogiczna zwolna biorą górę.

Następne opowiadanie, „Słowacki”, jest *pendant* do „Szkoły”; jest to prawie reportaż przypominający funkcją i stylem Orłowskiego „Historię 'Cudownej meliny’” (1987), z tym że narratorka opowiada, co było *potem*. Pan Dyrektor poczuł się urażony, ruszyła maszyna niwelująca opornych, autorka (bo fikcja przechodzi tu w rzeczywistość) znalazła się na wylocie; była to sprawa znana i „nie warta aż poematu”, gdyby nie jej metaforyczne znaczenie i znakomite oddanie klimatu drobnego zastraszenia, drobnego świństwa i prawie powszechnej akceptacji tego jako „modły życia”. Dla tych dwóch opowiadań-nie-opowiadań warto było przeprowadzić „rewolucję artystyczną”. Pozostałe dwa są na równie dobrym poziomie, ale szczególnie interesujący jest w nich proceder dochodzenia autorki do rzeczywistości. Wstępne, pt. „Mangusta”, jest jeszcze czymś w rodzaju teatru cieni: protagonista porządkuje mieszkanie po zmarłych rodzicach (ściślej: matce i ojczymie) i z jego reminiscencji, dotykanych przedmiotów i rytualnych gestów, które mieszkanie mu „narzuca” wyłania się sylwetka właściwego bohatera, czyli owego ojczyma — eks-stalinowca, wywiezionego niegdyś przez robotników na taczkach i dożywającego w pseudo-sпокою swego nadłamanego życia. Opowiadanie sugeruje, że nie tyle *był* to człowiek znieprawiony, co nim został, czy może nawet tylko dopiero stawał się. Subtelne studium ciasnoty prywatnej, przeradzającej się w sprzyjających warunkach w tyranię publiczną; na rosyjskim gruncie odpowiada temu proza Jurija Trifonowa z okresu jego „opowieści moskiewskich”. Końcowy utwór jest czymś między reportażem z 3-dniowego pobytu Mirona Białoszewskiego w Poznaniu (krótko przed śmiercią poety) a esejem na temat: sztuka a życie, artysta a publiczność (w węższym i szerszym znaczeniu). Białoszewski jest tu czymś więcej, niż tylko stymulującym i „metafizycznie niepokojącym” poetą — to także i nawet przede wszystkim jeden

z „ostatnich”, takich jakich już więcej nie będzie w klimacie przenikającym wszystkie cztery teksty. Rozrastająca się pustka, nie tylko szkoły, ale sposobu i codziennej treści życia jest tu motywem łączącym, przewodnim. Trawestując puszczonej niegdyś w obieg przez Osbornę'a kliszę określiłbym ten typ poważnej prozy krajowej jako *looking ahead in anger*. Książka Bogusławy Latawiec dobrze wyraża ten gniew i dobrze, że go wyraża.

M. BRŃSKI

„Cały naród buduje stolicę”

Podczas wojny żartowało się z goryczą na temat książki kucharskiej Ochorowicz-Monatowej, zarzucając jej że mówi ona wprawdzie ile masła i jaj bierze się do upieczenia jakiegoś placka tylko że nie mówi SKĄD się je bierze.

Podobnie ma się sprawa z książką Stefana Kurowskiego „Warszawa na tle stolic Europy”*. Porównując Warszawę z dziesięcioma innymi stolicami europejskimi — Paryżem, Rzymem, Wiedniem, Madrytem, Budapesztem, Londynem, Pragę, Berlinem wschodnim, Moskwą i Bukaresztem, wskazuje on ucziwie na jej urbanistyczne zacofanie i na degradację tkanki miejskiej, natomiast zarówno jego analiza przyczyn tego stanu rzeczy jak i naszkicowany „program waloryzacji” miasta przeprowadzone są w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości gospodarczej kraju i od modelu gospodarczego narzuconego krajowi siłą — rzecz zaskakująca w wypadku autora znanego z odważnych i bezkompromisowych prac w dziedzinie ekonomii.

Program Stefana Kurowskiego oparty jest na szeregu inwestycji miejskich, które przedstawione są w książce raczej jako czyny, cytując: Usunąć, rozebrać, uzupełnić, radykalnie podnieść standard, zintensyfikować, uporządkować, radykalnie poprawić, przebić, odsłonić, przywrócić do życia, zagospodarować, dowartościować czy po prostu radykalnie dźwignąć z obecnego zaniedbania, jak Ogród Saski.

Już sama tego rodzaju terminologia, sprowadzająca wszystko do aktów woli, działa prowokująco. Chciałoby się zapytać autora kto, jego zdaniem, miałby stworzyć w Warszawie nowe ośrodki usługowo-handlowe, podnieść radykalnie standard sklepów, przekształcić podwórza w pasaż handlowe, zintensyfikować sieć usług ulicy Marszałkowskiej? Kto miałby przywrócić do życia

* Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1987.

ruinę „Bristolu” i sprawić by na tysiąc mieszkańców Warszawy przypadało 5 sklepów, 1 restauracja i 10 miejsc hotelowych zamiast obecnych 4 sklepów, pół restauracji i 5 łóżek w hotelach? I tak skromny to program jeśli przypomnimy że na tysiąc mieszkańców Paryża wypadają 22 sklepy, 6 restauracji i 34 miejsca hotelowe.

Skąd miałyby znaleźć się środki na podwojenie łóżek szpitalnych, by doprowadzić Warszawę do poziomu stolic zachodnich? Kto ma zbudować wreszcie oczyszczalnię ścieków, której Warszawa do tej pory nie ma? Kto rozwinie sieć szybkich tramwajów na wydzielonym torowisku? Za co odnowić tabor autobusowy, zagospodarować tereny pod Skarpą, czy poprawić i uzupełnić obudowę placów warszawskich, których stan określa Kurowski jako „po prostu opłakany”?

Można by powiedzieć w uproszczeniu, że nazywając wszystkie te operacje po imieniu inwestycjami, należałoby je podzielić na dochodowe i deficytowe. W systemie rynkowym przeważającej części inwestycji dochodowych dokonaliby inwestorzy prywatni, państwo zaś i samorząd miejski, z pobranej od tych inwestorów masy podatkowej i z ubieranych poprzednio rezerw, dokonałyby inwestycji nie przynoszących wprawdzie dochodu, ale decydujących ostatecznie o formie miasta i o jego pełnym, harmonijnym funkcjonowaniu.

Inaczej miało to wyglądać w ustrojach realnego socjalizmu, do których należy Polska. Krajowi narzucony został jednostronnie i siłą rodzaj umowy społecznej, na mocy której państwo brało ubewłasnowolnionych obywateli na utrzymanie, kompensując utratę swobód politycznych, obywatelskich i ekonomicznych pełnieniem funkcji władcy, który miał dbać o wszystko i miał wszystko, łącznie z odbudowaną stolicą, obywatelom zapewnić.

Ale oto władca w krajach realnego socjalizmu ogłosił upadłość, okazał się niewypłacalny i wymówił, znów jednostronnie, niepisany kontrakt, odwołując się raz jeszcze do od dawna pozabawionych wszystkiego obywateli, apelując do ich obowiązku wobec ojczyzny, żądając cierpliwości, poświęceń, wyrzeczeń, niczego w zamian nie dając, przypominając o obowiązkach lecz nie przywracając praw.

Otóż, komentując we wstępie, pisaną w tym właśnie kontekście książkę, Stefan Kurowski stwierdza że kryzys w którym Polska tkwi tak głęboko, ma głównie przyczyny moralne i że właśnie od strony moralnej może być przezwyciężony. Trudno się z tym zgodzić. Kryzys moralny jest dziś problemem ludzkości, Polska zaś tkwi w konkretnym absurdzie polityczno-gospodarczym, którego nie można w żaden sposób obejść.

Tymczasem Kurowski, rozważając warunki konieczne do realizacji proponowanego przez siebie programu „waloryzacji Warszawy”, pomija czynniki materialne oraz konieczność przekształcenia niezbędnych źródeł gospodarczych i, zakładając że gospodarka wejdzie sama w bliżej nieokreślony sposób ponownie na

ścieżkę rozwoju, liczy przede wszystkim na rozwinięcie woli i świadomości społecznej, zarówno obywateli jak i mecenasów władcy.

Tej postaci władcy przypisuje zresztą autor bezwzględna rolę w tworzeniu miast, co w stosunku do przeszłości, w wypadku papieży, książąt, królów czy cesarzy europejskich jest prawdą, im bardziej jednak zbliżamy się do naszych czasów, docierając do Mussoliniego, Stalina czy Bieruta, wymienianych przez Kurowskiego, tym bardziej prawda ta staje się względna.

Władcy krajów zrujnowanych nie byli szczodrymi mecenasami bo nimi być nie mogli, a samo zmobilizowanie świadomości społecznej i ducha abnegacji i poświęcenia nie zastąpi żywotnej dynamiki jaką niesie ze sobą rynek i wolna wymiana usług i dóbr materialnych, a co najważniejsze nie zastąpi ono społeczeństwa opartego na jasno określonych prawach i obowiązkach.

Przygotowanie przyszłości polega również na wyrabianiu społecznej świadomości gospodarczej. Inaczej wymiar nadziei nie wyjdzie nigdy poza wymiar złudzenia.

Nie można, w obecnej sytuacji kraju, przypominać jako pięknego hasła, bierutowskiego sloganu „Cały naród buduje swoją stolicę”. Oszukany urzędnik z rzeszowskiego czy robotnik z Olsztyna nie mają już nic więcej do oddania i nie można od nich żądać żeby pomnożyli ilość warszawskich łóżek szpitalnych albo żeby, z tego co im zostaje na przeżycie, przyczynili się do oczyszczenia warszawskich ścieków czy do upiększenia stołecznej „trasy prestiżowej”.

Wszystkie narody budują swoje stolice, często jednak z oporami. Wybudowanie paryskiego Centre Pompidou poprzedziły zaciekle debaty telewizyjne. Przedstawiciele prowincji bali się, że pochłonie ono na długie lata całość kredytów kulturalnych przeznaczonych dla reszty kraju. Centre Pompidou nie jest więc darem Francuzów dla Paryża. Jest ono wynikiem zrównoważonej gospodarki i struktury społeczno-politycznej kraju, tak jak jest nim łuk zamykający oś Defense czy rozbudowa Luwru.

Trudno się również zgodzić z tezą, że niezależnie od systemu gospodarczego, można dziś odgórnie, przy pomocy woli, ożywić miasto i nadać mu formę. Najpierw musi je rozświetlić morze światła, odpowiadające rozsianym po całym jego terenie najróżnorodniejszym działalnościom i wydobyć je z mroków zobejtnienia a dopiero potem, dzięki części płynącego z tych działalności bogactwa, często siłą przez samorząd miejski pobranej, ująć można te świetliste plamy w formę, która ułatwia im życie i rozwój i która je wyraża.

Między miejskim samorządem a obywatelami wywiązują się zresztą sytuacje konfliktowe a obopólna siła obu stron jest warunkiem urody i żywotności miasta. Słaby samorząd miejski to chaos a obywatele wycuci z praw to ukryta bądź jawna nędza.

Nadesłane nowości wydawnicze

KUNDERA (Milan). *Życie jest gdzie indziej*. Powieść. Przełożył Jacek ILLG. Str. 194 i 6 nlb. (Wyd. Puls Publications w serii „Sąsiedzi”, Londyn 1988).

ŁOBODOWSKI (Józef). *Dytyramby patetyczne*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).

TERLECKI (Tymon). *Szukanie równowagi. Szkice literackie i publicystyczne*. Wyd. II. Str. 417 i 3 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).

HEMAR (Marian). *Liryki — satyry — fraszki*. Str. 366 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).

NOWAK (Jan). *Polska z oddali. Wojna w eterze — wspomnienia. Tom II: 1956-1976*. Str. 404 i 4 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn 1988).

BIALIK (Chaim Nachman), CZERNICHOŃSKI (Szaul). *Wiersze*. Z hebrajskiego przełożyła Szoszana RACZYŃSKA. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. „Notsa Vakeset” Publishing House, Tel-Aviv 1988).

Materiały, dokumenty, źródła, archiwalia. Zeszyt 2: *Kampania wrześniowa 1939 roku. Sprawozdania informacyjne Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza (dokumenty)*. Opr. Andrzej SUCHCITZ. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn, maj 1986).

Materiały, dokumenty, źródła, archiwalia. Zeszyt 3: *1 Samodzielna Brygada Spadochronowa. Polskie wojska desantu powietrznego w II wojnie światowej pod Arnhem-Driel 1944. Lista uczestników*. Opr. Jan LORYS. Str. 148 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn, kwiecień 1987).

Materiały, dokumenty, źródła, archiwalia. Zeszyt 4: *Eksperyment. Polscy oficerowie w Afryce Zachodniej w latach 1941-1943*. Opr. Edward ECKERT. Str. 118. (Wyd.

Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn, luty 1988).

JAN PAWEŁ II. *Wiara i kultura. Dokumenty, przemówienia, homilie*. Str. 442 i 2 nlb. (Wyd. Redakcja wydawnictw KUL, Rzym-Lublin 1988, cena zł 300).

Dokumenty nauki społecznej Kościoła. Część I: str. 455 i 1 nlb. Część II: str. 460. Redakcja: ks. Marian RADWAN, SCJ, O. Leon DYCZEWSKI, OFM Conv., Adam STANOWSKI. (Wyd. Fundacja Jana Pawła II, Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej, Rzym-Lublin 1987).

MAGAŁA (Sławomir). *Od hunwebinów do dyskoteki?* Str. 152 i 4 nlb. (Wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987, cena zł 250).

SPIRO (György). *Les anonymes*. Powieść. Str. 587 i 5 nlb. (Wyd. Editions Bernard Coutaz, Paryż 1988).

LEC (Stanisław Jerzy). *Les pensées échevelées*. Z polskiego przełożyli André i Zofia KOZIMOR. Str. 219 i 1 nlb. (Wyd. Editions Aldine, Lambersart, 1988, cena: F. 120).

BEAUVOIS (Daniel, éd.). *Les confins de l'ancienne Pologne. Ukraine — Lituanie — Biélorussie, XVI^e-XX^e siècles*. Przedmowa Czesława Miłosza. Str. 282 i 4 nlb. (Wyd. Presses Universitaires de Lille, 1988).

MAREK (Edmond). *La comédie non-divine de Zygmunt Krasinski (reflexions sur un drame romantique)*. Str. 24 i 4 nlb. (Wyd. „Polonia-Nord”, Lille 1988).

The Tel-Aviv Review nr 1/1988. Str. 360. (Wyd. Ah'shav Publishers, Tel-Aviv).

LERSKI (George J.). *„Japanese” children*. (Nadbitka z *The Polish Review* nr 3/1987).

HALICZ (Emanuel). *The 1863 Polish Uprising and Scandinavia. The Year 1863, the Turning-Point in Russo-Scandinavian Relations*. Str. 169 i 7 nlb. (Wyd. Kobenhavns Universitets Slaviske Institut, Kobenhavn 1988).

Poland: Stagnation, Collapse or Growth? A Report by an Independent Group of Economists in Poland. Preface Andrzej Brzeski, comment Jacek Rostowski. Str. 100. (Wyd. The Centre for Research into Communist Economies, Londyn 1988).

Forum (obsczestwienno-politiceskij žurnal) nr 18/1988. Str. 240. (Wyd. *Suczasnist'*, Monachium).

KLIMA (Ivan). *Laska a smeti*. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley/Surrey 1988).

KLIMA (Ivan). *Milenci na jednu noc*. Str. 80 i 6 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley/Surrey 1988).

ŁOPIŃSKI (Maciej), MOSKIT (Marcin), WILK (Mariusz). *Konspira. O podzemni Solidarite*. Przeł. Jan Tesar i Jiří Nemeč. Str. 325 i 3 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1988).

Bohosłowija, tomy: XLV, XLVI, XLVII, XLVIII, XLIX. Str. odpowiednio 208, 248, 200, 256, 238. (Wyd. Ukrajinske Bohosłowne Naukowe Towarzystwo, Rym 1981-1985).

Błahowisnyk Patriarcha Kyjewo-Hałyckiego i Wsijeji Rusi. Str. 282 i nlb. (Wyd. w Castelgandolfo, Rym 1980-1984).

Błahowisnyk błazennoho Myroslawa-Iwana kardynata Lubaczewskoho. Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Litterae Nuntiae, Rym 1985).

Błahowisnyk błazennoho Myroslawa-Iwana kardynata Lubaczewskoho. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Litterae Nuntiae, Rym 1986-1987).

Twory Patriarcha i Kardynata Josyfa. Opera omnia Josephi (Ślipyj-Kobernyckyj - Dyckowskyj) patriarchae et cardinalis. Zebrali Iwan Choma i Iwan Muzyczka. Str. 494 i 2 nlb. (Wyd. Ukrajinskyj Katolickýj Uniwersytet św. Kłymentija Papy, Rym 1985).

Switylnyk istyny. Dżerela do istorii Ukrajinskoji Katolickoji Boho-

stownoji Akademii u Lwowi, 1928-1929-1944. Z nahody jiji 50-litnoho juwyteju. Czatylna tretja. Opr. Pawło Senyca. Str. 960. (Wyd. Ukrajinskyj Katolickýj Uniwersytet św. Kłymentija Papy, Toronto-Chicago 1983).

SZEPTYČKYJ (Andrij, metropolita). *Twory — Opera (moralia et pastoralia). Na tysiaczlittia chrystianskoji Ukrainy*. Str. 547 i 1 nlb. (Wyd. Ukrajinskyj Katolickýj Uniwersytet św. Kłymentija Papy, Rym 1983).

MONCZAK (Ihor). *Florentynskyj ekumenizm u kyjiwskij cerkwi*. Str. 376 (Wyd. Ukrajinskyj Katolickýj Uniwersytet św. Kłymentija Papy, Rym 1987).

SZEPTYČKA (Sofija z Fredriw). *Mołodist' i poktykannja o Romana Szeptyčkoho*. Wyd. II, str. 156. (Wyd. Ukrajinskyj Katolickýj Uniwersytet św. Kłymentija Papy, Rym 1987).

DIVIS (Ivan). *Beranek na snehu*. Str. 37 i 3 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, England 1987).

PREISNER (Rio). *Az na konec ceska*. Str. 309 i 3 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, England 1987).

FEIERABEND (Ladislav). *Soumrak ceskoslovenske demokracie*. Str. 507 i 5 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, England 1988).

BUCH ANDERSEN (Jolanta). *Samfundsfjende mit polske liv*. Str. 156 i 6 nlb. (Wyd. Gyldendal, Kopenhaga 1986).

BUCH ANDERSEN (Jolanta). *Samfundsven mit danske liv*. Str. 157 i 7 nlb. (Wyd. Gyldendal, Kopenhaga 1987).

Boger po polsku for voksne og born (Książki po polsku dla dorosłych i dzieci). Katalog książek w języku polskim znajdujących się w posiadaniu Folkebibliotekernes Indvanderbibliotek, Kopenhaga 1987).

Aproximações. Europa de Leste em Lingua Portuguesa. Suplemento I. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. Ministerio da Cultura — Secretaria de Atividades Socio-Culturais, Brasília-Lisboa 1987).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-2-88

Płk Jan Ignaczak, redaktor naczelny Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej, podał interesujący plan wydawniczy na 1988 rok i na lata następne. Mają się ukazać m.in.: „Monte Cassino” Melchiora Wańkowicza w trzech tomach (według wydania rzymskiego), pierwsza biografia marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego opracowana przez Eugeniusza Kozłowskiego, pamiętniki generała Zygmunta Berlinga oraz sześciotomowe pamiętniki Winstona Churchilla „The Second World War”.

8-3-88

Z inicjatywy kół naukowych historyków, prawników i studentów nauk politycznych oraz samorządu studenckiego, tzw. Dwunastki, na Uniwersytecie Wrocławskim odbyło się spotkanie poświęcone 20-tej rocznicy wydarzeń marcowych. Na zaproszenie studentów wzięli w nim udział m.in. prof. Alfred Jahn (rektor Uniwersytetu w 1968 roku), prof. St. Hartman, dr J. Waszkiewicz, dr W. Sidorowicz, doc. K. Modzelewski, doc. B. Gleichgewicht. W kilkogodzinnym spotkaniu wzięło udział ok. 500 studentów wraz z rektorem Uniwersytetu prof. M. Klimowiczem. W czasie spotkania budynki uniwersyteckie były gęsto obstawione przez milicję.

27-3-88

Czasopismo *Katolik* porusza bardzo istotną sprawę, a mianowicie — co się stało z archiwum katyńskim, zgromadzonym przez Niemców. Zawierało ono setki zdjęć, listów, gazet, dokumentów osobistych i innych drobnych przedmiotów znalezionych przy zwłokach zamordowanych oficerów polskich w czasie pierwszej ekshumacji (drugiej ekshumacji dokonały władze sowieckie w 1944 roku, po zajęciu Smoleńska przez Armię Czerwoną).

28-4-88

Zmarła w Łodzi w wieku 86 lat prof. Stefania Skwarczyńska, wybitna uczona, autorka licznych prac z zakresu teorii i historii literatury i teatru.

8-5-88

Żaba podstawią nogę do podkucia. P. Zbigniew Chendoszko, członek Rady Naczelnej PPS i przewodniczący OKR PPS w Szczecinie, wysłał depezę gratulacyjną do prezydenta Mitterranda z okazji ponownego wyboru.

ZACHÓD — EMIGRACJA

22-1-88

Ukazał się dekret Prezydenta R.P. na Wyznaniu przyznający szeregowcom i podoficerom — weteranom wojny 1920 roku — stopień tytularnego podporucznika Polskich Sił Zbrojnych.

1-3-88

W okresie stycznia i lutego br. Kongres Polonii Amerykańskiej przekazał w ramach „Pomocy dla Polski” środki medyczne wartości 1.868.638 dolarów, żywność za 172.755 dolarów, ubrania za 8.780 dolarów, książki i inne za 1.010.038 dolarów.

5-3-88

Zmarł w Londynie pułkownik W.P. Konstanty Ostoja-Czechowicz, historyk wojskowości, aktywny członek Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie.

17-3-88

Rzymskie sympozjum „Stalinizm a lewica włoska” trwało dwa dni (16-17 marca) i zgromadziło elitę intelektualną Włoch, jeszcze kilka lat temu zdominowaną przez sympatyków komunizmu. Patronowała mu PSI, włoska partia socjalistyczna, i przysłała na widowień cały swój sztab z Craxim na czele. Komuniści nie pozwolili swoim (zaproszonym) prelegentom wziąć udziału w sympozjum, z jednym tylko wyjątkiem, raczej symbolicznym. Na sympozjum mówiono o Togliattim i jego roli — najpierw w Kominternie, a po wojnie we włoskiej partii komunistycznej, we Froncie Ludowym pierwszych lat i w destalinizacji po XX Zjeździe. Luciano Vasconi wykazał, jak ten właśnie proces był hamowany i jak niewiele się pod tym względem u komunistów zmieniło. Luigi Fenizi przypomniał kampanie przeciw herezjom komunizmu, jak Tasca i znakomity pisarz Silone, który był przedmiotem oszczerstw i nagonki już w wolnych Włoszech. Luciano Pellicani, redaktor *Mondo operaio* i Antonio Landolfi mówili o losie założyciela PCI, Antoniego Gramsci, który (podczas gdy Togliatti rezydował w Moskwie) gnął w faszystowskim więzieniu i zmarł, otoczony wrogością towarzyszy, bo już w 1926 protestował przeciw likwidowaniu opozycji przez Stalina. Guelfo Zaccaria przypomniał przeszło 600 wybitnych działaczy lewicy włoskiej, którzy w ZSSR szukali schronienia w epoce faszyzmu, a znaleźli zesłanie i śmierć. Nie pominięto spraw polskich. Pierwszego dnia, zaraz po referacie Strady „Stalinizm jako fenomen europejski”, zabrał głos Jerzy Pomianowski, skupiając uwagę na dwóch zwłaszcza problemach: zagłady Komunistycznej Partii Polski oraz niechętnego stosunku europejskiej lewicy do sprawy polskiej, wskazując, że stosunek ten ukształtował się w latach 1939-1941 dla usprawiedliwienia paktu Stalina z Hitlerem i wciąż jeszcze nie został poddany rewizji.

22-3-88

Zmarł w Nowym Jorku w wieku prawie 100 lat Ignacy Dzierżykraj-Morawski, znany dziennikarz, działacz społeczny i polityczny.

26-3-88

Zmarła w Paryżu w wieku 93 lat Suzanne Arlet (Emilie Durup), pisarka francuska, zasłużona tłumaczka polskiej poezji i prozy.

6-4-88

Na Uniwersytecie w Ottawie (Kanada) odsłonięto tablicę poświęconą założycielowi programu studiów nad komunikacją społeczną, prof. Andrzejowi Ruskowskiemu. Prof. Ruskowski przybył do Konady z Peru w 1968 roku. W ub. roku prof. Ruskowski został laureatem dorocznej nagrody Association of Roman-Catholic Canadian Communicators (ARCCC) przyznanej mu „za wybitny wkład do komunikacji w Kościele chrześcijańskiej Kanady”.

7-4-88

Interesująca inicjatywa: każdego czwartku Stefan Kisielewski przekazuje radiowy felieton dotyczący sytuacji w Kraju do Chicago, gdzie jest nadawany ze stacji radiowej VPNA — 1490 AM. Felietony te są następnie przedrukowywane przez *Dziennik Związkowy „Zgoda”* w Chicago.

15-4-88

Na walnym zebraniu ruchu społeczno-politycznego „Pomost” w Chicago do Rady Naczelnej tej organizacji wybrano: Jana Kryńskiego, Romana Koperskiego, Krzysztofa Raca, Mariana Sromka, Janusza Subczyńskiego.

18-4-88

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 85 lat Franciszek Puśłowski. Był długoletnim pracownikiem radia Wolna Europa i wicedyrektorem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce.

19-4-88

W Crociera Alta przy Wydziale Literatury i Filozofii Uniwersytetu w Mediolanie miało miejsce seminarium na temat „Witold Kula pomiędzy teorią a historią”, zorganizowane przez Instytut Historii Średniowiecznej i Nowożytnej Uniwersytetu w Mediolanie i Fundację Giangiacomo Feltrinelli. Na seminarium wygłosili referaty: Bronisław Baczko, Marta Herling-Bianco i Francesco M. Cataluccio.

20-4-88

Zmarł w Waszyngtonie w wieku 85 lat Stanisław Bańczyk, wybitny działacz ruchu ludowego. Na pierwszym krajowym kongresie PSL w Warszawie został wybrany zastępcą Stanisława Mikołajczyka. ■ Stowarzyszenie Lotników Polskich w Anglii utworzyło fundację — „The Polish Air Force Charitable Trust” — mającą na celu wspomaganie działalności kulturalnej i dobroczynnej związanej z lotnictwem polskim.

21-4-88

Zmarł w Buenos Aires w wieku 63 lat Jan Żółtowski, działacz społeczny.

23-4-88

W Londynie odbyło się walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Prezesem Związku został po raz 13-ty prof. Józef Garliński. Związek liczy obecnie 113 członków w 15 krajach. Ukazał się ostatnio 12 tom *Pamiętnika Literackiego*, który m.in. zawiera interesujące artykuły o literaturze polskiej w Chinach i o tłumaczeniu Henryka Sienkiewicza na język chiński. ■ Na uniwersytecie nowojorskim odbył się wieczór poświęcony Witoldowi Gombrowiczowi z udziałem Janusza Głowackiego, Czesława Miłosza, John Simona i Susan Sontag.

30-4-88

Jury Fundacji im. Kościelskich w Genewie przyznało dwie nagrody literackie: Pawłowi Huelle za powieść „Weisser Dawidek” i Piotrowi Sommerowi za całokształt twórczości poetyckiej.

6-5-88

Zmarł w Warszawie w wieku 92 lat gen. bryg. Jan Mazurkiewicz — „Radostaw” — jeden z wybitniejszych dowódców Armii Krajowej. Jego działalność po Powstaniu Warszawskim wywołała wiele zastrzeżeń.

14-5-88

Zmarł w Londynie w wieku 86 lat Wiesław Wohnout, członek Polskiej Partii Socjalistycznej, dziennikarz, publicysta, b. redaktor *Dziennika Polskiego* i *Dziennika Żołnierza*.

20-5-88

W Księgarni Polskiej w Paryżu prof. Stefan Kurowski wygłosił odczyt na temat aktualnej sytuacji polityczno-gospodarczej w Polsce.

25-5-88

Staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego — z okazji ukazania się II tomu wspomnień „Wojna w eterze” — odbył się w Bibliotece Polskiej w Paryżu odczyt Jana Nowaka pt. „O Polsce z oddali: doświadczenia przeszłości i perspektywy na przyszłość”.

31-5-88

W Centrze du Dialogue Księży Pallotynów w Paryżu 13 maja odbył się niezwykle udany wieczór Jacka Fedorowicza, który zgromadził ponad 600 osób, przeważnie młodzieży; 27 maja miało miejsce spotkanie z Czesławem Miłoszem. ■ W Klubie „Kontakt” w Paryżu odbył się w maju następujące imprezy: wyświetlenie filmu Video-Kontakt, zrealizowanego przez Witolda Zadrowskiego pt. „Generał Maczek i Jego Pancerni”; spotkanie z Markiem Jurkiem, historykiem i publicystą prasy katolickiej, na temat „Prawica — lewica: czy zatarły się linie podziału?”; wieczór autorski Jacka Fedorowicza oraz odczyt Jana Nowaka na temat „Drogi do niepodległości wczoraj i dziś”.

KRONIKA KANADYJSKA

Komisja Inwalidzka Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej ogłosiła sprawozdanie finansowe za rok 1987. Ogólny przychód wyniósł \$ 30.935 (do sumy tej dochodzi \$ 19.759 saldo z 1 stycznia 1987 roku). Wydano w 1987 roku ogółem \$ 31.079, w tym dla ośrodków inwalidzkich \$ 29,750, a mianowicie: do Polski, za pośrednictwem Londynu, \$ 13.000, Argentyny — \$ 4.750, Francji — \$ 4.000, Włoch — \$ 4.750, RFN — \$ 3.250. Na koncie pozostało 1 stycznia br. \$ 19.616. ■ Biblioteka uniwersytecka w Toronto opublikowała — opracowany przez Mary Stevens — przewodnik po wydziałach slawistycznych i wschodnioeuropejskich tejże biblioteki, z wyjaśnieniem w jaki sposób można korzystać z materiałów znajdujących się w Bibliotece. Z opublikowanych danych wynika, że połowa kolekcji słowiańskiej — około 100.000 tomów — odnosi się do Rosji i Związku Sowieckiego. Biblioteka otrzymuje rocznie przeciętnie 5.000 tomów z ZSSR. Dział polski obejmuje około 30.000 tomów, powiększa się co rok przeciętnie o 350-400 tomów. Biblioteka abonuje ponad 350 periodyków, a ponadto otrzymuje pewną ilość wymiennych. Dobrze reprezentowana jest literatura, dobrze zaopatrzone jest dział historyczny — w szczególności wiek XIX i XX. Poważny jest zestaw dzieł wydanych na emigracji oraz duża kolekcja „Solidarnościowa” — legalna i pozacenzuralna. Bogata jest oczywiście kolekcja *polonica-canadiana*. Zbiory zostały wzbogacone dzięki dotacjom przede wszystkim Funduszu Wieczystego Millenium oraz PSK, Fundacji A. Mickiewicza, Klubu Curie-Skłodowskiej jak również darom pp. Peter Brocka, John Stanleya i innych. Kolekcja ukraińska liczy około 20.000 tomów i zawiera wiele publikacji emigracyjnych. Wśród darów znajduje się m.in. zbiór kardynała Slipyja dotyczący dziejów Kościoła grekokatolickiego. Zbiory ukraińskie zaczęły się powiększać poważnie od 1980 roku, kiedy powstała Katedra Ukrainoznawstwa. ■ Dr Edward Możejko, profesor literatury porównawczej University of Alberta w Edmontonie, otrzymał tegoroczną Nagrodę Naukową swojej uczelni w uznaniu wybitnych osiągnięć naukowych w roku 1987. Prof. Możejko został wybrany *Fellow of the Royal Society*

of Canada. Jest jedynym sławistą w tym gronie. ■ Na walnym zebraniu Polish Candian Action Group w Toronto w dn. 21 stycznia 1988 wybrano nowy zarząd w osobach: prezes — Grażyna Farmus (sprawy polskie), wiceprezesa — Lech Prusiński (sprawy polityczne kanadyjskie), Elżbieta Wolka (kontakty z przedstawicielami niezależnej działalności w Polsce i na świecie oraz z organizacjami polonijnymi), Anna Dubiska (sprawy organizacyjno-administracyjne), sekretarz — Z. Rozwadowska. Kapelanem tej organizacji został ks. prałat Franciszek Pluta. ■ 22 marca 1988 jury konkursu nagrody im. Wojciecha i Witolda Stanisławskich przyznało pierwszą nagrodę Stanisławowi J. Kowalskiemu za pracę pt. „Karny łagier w Magadanie (Kołyma)” i Tadeuszowi Jaworskiemu za „Krematoria bez płomienia”. ■ 23 marca br. zmarł na udar serca w wieku 67 lat Stefan Bolesław Roman, imigrant słowacki, którego błyskotliwa kariera i żywot są frapujące. Urodził się w 1921 roku we wsi Velky Ruskov w Czechosłowacji (Słowacja). Do Kanady przybył w 1937 roku. Nie miał żadnego zawodu i nie znał języka. Pierwszą pracę zdobył na farmie, następnie pracował kolejno gdzie popadło w mieście. Wojna zwiększyła zapotrzebowanie na ręce robocze. Po jej zakończeniu nie powrócił do pracy fizycznej, zaczął grać na giełdzie. Kiedy powstawały różne spółki eksploatacji minerałów, Roman zainwestował w uran. Bogate złoża uranu w północnym Ontario wywołały gorączkę podobną do gorączki złota z ubiegłego stulecia. Powstało miasto Elliot Lake, ludność napływała z różnych stron. Roman założył i prowadził przedsiębiorstwo górnicze Denison Mines Corporation. Najpoważniejszym odbiorcą rudy uranowej były Stany Zjednoczone, które w 1963 roku wstrzymały zamówienia. Nastąpił krach i z miasta Elliot Lake wyjechało 2/3 ludności. Kopalnie Romana pozostały jednak czynne, zmniejszając jedynie produkcję. Roman miał także dużą, reprezentacyjną hodowlę bydła rasowego. Robił miliony, ale był też hojny. Popierał różne inicjatywy, przede wszystkim działalność słowackich organizacji emigracyjnych. Finansował publikacje zarówno w języku słowackim jak i angielskim piszące o sprawach Słowacji. Stał na czele Kongresu Słowackiego, zabiegał o słowacki Kościół greckokatolicki w Kanadzie i w Czechosłowacji. Dzięki jego działalności władze komunistyczne rozluźniły pęta narzucone Kościołowi greckokatolickiemu w Słowacji, a Watykan mianował biskupa dla diecezji w Kanadzie, obejmującej sześć słowackich parafii greckokatolickich. Sumptem Romana buduje się w Toronto katedra tej diecezji, którą poświęcił papież Jan Paweł II podczas swojej bytności w Kanadzie w 1986 roku. Niektóre uniwersytety otrzymały od Romana hojne dotacje i w uznaniu za to ofiarowały mu honorowe doktoraty. Prasa kanadyjska zgodnie stwierdziła, że Stefan Bolesław Roman odegrał wielką rolę w życiu gospodarczym Kanady, był imigrantem, który najwięcej osiągnął i nie zerwał więzów z narodem słowackim.

B. H.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W moim artykule „Historyczne spotkanie” (*Kultura* nr 3/1988) na stronie 115 podano (przypis 5), że ks. Piotr Żarkowski, pracujący obecnie na Zakarpaciu, otrzymał święcenia kapłańskie w Rzymie, zamiast, jak powinno być, w Rydze. Przy okazji podaję, że z 41 parafii istniejących w tym regionie, 10 (dziesięć) zamknięto na początku br. Przyczyną był brak księży do ich obsługi. Poza ks. Żarkowskim, który jest młodym człowiekiem, wszyscy duszpasterze na Zakarpaciu przekroczyli wiek emerytalny. Na ogólną liczbę dziesięciu, tylko mniej niż połowa z nich zdolna jest jeszcze do pracy.

Z wyrazami szacunku

J. MIRSKI

3 maja 1988.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze *Kultury*, na stronie 158 ukazała się notatka redakcji, w której czytam: „Ostatnio ukazały się pamiętniki min. Józefa Becka, których rękopis był zdeponowany w uniwersytecie w Yale. Rękopis ten został skopiowany przez dr. Skrzypka bez wiedzy i zgody uniwersytetu i Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, który był właścicielem rękopisu”.

W notatce jest mowa o „gangsterstwie wydawniczym”. W związku z tą notatką otrzymałem parę listów krytycznych.

Pragnę stwierdzić, że nigdy w moim życiu nie byłem w Yale University, żadnych rękopisów Józefa Becka nie kopiowałem i nic nie wiem o wydaniu ostatnio jego pamiętników (przez kogo?). Być może, że jakiś inny dr. Skrzypek — o czym mi nie wiadomo. Redakcja nie identyfikuje dr. Skrzypka po imieniu. Ponieważ nazwisko moje jest rzadkie (w książkach telefonicznych całej metropolii waszyngtońskiej jest tylko jedno nazwisko Skrzypek) i ponieważ jestem znany w kołach emigracyjnych jako historyk i pisarz, więc czytelnicy *Kultury* sądzić mogą, że to właśnie ja skopiowałem pamiętnik Józefa Becka.

Ponieważ taka opinia może uwłaczać mojemu dobremu imieniu, przeto proszę Pana, by w następnym numerze *Kultury* był Pan łaskaw zidentyfikować tego „gangstera” wydawniczego po imieniu i oczyścić mnie osobiście z nieuzasadnionych podejrzeń.

Łączę wyrazy poważania

Stanisław SKRZYPEK

Bardzo nam przykro, że sprawiliśmy Panu kłopot. Dr Skrzypek, o którym mowa w notatce, ma na imię Andrzej. — Red.

London, 4 maja 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym (487) numerze *Kultury* ukazała się notatka pt.: „Konfiskata Słowa Ojczystego”, w której wymieniono moje nazwisko jako prezesa SPK w Wielkiej Brytanii, odpowiedzialnego za tę decyzję.

W załączeniu przesyłam fotokopie kilku stron różnych numerów tego pisma. Na okładce jednego z nich, powyżej słów „surowa lekcja historii” umieszczono fotografię Gomułki i Chruszczowa, który tej lekcji udziela. W artykule redaktora *Słowa Ojczystego*, Jerzego Samborskiego, pt.: „Lekcje historii” znalazło się zdanie: „Fakt, że ani 20 międzywojennych lat pełnych wyrzeczeń i patriotycznego wysiłku, ani krwawa zbrojna ofiara uczestnictwa w drugiej wojnie światowej nie zagwarantowały Polsce niepodległości, jest dowodem, iż Polacy jako całość, jako naród nie osiągnęli jeszcze tej mocy i dojrzałości, które by im niezawisły byt zapewniły”.

Pragnę zwrócić uwagę Pana Redaktora na fakt, że w *Index of Censorship* w tłumaczeniu tego artykułu zdanie to wygląda inaczej i jego zakończenie w polskim tłumaczeniu brzmi: „... jest dowodem, że Polacy jako całość i jako Naród, nie osiągnęli jeszcze tej mocy i tej dojrzałości, jakie mieli w przeszłości i jakie zapewniały im niezależny byt”. Ta zmiana tekstu, choć niewielka, jest znacząca. Dokonano jej przypuszczalnie dlatego, że nawet nieprzychylni nam ludzie, redagujący to angielskie pismo, mogliby uważać, że wydrukowanie dosłownego tekstu p. Samborskiego byłoby krokiem już za daleko idącym.

Nasza organizacja, skupiająca żołnierzy drugiej wojny światowej, nie mogła przyjąć do sprzedaży pisma mającego taką okładkę i powyżej zacytowane sformułowania. Nie była to konfiskata, a jedynie odmowa sprzedaży i reklamy. Wycofania ze sprzedaży powinna była dokonać sama Polska Macierz Szkolna.

Pragnę jeszcze dodać, że dnia 8 marca br. Radio „Wolna Europa” nadało rozmowę z Neal Aschersonem, w której on wyraźnie powiedział, że do serii telewizyjnej „The Struggles for Poland” wkrały się błędy. W filmach dotyczących Polski niepodległej i losu Żydów w Polsce bardzo jednostronnie przedstawiono zawartą w nich problematykę, czym Polacy słusznie musieli się poczuć dotknięci. Obydwa filmy były reżyserowane przez Polaka i dlatego on, jako doradca historyczny, ufał, że będą obiektywne.

Będę bardzo zobowiązany za opublikowanie mego listu.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Czesław ZYCHOWICZ

Prezes Zarządu Głównego SPK
Wielka Brytania

“ANEKS” 48

kwartalnik polityczny

POLSKA U PROGU LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH — J. KURON: *Krajobraz po bitwie*; J. STANISZKIS: *Polskie dylematy*; I. KRZEMIŃSKI: *Religia i „Solidarność”*; K. JASIEWICZ: *Kultura polityczna Polaków: między jednością a podziałem*. ■ E. BIENKOWSKA: *Leszek Kotakowski — wielkość i nędza rozumu wyemancypowanego*. ■ **WYWIAD ANEKSU** — R. GORCZYŃSKA, J. KOTT, C. MIŁOSZ rozmawiają z Wacławem Solskim. — *Etiudy rewolucyjne*. ■ E. WEIL: *Moralność jednostki i polityka*. ■ H. SCHMIDT: *Rozmowy z Mitterrandem o Polsce*.

Prenumerata roczna (cztery numery) — £ 12,00; \$ 24,00.

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

A N E K S

61 Dorset Road, London W5 4HX, England

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

WPŁATY NA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCĄ”

Association pour la Défense des Droits Démocratiques du Peuple Polonais w Lozannie	F. 400,30
Rodzina Bovy z Chexbres (Szwajcaria)	F. 402,74
M. P. Nassalscy, Nowy Jork — \$ 25,00	F. 140,00

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

A.A., NYC (USA) — \$ 35,00	F. 196,00
Grzegorz Giruc, Berlin Zachodni — DM 10,00	F. 33,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Dr Wojciech M. Szczygielski, Markham, ON (Kanada) — \$ c. 30,00	F. 132,00
Jan Weiss, Jackson Heights, NY (USA) — \$ 223,50	F. 1.249,00

C. P. Czuchwicy, Panorama, SA (Australia): — na Fundusz Kultury, po raz 17-ty	F. 300,00
— na pomoc dla prześladowanych w Kraju	F. 440,00

video
kontakt

WYDAWNICTWO KASET VIDEO

Wspomaga niezależne wydawnictwa
Kaset video w Polsce ▷ rozpowszechnia ich kasety za granicą ▷ realizuje filmy oparte na materiałach w kraju nie osiągalnych • przynosi dochód ze sprzedaży kaset na rozwój kultury niezależnej w Polsce • proponuje filmy o związanej z Polską tematyce politycznej, historycznej, kulturalnej i społecznej • osobom zainteresowanym wysyła My ulotki reklamowe z opisem POSZCZEGÓLNYCH TYTUŁÓW

video
kontakt

42, rue Raymond Marcheron, 92170 VANVES, France, tel: 46 45 87 16

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLIN-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1988.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 9045.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1988			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Ksiegarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Ksiegarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Ksiegarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D. M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604)338-80-40; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..	\$ can. 10,00 DM 14,00	\$ can. 50,00 DM 80,00	\$ can. 98,00 DM 150,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. Baerums Verk. Tel.: 51 20 55	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztowe. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztowe. 12.14431.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Ksiegarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Ksiegarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.480; półroczna — F.250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 440 — JAKUB KARPIŃSKI

TATERNICTWO NIZINNE

Autor czterech książek opublikowanych w „Kulturze” (pod nazwiskiem MAREK TARNIEWSKI) tym razem opisuje wydarzenia z powojennej historii Polski z perspektywy osobistej. Odpowiadając na pytanie, jak doszło do „sprawy tatarników”, Jakub Karpiński opisuje szkołę w latach stalinowskich, październik 1956, Uniwersytet Warszawski, marzec 1968.

Str. 128.

Cena F. 55,00.

TOM 441 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

zawiera opracowania: Z. S. Siemaszko: *Biskup wileński (1918-1925) Matulewicz na tle ówczesnych stosunków polsko-litewsko-białoruskich*; Andrzej Suchcitz: *Komandor Świrski i sanacja Marynarki Wojennej w 1925 roku*; Benedykt Heydenkorn: *50-dniowa Republika Sowiecka*; Jerzy Drobnik: *Diariusz. Berlin 19 marca 1932 - 5 sierpnia 1934*; Józef Hlebowicz: *Wspomnienia z Ostaszkowa*; Vincenzo Mario Palmieri: *Rezultaty dochodzenia w lesie katyńskim*; Dąb-Biernacki, gen. dyw.: *List do gen. Władysława Sikorskiego*; J. Łukasiewicz: *List do prezydenta Raczkiewicza*; Anna M. Cienciąła: *Wspomnienie o Domanie Rogoyskim (1903-1987)*; Z. S. Siemaszko: *O kampanii wrześniowej*; Michał Heller: *Geneza Rosji*; Jacek Kubiak: *O porachunkach polsko-niemieckich*; J. Ciechanowski: *Korzenie i popioły (uwagi i refleksje nad historią Polski Adama Zamoyckiego)*; Z. S. Siemaszko *O okupacjach Wilna inaczej*; E. Halicz: *Polska XIX wieku*; Jan Dierick: *Leleweł wytrwały*; P. Wandycz: *Telegram ambasadora Steinhardta*; Marszałek Smigły-Rydz: *Instrukcja dla rozmów z francuskim Sztabem Generalnym*; T. Wyrwa: *Gen. Anders i demobilizacja Wojska Polskiego na Zachodzie w raportach dyplomatów francuskich*; T. Wyrwa: *Przedstawiciel „Wolnej Francji” w Hiszpanii o zmianach w poselstwie polskim w Madrycie w 1944 roku*; J. Ciechanowski: *Notatka z rozmowy z płk. dypl. Kazimierzem Irankiem-Osmeckim, szefem Oddziału II KG AK w latach 1943-1944*; T. Wyrwa: *Dzieje Polski na ekranie oraz dział LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 80,00.